

 HARLEQUINPOWIEŚĆ
*Historyczna*WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMESNICOLA
CORNICKWSZYSTKIE SEKRETY
LADY DARENT

Nicola Cornick

**Wszystkie sekrety
lady Darent**

*Tłumaczenie:
Wojciech Usakiewicz*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Covent Garden: „Zręczne podstępny
mamią pewnego hulakę”.
Wyjątek z *Harrisa spisu dam*
z *Covent Garden*

Londyn, październik 1816 roku

Tego wieczoru szczęście opuściło
Tess Darent.

Już wcześniej zdawała sobie sprawę
z tego, że jest niczym tropiona
zwierzyna. Dziś towarzyszyło jej
wrażenie, że ten człowiek podąża za nią
krok w krok. Instykt podpowiadał jej,
że wpadnie w jego sidła.

– Szybciej! – ponagliła panią Tong, właścicielkę domu uciech Świątynia Wenus, która drżącymi rękami podała jej suknię.

Tess omal nie wyrwała jej z dłoni wyraźnie przestraszonej pani Tong, po czym błyskawicznie włożyła pożyczoną suknię przez głowę. Dotyk pachnącego lawendą jedwabiu podziałał na jej zmysły. Nie spodziewała się, że w garderobie pani Tong może znaleźć się gustowny strój. Całe szczęście, pomyślała, bo nie chciała zostać zaareztowana w jednej z przesadnie wydekoltowanych tandetnych sukni noszonych przez podopieczne pani Tong. Zależało jej na utrzymaniu pewnego poziomu, mimo że ukrywała się przed

wymiarem sprawiedliwości.

Warstwa pudru i szminki nie ukryła bladości twarzy coraz bardziej zdenerwowanej rajfurki. Dobiegające z korytarza odgłosy stopniowo się nasilały. Ktoś wydawał rozkazy, słychać było tupot ciężkich butów, a także odgłos roztrzaskiwania się na marmurowej posadzce posągów, które podkreślały charakter przybytku pani Tong.

– Dragoni – powiedziała cicho rajfurka. – Przeszukują dom. Jeśli znajdą panią tutaj...

– Nie znajdą – ucięła Tess.

Obróciła się i uniosła gęste złocistorude włosy, żeby pani Tong mogła zasnuwać suknię. Na próżno

starala się zachować zimną krew, świadoma, że prześladowca depte jej po piętach. Poza tym udzielił się jej strach burdelmamy, która drżącymi palcami próbowała jak najszybciej wykonać swoje zadanie.

– A nawet jeśli odkryją moją obecność, to co z tego – dodała, siląc się na lekceważący ton, aby ukryć chwytający za gardło strach. – Cieszę się tak złą reputacją, że nikogo nie zdziwi moja obecność w domu uciech.

– A papiery? – spytała drżącym głosem pani Tong.

– Ukryte. – Tess poklepała torebkę z materiału w kolorze lawendy, pasującą do barwy sukni. – Proszę się nie obawiać, nikt nie będzie pani

podejrzewał, skoro uchodzi pani za chciwą burdelmameę.

– Co za wdzięczność! Czasami zadaję sobie pytanie, dlaczego pani pomagam.

– To proste. Spłaca pani dług wdzięczności, który u mnie pani zaciągnęła – podkreśliła Tess. Dzięki swoim wysiłkom kilka miesięcy wcześniej doprowadziła do zwolnienia z więzienia syna pani Tong, aresztowanego podczas manifestacji.

– Wcale nie podobają mi się radykałowie^[1] – powiedziała zrzędliwie pani Tong i mocno ściągnęła sznurówki sukni, jakby dawała upust złości.

Tess aż zatchnęło.

– Suknia jest za duża – powiedziała,

gdy złapała oddech

– Dlatego trzeba ją mocno ściągnąć – wyjaśniła pani Tong i jeszcze raz zdecydowanym ruchem pociągnęła za sznurówki.

Po chwili rzuciła Tess dopasowany kolorystycznie szal wykończony pawimi piórami, po czym przyłożyła palec do ust, podeszła na palcach do drzwi i nieznacznie je uchyliła.

Tess uniosła brwi. Pani Tong pokręciła głową, cicho zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

– Rozleźli się po wszystkich kątach, tak że od razu by panią zobaczyli – orzekła i dodała: – Musi się pani ukryć.

– To na nic. Prędzej czy później przeszukają cały dom – zauważyła Tess.

Strach ogarnął ją ze zdwojoną siłą. Dobrze wiedziała, że gdyby wpadła w ich łapy, mając przy sobie rysunki, doszłoby do katastrofy. Nie dość, że znalazłaby się w więzieniu, to wszystko, na rzecz czego pracowała, byłoby stracone.

– Potrzebuję trochę czasu – powiedziała. – Pani Tong, żołnierze są w domu uciech. Trzeba to wykorzystać i odwrócić ich uwagę.

Z kieszeni zakietu od kostiumu jeździeckiego, w którym przyszła do Świątyni Wenus, wyciągnęła nieduży srebrny pistolet, wcisnęła go do torebki i mocno ściągnęła troczki. Wsunęła stopy w śliczne lawendowe pantofelki i skrzywiła się, bo okazały się za małe.

Cisnęły ją i była przekonana, że zanim dotrze do domu, powstaną bąble.

– Uwagi kapitana nie da się odwrócić – stwierdziła pani Tong. – Kobiety go nie interesują.

– Niech mu pani podeśle jednego z chłopców.

– Chłopcy też go nie pociągają. Podobno to skutek rany odniesionej na wojnie. Niestety, w jego ołówku nie ma grafitu, a między nami mówiąc, to cenny ołówek.

– Biedak. Naprawdę poświęcił się dla ojczyzny. Zazwyczaj gdy zawodzi zew zmysłów, przemawiają pieniądze. Niech pani złoży mu propozycję, której nie będzie umiał odrzucić – doradziła Tess, która chciała za wszelką cenę umknąć

z rysunkami.

Odgłosy towarzyszące przeprowadzającym rewizję żołnierzom rozlegały się coraz bliżej. Trzaskanie drzwiami dowodziło, że przeszukują pokój za pokojem, wykazując przy tym mniej delikatności niż słoń w składzie porcelany. Słysząc było krzyki przestraszonych podopiecznych pani Tong i podniesione, zirytowane męskie głosy. Mnóstwo grzechów i grzeszków wyjdzie na jaw dziś wieczorem, pomyślała Tess. Najazd dragonów na przybytek pani Tong nie pozostanie bez echa. W porannych wydaniach gazet szukających sensacji znajdą się relacje opisujące to wydarzenie ze wszystkimi smakowitymi szczegółami.

– Czas na szybki odwrót – uznała i podeszła do okna. – Ile metrów dzieli mnie od ulicy?

– Nie da rady pani zejść – odparła pani Tong, zdumiona, że Tess przyszedł do głowy tak ryzykowny pomysł.

– Czemu nie? Przecież jest balkon, prawda? Nie mogę pozwolić, żeby mnie obszukali i znaleźli rysunki.

Niewiele myśląc, chwyciła prześcieradło z łóżka i zaczęła z niego skręcać zaimprovizowaną linę.

– To moja najlepsza pościel! – zaprotestowała pani Tong.

– Niech pani zapisze na mój rachunek – odparła Tess. – Zapomniałam o czymś?

Pani Tong przecząco pokręciła głową,

a w jej oczach pojawił się błysk uznania.

– Pani jest odważna, nie ma dwóch zdań – pochwaliła. – Może wsparłaby mnie pani w prowadzeniu Świątyni Wenus?

Tess pomyślała, że jedynie katastrofalna sytuacja życiowa mogłaby ją zmusić do szukania zarobku w zawiadywaniu burdelem.

– Proszę zapomnieć o tym pomysle, pani Tong. Nie interesują mnie męsko-damskie powiązania, a intymne tym bardziej, nawet za darmo – oznajmiła i dodała: – Dziękuję za pomoc.

Odciągnęła zasłony i otworzyła drzwi prowadzące na ozdobny kamienny balkon z rzeźbioną balustradą.

Obwiązała prześcieradłem jeden ze słupków i mocno pociągnęła. Materiał wytrzymał, ale nie sposób było powiedzieć, czy nie pęknie pod ciężarem jej ciała. Nie miała jednak wyboru, musiała zaryzykować. Trzymając w jednej dłoni pantofelki i torebkę z cenną zawartością, przesadziła balustradę i po zaimprovizowanej linie zaczęła się zsuwać na ulicę. Szeroka spódnica nabrała powietrza i przybrała kształt dzwonu.

Do chodnika brakowało ponad metr, gdy lina się skończyła. Tess zawisała na jej końcu, kołysząc się na jesiennym wietrze. Widziała przechyloną przez balustradę panią Tong, która wciąż

biadała nad zniszczoną pościelą. Tess zastanawiała się, czy wspiąć się z powrotem, czy zaryzykować skok, gdy nagle znalazła się niżej, słysząc, jak skręcone prześcieradło zaczyna się rozdzierać. Koronki sukni wrzynały jej się boleśnie w plecy. Zdezorientowana i przestraszona, niespodziewanie poczuła, że ktoś wyjął jej z ręki torebkę i pantofelki, a chwilę później ujął ją wpół i postawił na ziemi.

– To był wspaniały widok – rozległ się męski głos. – Mógłbym długo się pani przypatrywać, ale uznałem, że doceni pani pomoc.

Dałam się złapać, pomyślała spanikowana Tess. Zaraz jednak nakazała sobie w duchu: zachowaj

spokój, do niczego się nie przyznawaj. Usiłowała wyrównać oddech, ale świadomość, że ten mężczyzna najwyraźniej na nią czekał, a ona nie mogła mu uciec, niemal ją sparaliżowała. Nie miała pojęcia, kto to jest.

Lampy gazowe na placu były wygaszone, okiennice domu uciech znowu zostały zamknięte i tylko przez szpary sączyło się złotawe światło, które jednak nie wystarczyło, by ustąpił jesienny mrok. Tess nie zaliczała się do niskich kobiet, przeciwnie, ale nie dorównywała wzrostem mężczyźnie, który musiał mieć dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Wciąż mocno trzymał ją obiema rękami, teraz już nie w talii, lecz

za biodra, co wywołało niekontrolowaną reakcję – po ciele Tess przebiegł dreszcz, bynajmniej nie ze strachu. Tymczasem mężczyzna przesunął ją tak, że znaleźli się w wąłym świetle sączącym się przez okiennice jednego z okien. Dopiero tam puścił Tess, odsunął się i elegancko skłonił.

Właśnie w tym momencie puściły zdradliwe sznurówki, które musiały się rozluźnić w trakcie opuszczania się po prześcieradle. Suknia zsunęła się z ramion Tess, zatrzymała na wysokości bioder, po czym opadła, tworząc krąg u jej stóp. Zawstydzona i zarazem zła, Tess została w gorsecie i pantalonach. Mężczyzna zaniósł się śmiechem.

– Doskonała suknia – pochwalił z ironią, gdy zapanował nad śmiechem.

– Trochę zbyt wcześnie na takie uwagi – odparła wyniośle Tess.

Już wiedziała, kim jest mężczyzna. Gdy ochłonęła po nieoczekiwanym spotkaniu i jego skutkach, rozpoznała charakterystyczny głos, niski i melodyjny. Również sposób mówienia różnił się od szczekliwego brytyjskiego akcentu, który słyszała na co dzień. Tylko jeden człowiek spośród socjety leniwie przeciągał samogłoski, legitymował się amerykańskim pochodzeniem i był niebezpiecznym uwodzicielem – wicehrabia Rothbury.

Zrozumiała, że wysłano go, aby ją pojmał.

Był przyjacielem lorda Aleksa Granta, męża jej siostry Joanny, a także dobrym znajomym księcia Garricka Farne'a, jej drugiego szwagra, męża Merryn. Był zaledwie Owenem Purchase'em, kapitanem żaglowca, gdy niespodziewanie wszedł w posiadanie arystokratycznego tytułu, co natychmiast podniosło jego notowania w towarzystwie. Stał się pożądanym gościem przyjęć, balów i wieczorków. Wyglądało jednak na to, że uznanie ludzi niewiele go obchodzi, podobnie jak wcześniej okazywane mu przez nich lekceważenie.

Kilka razy składał wizyty Aleksowi i Joannie w ich rezydencji przy Bedford Square. Gdy akurat Tess była w domu

siostry, pilnowała się, by nie wejść mu w drogę. Przystojnych mężczyzn spotykała właściwie codziennie, ale żaden z nich nie poruszył w niej czulej struny. Zdarzało się, że budziło się w Tess lekkie zainteresowanie kimś byстрыm i dowcipnym, ale było przejściowe i bardzo szybko znikalo. Doszła do wniosku, że naturalny pociąg, jaki mogłaby odczuwać kobieta do mężczyzny, został skutecznie stłamszony przez złe doświadczenia drugiego małżeństwa. Nie sądziła, by kiedykolwiek była w stanie zmienić to nastawienie do mężczyzn, a zresztą nie oczekiwała tego i nie chciała.

Reakcja na bliskość Rothbury'ego zadawała kłam temu przeświadczeniu,

i to bardzo nie spodobało się Tess. Nie chodziło tylko o to, jak wicehrabia wygląda, choć był wysoki, szeroki w ramionach i silny. Na pewno można było nazwać go przystojnym. Co więcej, był zdecydowanie męski, co nieoczekiwanie dla siebie Tess odczuła o wiele za mocno, niżby sobie życzyła.

Wolała mężczyzn, którzy przedpołudnia spędzają w towarzystwie cyrulika lub krawca zamiast ćwiczyć się w jeździe konnej czy szermierce. W towarzystwie starannie uczesanych, wypomadowanych i równie jak ona biegłych w kwestiach mody dandysów nie miała poczucia zagrożenia. Natomiast Rothbury walczył ramię w ramię z Brytyjczykami pod

Trafalgarem^[2], a potem z Amerykanami przeciwko Brytyjczykom w bitwie pod North Point. Był marynarzem, odkrywcą i podróżnikiem. Natomiast Tess wolała ludzi, którzy nigdy nie wytknęli nosa poza granice własnego majątku.

Znaczenie miał również sposób bycia, gładkość wymowy i piękny głos, które skrywały prawdziwą naturę wicehrabiego, jego przenikliwość, bystrość oraz spostrzegawczość. Doświadczona przez życie Tess nie pozwoliła się oszukać i ani na chwilę nie traciła czujności.

Wciąż bacznie się jej przyglądał. Najwidoczniej i on ją poznał, bo ponownie skłonił się z wielką elegancją.

– Dobry wieczór, lady Darent –

powiedział. – To doprawdy bardzo osobliwy sposób opuszczania przybytku pani Tong.

– Lordzie Rothbury – przywitała się chłodno Tess. – Dziękuję za uznanie, nie zwykłam podążać drogą tłumów.

Kątem oka zauważyła, że wciąż tkwiąca na balkonie właścicielka Świątyni Wenus gwałtownie gestykuje. Tess domyśliła się, że pani Tong próbuje jej przekazać, że właśnie wicehrabia odpowiada za przeszukanie jej przybytku i jest tym, który został fatalnie poszkodowany w walce. Przed przyjaciółmi Rothbury z pewnością to ukrywał, pomyślała Tess. Cóż, nic dziwnego, że ten okaz dzielnego mężczyzny wolał nie wspominać

o słabościach, a tym bardziej dopuścić do tego, by stały się powszechnie znane. Nie były to informacje, które wtrąca się do niezobowiązującej rozmowy towarzyskiej.

Pilnowała się, by pod wpływem tych rozważań nawet przypadkowo nie rzucić okiem na jego spodnie. Zwłaszcza że miała o wiele ważniejsze sprawy na głowie niż dociekanie, czy Rothbury jest w stanie zapewnić rodowi ciągłość. Na przykład to, że stała przed nim w bieliźnie, a on wciąż trzymał jej pantofelki i co gorsza, torebkę, w której ukryła kompromitujące ją rysunki.

– Mogłaby pani włożyć suknię – odezwał się Rothbury. – Naturalnie, przymusu nie ma – dodał z ironicznym

uśmiechem – ale oboje poczulibyśmy się mniej niezręcznie.

Z wolna zmierzył wzrokiem Tess, zaczynając od bosych stóp. Z upodobaniem otaksował jej kobiecą figurę, przyjrzał się złocistorudym gęstym włosom, uwodzicielsko opadającym na ramiona, i wreszcie zatrzymał przenikliwe spojrzenie zielonych oczu na twarzy Tess, po czym zajrzał głęboko w jej niebieskie oczy.

Nie zważając na rozchodzące się po całym ciele dreszczyki, schyliła się po lawendową suknię i spróbowała ją na siebie wciągnąć. Lekka wydekoltowana suknia nie chroniła przed zimnem, a cienki szal gdzieś się zapodział, była więc wdzięczna Rothbury'emu, gdy

okrył ją elegancką, miękką peleryną podbitą futrem, która skutecznie broniła przed jesiennym chłodem. Wciąż jednak miała bose stopy. Nie zdążyła włożyć pończoch, więc zgrabiały jej nogi.

– Czy mogę dostać pantofle? – spytała.

– Na pana chyba nie będą pasować, nie ten rozmiar.

Zerknęła na jego nogi, ukryte prawie do kolan w lśniących butach z cholewami, które odbijały wątle rozproszone światło. Zorientowała się, że właśnie zastanawia się nad sprośną informacją, krążącą w plotkarskim świecie, według której wielkość stopy mężczyzny miała związek z jego męskością. Lady Farr miała romans ze swoim dżokejem, człowiekiem

niezwykle niskim. Powiadano też, że Napoleon Bonaparte, choć niepokąźny wzrostem, jest wybitnym kochankiem. Co się ze mną dzieje? – zdziwiła się w duchu. Dlaczego nagle zaczęłam myśleć o sprawach damsko-męskich, którymi nie zwykłam się interesować? W dodatku w najbardziej nieodpowiednim momencie, kiedy całą uwagę powinnam skupić na możliwościach ucieczki?

Ku zaskoczeniu Tess, wicehrabia przykląkł i podał jej pantofelek ze znaczącym uśmieszkiem. Błysnęły białe zęby kontrastujące z ogorzałą twarzą, która z pewnością poznała słońce w innym klimacie niż londyński. Wsunął jej pantofelek na stopę, zatrzymując na

chwilę ciepłą dłoń na łuku podbicia, a przez jej ciało po raz kolejny przebiegł przyjemny dreszcz.

– Dziękuję – powiedziała, wciskając stopy w ciasne pantofelki, które ją nieznośnie piły. – Zupełnie jakbym spotkała księcia z bajki.

– Nie przypominam sobie, żeby Kopciuszek odwiedzał burdel – odparł Rothbury, sprowadzając Tess na ziemię. – Co pani tam robiła, lady Darent?

Zachował uprzejmy ton, w którym jednak pobrzmiwała groźna nuta. Instykt samozachowawczy Tess natychmiast przesłał jej kolejne ostrzeżenie. Rothbury występował jako człowiek władzy, któremu polecono, by ją wytropił. Stała po cienkiej linii,

jeden fałszywy krok i spadnie. Miała tylko tę niewielką przewagę, że Rothbury nie znał tożsamości poszukiwanej osoby.

Wciąż trzymał jej torebkę. Za jego plecami Tess ujrzała oddział dragonów, otaczający nielicznych demonstrantów w łachmanach. Tego wieczoru doszło do protestów i ulica była zasłana gruzem i odłamkami drewna. Latarnie gazowe zostały potłuczone, ktoś przewrócił powóz. Jedna z okiennic w Świątyni Wenus żałośnie zwisała na jednym zawiasie. Wiatr miotał podartymi gazetami. Teraz jednak pozostało niewielu protestujących. Gdy nadjechali żołnierze, tłum się rozproszył równie szybko, jak zebrał. Pozostała tylko wątła

woń spalenizny, wciąż wyczuwalna w chłodnym londyńskim powietrzu.

Tess wzruszyła ramionami i wytrzymała uważne spojrzenie wicehrabiego.

– A po co chodzi się do burdelu, lordzie Rothbury? – spytała pogodnie. – Jeśli ma pan wyobraźnię, to może teraz z niej skorzystać. – Kpiąco uniosła brew. – Zakładam, że wypytuje mnie pan, ponieważ wykonuje ważne zadanie i nie chodzi o impertynenckie wścibstwo.

– Jestem tutaj na polecenie ministra spraw wewnętrznych, lorda Sidmoutha – odparł wicehrabia, przestępując z nogi na nogę. – Dzisiaj w gospodzie Feathers odbywało się nielegalne spotkanie

o charakterze politycznym. Czy pani coś wie na ten temat?

Tess poczuła, że serce bije jej tak, jakby chciało wyrwać się z piersi.

– Czy wyglądam jak kobieta, która śledzi tego typu wydarzenia? – spytała.

– Polityka kompletnie mnie nie interesuje.

W twarzy wicehrabiego ponownie błysnęły białe zęby, odsłonięte w krzywym uśmiechu.

– Naturalnie – odrzekł. – Wobec tego na pewno nie zaciekawia pani informacja, że szukam kilkorga niebezpiecznych przestępców, w tym autora radykalnych karykatur, ukrywającego się pod pseudonimem Jupiter.

Tess nie miała nic wspólnego ze światem przestępców. Była filantropką, która wspomagała ludzi z niższych sfer, ale w pewnym momencie doszła do wniosku, że to za mało. Uznała, że konieczne są reformy społeczne, które uczynią życie biedoty lepszym, a przynajmniej znośnym i wyposażą ich w określone prawa. Naturalnie, minister spraw wewnętrznych nie podzielał jej poglądów. W jego opinii wszelkiej maści reformatorzy byli zagrożeniem dla ustanowionego porządku publicznego i z tego powodu należało ich unieszkodliwić. W tej sytuacji nie wolno jej było zdradzić się z tym, że cokolwiek wie o dążeniach i działalności reformatorów, a tym bardziej że jest

z nimi związana. Udawaj, graj, nakazała sobie w duchu. Robiłaś to wcześniej.

– Ściga pan przestępców w domu uciech? – spytała znużonym tonem, udając zdumienie. – To dość osobliwy sposób na łączenie przyjemnego z pożytecznym. Jak się panu powiodło? Znalazł pan kogoś?

– Jeszcze nie – odrzekł Rothbury.

Ton jego głosu skłaniał do daleko posuniętej ostrożności. Nieznacznie zerknęła na torebkę zawierającą kompromitujące rysunki. Miałyby się z pyszna, gdyby wicehrabia ją otworzył.

– Wspomniał pan o lordzie Sidmoucie – zagadnęła. – Nie przypominam go sobie. Czy mogłam spotkać go na balu albo podczas przyjęcia?

– Wątpię – stwierdził Rothbury. – Lord Sidmouth niespecjalnie udziela się towarzysko.

– No cóż, jego sprawa.

Tess wzruszyła ramionami, jakby rozmowa zaczęła ją nudzić. Zerknęła ku otwartym teraz drzwiom Świątyni Wenus, z których światło wylewało się na bruk Covent Garden Square.

– Miło tak stać z panem i gawędzić – odezwała się znowu – ale jestem bardzo zmęczona, a nawet wykończona wieczornymi zajęciami. Z pewnością musi pan skupić się na wykonaniu zadania. – Stłumiła ziewnięcie, żeby uwiarygodnić własne słowa. – Proszę wybaczyć, ale odszukam powóz i pojedę do domu. Proszę więc oddać mi torebkę.

Rothbury zważył w dłoni torebkę, a Tess wstrzymała oddech. Wiedziała, że za wszelką cenę należy zachować spokój i zapanować nad emocjonalnymi odruchami. Gdyby spróbowała wyrwać mu swoją własność, Rothbury zajrzałyby do środka, w wyniku czego ona błyskawicznie trafiłaby do Tower jako niebezpieczny więzień polityczny.

– Co pani tam trzyma?

– Zawartość torebki damy jest wyłącznie jej sprawą – odparła, siłąc się na obojętny ton, choć w ustach jej zaschło. – Z pewnością jako dżentelmen zechce pan uszanować moją prywatność – dodała z naciskiem.

– Na pani miejscu nie byłbym tego taki pewien. Jak na balową torebkę, jest

wyjątkowo ciężka – zauważył wicehrabia. – Pewnie w środku ukryła pani pistolet. Musi pani pozwalać sobie na niebezpieczne igraszki z kochankami.

– Strzelam tylko do tych, którzy mnie nie zaspokajają – palnęła Tess, osładzając odpowiedź słodkim uśmiechem.

Rothbury odwzajemnił jej uśmiech, a zielone oczy niespodziewanie rozbliły, jakby zapłonęło w nich słońce. Ten ciepły uśmiech niebezpiecznie zaburzył równowagę Tess. Wicehrabia ostrożnie położył torebkę na jej wyciągniętej dłoni. Z nagłym poczuciem ulgi Tess zacisnęła palce na jedwabiu i omal nie ugięły się pod nią kolana. Nagle uświadomiła

sobie, że przez cienki materiał nie czuje złożonych kartek. Zacisnęła palce nieco mocniej, rozpaczliwie starając się odkryć znajomy kształt.

Rysunków nie było.

ROZDZIAŁ DRUGI

Miała najpiękniejsze stopy, jakie kiedykolwiek widział.

Może nie był to pierwszy szczegół, który zauważali mężczyźni patrzący na Teresę Darent, ale Owena Purchase'a, wicehrabiego Rothbury, nie pociągały oczywistości. Gdy pomagał jej wsiąść do dorożki, zdążył jeszcze zobaczyć, jak Tess strzepuje z nóg lawendowe pantofelki i chowa stopy pod falbaniastą spódnicą. Niewątpliwie były za małe, co zauważył wcześniej, gdy podawał jeden z nich, by go włożyła. Również suknia z pewnością nie należała do lady Darent. Owen nie był znawcą damskich

strojów, natomiast nabrał wprawy w umiejętnym zdejmowaniu ich z kobiet. Wiedział, że dama o uroczych i pełnych krągłościach, w dodatku ciesząca się skandaliczną reputacją, tak jak to było w przypadku Tess Darent, nie włożyłaby wyraźnie za dużej sukni. Strój był zatem pożyczony. Ta konstatacja kazała się zastanowić, co miała na sobie lady Darent, kiedy przybyła do Świątyni Wenus, i dlaczego musiała się przebrać.

Zainteresowała Owena, i to bardzo. Nie tylko dlatego, że miała twarz anioła i reputację grzesznicy. Ludzie twierdzili, że Tess jest płytka jak kałuża, przekupna, niemoralna i ekstrawagancka. Była znawczynią mody, która wydawanie pieniędzy

przekształciła w dziedzinę sztuki. Budziła jednocześnie fascynację i oburzenie towarzystwa kolejnymi małżeństwami i niestandardowym postępowaniem. Przypisywano jej ptasi mózdzek. Nie było żadnego powodu, dla którego taka kobieta mogłaby wydać się Owenowi pociągająca, jednak intuicja uporczywie podpowiadała mu, że nie jest ona tym, za kogo uchodzi.

– Dziękuję, lordzie Rothbury. – Tess uśmiechnęła się do niego z głębin ciemnej dorożki.

Lawendowa suknia eterycznie opalizowała w nikłym świetle. Wraz z lśniącoymi włosami, spadającymi na ramiona, wywoływała wrażenie, któremu trudno było się oprzeć. Owen

zareagował impulsywnie i gwałtownie. Miał ochotę zedrzeć z Tess suknię, aby odsłonić jej cudowne ciało z niesamowitymi krągłościami. Tyle że nie na tym powinien skupić uwagę. Ta świadomość przypominała mu niedawną rozmowę z ministrem spraw wewnętrznych.

„Ścigamy niebezpiecznych przestępców, Rothbury” – ostrzegł lord Sidmouth, proponując mu funkcję przedstawiciela ministerstwa do specjalnych poruczeń. „Oni mają za nic prawo i porządek”. Postukał ołówkiem w całkiem udatną karykaturę leżącą na biurku. „Zdrada stanu” – ciągnął. „Bunty. Sianie niepokoju. Podburzanie ludzi. Dopilnuję, żeby wszyscy zawiśli”.

Ściągnął brwi. „Jest pan teraz parem królestwa, Rothbury, nawet jeśli musieliśmy przepchnąć przez parlament specjalną ustawę, żeby tak się stało”. Zabębnił palcami po karykaturze. „Potrzebuję pańskiej pomocy przeciwko zdrajcom”.

„Rozumiem, milordzie” – powiedział Owen, choć nie umknęła jego uwagi ironia sytuacji. Nie tak dawno również jego lord Sidmouth bez wahania nazwałby zdrajcą i przestępcą. Jako Amerykanin, był wrogiem państwa brytyjskiego w czasie, gdy toczyła się wojna amerykańsko-brytyjska. Po odziedziczeniu brytyjskiego tytułu stał się jednym z filarów tutejszego establishmentu. Miał więc zobowiązanie

wobec rodziny, musiał dbać o jej dobre imię. Kiedyś je zhańbił i nie mógł ani nie chciał pozwolić, by to się powtórzyło. Przyjęcie obowiązku ochrony państwa brytyjskiego było dla niego szansą na pełną rehabilitację.

Tess Darent poruszyła się we wnętrzu dorożki i znów przyciągnęła uwagę Owena. Wciąż czuł jej perfumy, wyraźny zapach z ostrą nutą, a jednocześnie słodki. Doskonale pasował do urodziwej prowokatorki, był jeszcze jednym składnikiem jej urokliwej, trzpiotowatej powierzchowności. Owen próbował dociec, co Tess pod nią ukrywa. Prezentowała niewinną minkę, która oszukałaby dziewięciu na dziesięciu

mężczyzn i kazała im wierzyć, że mają przed sobą damę o ograniczonych horyzontach, gotową lekko przejść przez życie. Pech Tess Darent polegał na tym, że on był tym dziesiątym. Nie uwierzył w ani jedno jej słowo ani nie wziął za dobrą monetę wizerunku, który publicznie prezentowała Tess.

Nie miał jednak podstaw, żeby ją zaaresztować. Odwiedzanie burdeli nie było nielegalne, noszenie broni też nie, a na radykalną konspiratorkę lady Darent nadawała się tak samo jak on na królową Sabę. Sam taki pomysł wydawał mu się niedorzeczny.

– Dobrej nocy. – Przytrzymał drzwi dorożki. – Życzę pani bezpiecznego powrotu do domu, milady.

– A ja panu powodzenia w łapaniu złoczyńców – odparła, spoglądając na niego oczami niewiniątka. – Jak pan ich nazywa? Madrygałowie?

– Radykałowie – odparł grzecznie Owen.

– Wszystko jedno.

Poparła te słowa drobnym gestem. Przybrała obojętny, lekko znudzony wyraz twarzy. Nawet ziewnęła. Owen po raz kolejny zadał sobie w duchu pytanie, czy tym razem zachowuje się naturalnie. Jeśli nie, to musiał przyznać, że ma talent aktorski.

– Proszę przekazać serdeczne pozdrowienia lordowi... Sidmouthowi, dobrze zapamiętałam, prawda? – Na chwilę zamilkła, po czym spytała: – On

jest bogaty? Żonaty?

– Obecnie nie – odrzekł Owen.

Tess uśmiechnęła się.

– Niebogaty czy nieżonaty?

– Bogaty, ale aktualnie nieżonaty.

Tess uśmiechnęła się szerzej.

– Chciałabym więc go poznać.

– Szuka pani następnego męża do kolekcji? – spytał ironicznie.

– Małżeństwo jest moim naturalnym stanem. Czy Sidmouth jest stary?

Owen parsknął śmiechem.

– Prawdopodobnie nie tak, by można było przewidywać jego rychłe odejście z tego świata.

– Szkoda. To zawsze wydawało mi się dużą zaletą u męża. – Z kpiącą miną zmierzyła Owena od stóp do głów

fiołkowoniebieskimi oczami, po czym przesłała mu porozumiewawcze spojrzenie. – A pan, lordzie Rothbury? – spytała. – Czy szuka pan bogatej żony, która pasowałaby do arystokratycznego tytułu? Słyszałam, że w kufrze ma pan same mole.

– Plotkarze nie próżnują – zauważył Owen.

– Taka ich rola – stwierdziła Tess. – Tak samo każda matrona z córką na wydaniu ma święty obowiązek jak najlepiej zaprezentować panu swoją pociechę.

– Chwilowo nie szukam żony – uciął.

Zdziwił się, że przenikliwe spojrzenie Tess Darent niemal go obezwładniło. Tajemnicą poliszynela było, że

odziedziczył tytuł bez majątku. Nie dalej jak tego ranka odbył kłopotliwą rozmowę z cioteczną babką, jedną z licznych krewnych w starszym wieku, którą odziedziczył wraz z tytułem. Lady Martindale była nieprzyzwoicie bogata, ekscentryczna i nieznośnie zadufana w sobie. Zapowiedziała, że dostanie od niej dostatecznie dużo pieniędzy, by doprowadzić do porządku rodzinne majątki, i zostanie jej dziedzicem, ale dopiero wtedy, gdy się ożeni. Owen wiedział, że zareagował na jej autorytatywne wypowiedzi jak uparte dziecko, nie chciał jednak składać małżeńskiej przysięgi wyłącznie dlatego, że życzy sobie tego lady Martindale. Drugie wyjście z zapaści finansowej,

czyli szukanie bogatej dziedziczki, uznał za odrażające. Poza wszystkim jeszcze nie spotkał kobiety do wzięcia, która prędzej czy później by go nie nudziła. Lady Darent okazała się wyjątkiem. Może nie zasługiwała w pełni na miano kobiety do wzięcia, ale przynajmniej była na tyle interesująca, że przy niej się nie nudził.

Tess wciąż go obserwowała. Oczywiście miała identyczne w odcieniu jak jej siostra Joanna – fiołkowoniebieskie. Natomiast włosy były zdecydowanie złocistorude, a nie złocistobrazowe, jak u Joanny, i bardzo do niej pasowały. Przed laty Owen odczuwał pociąg do Joanny, która jednak okazała się dostatecznie niewdzięczna, by wybrać

jego najlepszego przyjaciela Aleksa. Rozum podpowiadał mu, że siostry, które cechowało rodzinne podobieństwo, w gruncie rzeczy bardzo się różnią. Pożądanie jest jednak głuche na głos rozsądku. Do dziś pamiętał, że silnie zareagował, gdy po raz pierwszy zobaczył Tess. Wówczas sądził, że dlatego, iż wyglądem przypominała mu Joannę, do której żywił niezaspokojony afekt i niespełnione uczucie. Naturalnie, Tess nie była swoją siostrą, i o tym nie wolno mu zapominać. Jednej mieć nie mógł, a co do drugiej to na razie zainteresowała go i pobudziła jego zmysły, bo wręcz emanowała kobiecością.

Puścił drzwi i dał woźnicy znak, aby

ruszył. Przez chwilę stał i patrzył, jak dorożka wtapia się w mrok. Ogarnęło go poczucie, że przegapił coś ważnego, ale nie potrafił sobie uzmysłwić, co by to mogło być. Postanowił ponownie skupić się na wykonaniu powierzonej mu misji i po białych kamiennych schodach wrócił do holu Świątyni Wenus. Ostatni dragoni właśnie ją opuszczali, a ich dowódca, ponuro wyglądający mężczyzna w randze kapitana, niechętnie pozdrowił Owena, który wiedział, że wojskowi woleli nie mieć nic wspólnego z ludźmi Sidmoutha.

– Nie przejmuj się kapitanem Smartem – szepnął mu na ucho przyjaciel, Garrick Farne. – Nic dziwnego, że jest w złym humorze po przetrząsaniu burdelu. Pod

Salamanką szrapnel dotkliwie go uszkodził w newralgicznym miejscu.

– Biedak – odparł współczującym tonem Owen. – Znaleźliście coś przydatnego? – zainteresował się.

– Obawiam się, że niezbyt wiele. Jeśli nawet któryś z przywódców klubu Jupiter tędy uciekał, to nie pozostał po nim ślad.

– Przewidywałem, że dotarcie do nich i schwytanie musi potrwać.

Owen był przyzwyczajony do długotrwałych wysiłków. Ta misja zasadniczo różniła się od tego, czym wcześniej się zajmował, jednak również wymagała cierpliwości, pomysłowości i zimnej krwi. Wprawdzie tym razem nie odkrywał nieznanymi terenów, nie

żeglował po morzach i nie walczył za wolność ojczyzny, ale potajemnie działał w imieniu rządu, co było kolejnym wyzwaniem. Był przekonany, że bez konieczności sprawdzenia się w działaniu, zmagania z przyrodą lub wrogiem czy przeciwnościami losu umarłby za życia. Odziedziczył tytuł i tym samym wszedł w arystokratyczne środowisko, ale nie umiał wyobrazić sobie, że poprzestanie na bywaniu w klubach i salonach czy zaszyje się we własnym majątku ziemskim, gdzie będzie polował i przyjmował sąsiadów. Chciał być kowalem własnego losu, samodzielnie podejmować decyzje. Na aktywnej postawie życiowej z pewnością zaważyło amerykańskie

dziedzictwo.

– Rozumiem, że ani śladu Toma – odezwał się Owen.

Garrick przecząco pokręcił głową.

– W takim razie nadal będę go szukał.

Tego wieczoru Owenowi towarzyszył Garrick Farne, ponieważ wśród socjety rozeszły się pogłoski, że do Londynu wrócił jego brat przyrodni, Tom Bradshaw, syn księcia z nieprawego łoża. Rok temu poślubił on zamożną dziedziczkę, ale szybko rzucił ją i zrujnował, przejąwszy jej majątek. Nie był to jedyny grzech, jaki miał na sumieniu. Ten groźny przestępca wcześniej próbował zniszczyć Garricka i zabić jego żonę Merryn. Nic dziwnego, że na wzmiankę o bytności Toma

w stolicy lord Sidmouth omal nie dostał ataku apopleksji. Nakazał, by arystokraci, których los pokarał łajdackimi krewnymi, wytropili ich i postawili przed sądem. Garrick przyznał Sidmouthowi rację, chociaż akurat w tej sprawie Owen podejrzewał go o znacznie mniej skomplikowane motywy. Bradshaw usiłował zabić kobietę, którą kochał Garrick, zatem był on gotów poruszyć niebo i ziemię, by schwytać niebezpiecznego i nieobliczalnego Toma.

– Natrafiłeś na coś ciekawego w Świątyni Wenus? – spytał Owen.

– To nie jest miejsce dla mężczyzny, który czuje się szczęśliwy w małżeństwie – odparł Garrick. –

Często musiałem odwracać spojrzenie, by nie wprawiać gości tego przybytku w zakłopotanie, ale mimo mojego słabego wzroku coś znalazłem. – Mówiąc to, pokazał przyjacielowi koszulę, kurtkę jeździecką i parę spodni. – Nikt z obecnych w domu uciech nie przyznał się do tego stroju i trudno się dziwić, skoro w kieszeni było to...

Garrick położył mu na dłoni groźnie wyglądający nóż z zakrzywionym ostrzem. Broń miała rzeźbioną rękojeść z kości słoniowej i motyw ostu wyryty na ostrzu.

– Bardzo ładna sztuka – zauważył Owen i ujął rękojeść noża, który był lekki, ale piekielnie ostry i doskonale wyważony. – Moglibyśmy czegoś się

dowiedzieć, gdybyśmy poszli tym tropem.

Garrick skinął głową.

– Mam coś lepszego. – Wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął z niej plik pogniecionych kartek, które rozłożył i podał Owenowi. – Przypadkiem znalazłem je w jednym z pokoiów na górze, starannie ukryte pod stertą bielizny w szufladzie. Ta stara rajfurka przysięgła, że nie ma z tym nic wspólnego, i sugerowała, iż musiał to zostawić ktoś z gości.

Owen popatrzył na rysunki. Wyszły spod prawnej dłoni artysty, który za pomocą zaledwie kilku kresek stworzył żywe wyobrażenia. Dość okrutna, ale bardzo udatna karykatura lorda

Sidmoutha przedstawiała go jako balon na rozgrzane powietrze. Na innym rysunku oddział dragonów na koniach tratował mężczyzn, kobiety i dzieci. Proporzec nad ich głowami głosił „Wolność ma swoją cenę”. Było w tej scenie coś takiego, że Owen poczuł ściskanie w gardle. W rogu każdej kartki znajdował się podpis autora, czarne litery z pętelkami, tworzące słowo „Jupiter”.

– Jupiter jednak się tutaj ukrywał – powiedział, cedząc słowa.

– Na to wygląda. – Garrick skinął głową. – Te rysunki to bardzo skuteczna propaganda – przyznał. – Nic dziwnego, że Sidmouth ich nienawidzi.

– Są niebezpieczne, bo wzniecają

panujące niezadowolenie – dodał Owen Schował rysunki do kieszeni i przeniósł wzrok na leżącą na podłodze stertę ubrań. Trącił ją czubkiem buta i przez moment czuł w powietrzu charakterystyczny zapach, świeży i ożywczy. Natychmiast go rozpoznał. Przykucnął, podniósł koszulę i wziął w palce płótno, by zbadać jego jakość.

Już wiedział, co miała na sobie Tess, wchodząc do Świątyni Wenus. Czyżby przybyła incognito, nie chcąc, aby w towarzystwie rozeszła się wieść, że lady Darent zabawia się w domu uciech? A może strój był częścią zmysłowej gry? Może chciała, by kochanek zdejmował z niej warstwa po warstwie męski strój, zanim zaczął się

z nią kochać?

Owen przypomniał sobie, jakie odniósł wrażenie, gdy ujął Tess, zdejmując ją z liny. Przez delikatny jedwab lawendowej sukni poczuł wcięcie w talii, łukiem przechodzące w szerokie biodra. Od skóry przykrytej cienką materią było ciepło. „Jeśli ma pan wyobraźnię, to może teraz z niej skorzystać” – powiedziała kpiąco Tess. Właśnie teraz wyobraźnia podsunęła mu obraz tych urzekających kształtów, uwięzionych w prostych liniach kurtki jeździeckiej i spodni oraz cienką bawełną koszuli ocierającą się o kobiece piersi. Przysunął koszulę do twarzy, wciągnął nozdrzami jej zapach i znów targnęła nim żądza.

– Dopiero co spotkałem twoją szwagierkę – zwrócił się do Garricka.

– Co sprowadziło tu Joannę Grant? – spytał zaskoczony Garrick, pozornie bowiem ta informacja nie miała związku z ich wcześniejszą rozmową.

– Mówiłem o lady Darent. Z pokoju na piętrze spuszczała się po linie z prześcieradła.

Garrick nagle się uśmiechnął.

– Ach, rozumiem. To bardzo pasuje do Tess, która nie stroni od skandali. Niewykluczone, że ściągnęła ją tu chęć wzięcia udziału w orgietce.

Owen się skrzywił. Dopiero co udało mu się odsunąć od siebie myśl o Tess mającej na sobie jedynie bawełnianą koszulę, a oto pod wpływem słów

przyjaciela wyobraził sobie Tess, na różne wyszukane sposoby zabawiającą się w miłosne gry. Spojrzał w odległe miejsce, żeby zająć czymś umysł. Niestety, natrafił wzrokiem na malunek przedstawiający nagą nimfę i grupę hojnie wyposażonych dżentelmenów, biorących udział w orgii. Najwyraźniej przebywanie w domu uciech nie sprzyjało oderwaniu się od określonych myśli. Owen uniósł rękę, żeby rozluźnić fular, i wtedy spostrzegł, że przygląda mu się Garrick, wcale się z tym nie kryjąc.

– Jesteś zainteresowany?

Owen nerwowo przeczesał dłonią włosy.

– Kim? Lady Darent? Skądże.

Wyszedłbym na głupca, gdyby tak było.

Garrick uśmiechnął się nieznacznie.

– To nie była pełna odpowiedź na moje pytanie – stwierdził i dodał: – Tutejsze dziewczęta potrafią zrobić głupka z każdego mężczyzny.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Owen. – Profesjonalnie zajmują się wodzeniem mężczyzn na pokuszenie. – Omiótł ostatnim spojrzeniem hol. – Muszę stąd wyjść.

– Mógłbyś też zostać. – Garrick wymownie uniósł brwi.

Owen wskazał antresolę, gdzie pani Tong stała oparta o kutą balustradę i przyglądała im się, nie kryjąc wrogości.

– Zdaje mi się, że nadużyliśmy

gościnności – zauważył. – To spojrzenie bazyliuszka ostudzi najbardziej chętnego mężczyznę.

– Idźmy do White’a – zaproponował Garrick. – Napijemy się brandy, co?

– Znakomicie.

Owen pochylił się i podniósł z podłogi strój jeździecki. Zapach Tess wyraźnie osłabł. Przypomniawszy sobie, co powiedział Garrick o nożu – był w kieszeni kurtki. Tess miała więc przy sobie nóż i pistolet. Po co nosiła ze sobą broń i czy w razie potrzeby potrafiłaby jej użyć? Czy czegoś się obawiała? Garrick stwierdził, że rysunki ukryto w pokoju na piętrze, a Tess spuściła się po linie z prześcieradła właśnie z piętra...

Owen instynktownie poczuł, że musiał przegapić coś oczywistego, co miał pod nosem. Przemknęła mu przez głowę pewna myśl, zuchwała i niewiarygodna. Wyglądało na to, że został po mistrzowsku wyprowadzony w pole. Uwierzył w to, na co patrzył i co usłyszał: występna urodziwa wdówka chyłkiem opuściła dom uciech przez okno, aby uniknąć skandalu. Uprzytomnił sobie, że Tess Darent twierdziła, iż nie interesuje jej polityka, nie wie, kim jest lord Sidmouth czy radykałowie. Zapewniała, że spieszy się do domu, aby odespać rozpustne wybryki. Tak naprawdę chciała jednak jak najszybciej umknąć.

Wypuścił ubrania z dłoni i pozwolił,

by opadły na podłogę, a potem wyjął z kieszeni rysunki i jeszcze raz je obejrzał. Według niego nic nie upoważniało do stwierdzenia, że zręczny i niebezpieczny Jupiter jest mężczyzną. To Sidmouth dokonał takiego założenia; uważał również, że klub Jupiter składa się wyłącznie z mężczyzn. Tymczasem za tym pseudonimem równie dobrze mogła się kryć kobieta, zwłaszcza taka, która nosi pistolet w torebce i niewykluczone, że uczestniczy w wiecach radykałów przebrana za mężczyznę. Kobieta, która udaje niestałą jak motyl trzpiotkę i cieszy się nie najlepszą reputacją w towarzystwie.

Wydawało się to niemożliwe, a jednak... Owen głęboko odetchnął.

Gdyby spróbował wystąpić z sugestią, że Jupiter to złej sławy owdowiała markiza Darent, lord Sidmouth dopilnowałby, by śmiech wygnał Owena z Londynu. W tej sprawie można było wnioskować w najlepszym razie na podstawie poszlak. Mimo to Owen nabrał przekonania, że przeczucie go nie myli. Wcześniej zastanawiał się, co ukrywa Teresa Darent. Teraz nawet nie przypuszczał, już wiedział. Tyle że musiał udowodnić śmiałą tezę.

Lady Emma Bradshaw właśnie wróciła ze spotkania klubu Jupiter. Stała przed drzwiami niewielkiego domu, nasłuchując cichnącego turkotu powozu brata, gdy nagle z mroku wyłonił się

mężczyzna, mocnym szarpnięciem otworzył drzwi wejściowe i bezceremonialnie wepchnął ją do środka. Zacisnął ramię na jej talii, a drugą ręką zakrył usta. Napaść była tak zaskakująca i jednocześnie przerażająca, że Emma nawet nie zdążyła krzyknąć. Po chwili zebrała jednak siły i zaczęła się bronić. Kopała, gryzła, ale szybko zaprzestała walki, bo poznała napastnika, jego zapach i dotyk. Kolana się pod nią ugięły, bezwładnie zawisła w jego uścisku i wtedy ją puścił.

– Tom – szepnęła Emma.

Tom Bradshaw, jej mąż, tutaj! Sześć miesięcy po tym, jak rzucił ją i zostawił na pastwę losu bez pensa przy duszy i w dodatku bez słowa pożegnania.

Z jego ust zniknął szelmowski uśmiezek, który dobrze zapamiętała, bo nie posługiwał się nim uroczy nicpoń, tylko zły, bezwzględny egoista. Tom wydawał się starszy, pobladłą twarz żłobiły głębokie bruzdy, widać było po nim przeżyte cierpienie. Nie próbował jej ponownie dotknąć ani znów się do niej zbliżyć. Staął o krok za progiem.

Emma nie spodziewała się, że kiedyś zobaczy skrepowanego i niepewnego siebie męża. Zaczęła się zastanawiać, co mu powiedzieć. Wcześniej, na wypadek, gdyby miała nieszczęście spotkać dawnego Toma, łajdaka i oszusta, przygotowała sobie odpowiednią przemowę i nawet ją przećwiczyła. Teraz, widząc odmienionego męża,

spytała jedynie:

– Co się stało? Gdzie byłeś?

Natychmiast poczuła do siebie pretensję, bo te słowa zabrzmiały tak banalnie, jakby Toma nie było zaledwie kilka godzin i wrócił do domu z miejscowej gospody. Dostrzegła, że blado się uśmiechnął, dając znać, że wie, iż żadne z nich nie umie znaleźć odpowiednich słów. Na ten widok Emma pozbyła się wątpliwości, pozwalając, by zawładnęły nią nienawiść i wściekłość. Założyła ręce za plecy, żeby nie rzucić się z pięściami na męża.

– Na statku – odparł Tom.

Nie zbliżając się do Emmy, wszedł w głąb korytarza. Rozległ się głośny stuk

kroków na kamiennych płytach. Emma zastanawiała się, czy mąż nie zbudził służącej, której mogłoby przyjść do głowy, że pani podejmuje kochanka, korzystając z późnej pory. Chwyciła Toma za ramię i wciągnęła go do kuchni, po czym zamknęła za nimi drzwi.

– Na statku?

Wiedziała, że powtarza po nim jak papuga, ale wciąż ledwie nad sobą panowała i uznała, że w tym stanie nie powie nic sensownego.

– Komuś bardzo się nie spodobałem. – Tom wzruszył ramionami. – Ten ktoś zapłacił zbirom, żeby mnie ogłuszyli i wrzucili do ładowni statku płynącego do Indii. Nikt o nic mnie nie pytał.

Emma milczała. Nie uwierzyła

Tomowi, którego poznała od najgorszej strony, również jako nałogowego kłamcę. Zatem w ten sposób chciał wytłumaczyć porzucenie żony bez słowa wyjaśnienia, ucieczkę z jej pieniędzmi i brak jakichkolwiek wiadomości. Zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli chciał do niej wrócić, to nie mógł się przyznać, że opuścił ją z własnej woli.

– Dziwi mnie, że zajęło to tak dużo czasu – zauważyła z przekąsem. – W Anglii można by znaleźć przynajmniej sto osób, które zapłaciłyby, żeby się ciebie pozbyć lub na tobie zemścić.

Odwróciła się do niego plecami i wbiła wzrok w niedużą akwarelę, przedstawiającą scenę z życia wiejskiego. Ciepłe, pastelowe kolory

rozmywały się w blasku świec. Ten obrazek namalowała dla niej w prezencie Tess Darent, gdy Emma przeprowadzała się do Hampstead Wells, żeby kolory złagodziły surowość bielonej ściany. Odkąd opuścił ją Tom, Tess stała się jej najwierniejszą przyjaciółką.

– Po co wróciłeś? – spytała. – Tacy ludzie jak ty zbijają wielkie majątki w Indiach. – Mimo zdenerwowania starała się mówić wyważonym tonem. – Słyszałam, że ludzie twojego pokroju mają tam dużą szansę.

– Wróciłem do ciebie – odparł Tom.

Emma nie patrzyła na męża, ale czuła na sobie jego spojrzenie.

– Uwięziony na tym piekielnym statku,

rozmyślałem tylko o tobie. Wyobraziłem sobie, że ponownie się spotykamy, i tylko to trzymało mnie przy życiu.

W tym momencie Emma wyrznęła pięścią w kuchenny stół tak energicznie, że wielki nóż podskoczył i przesunął się po blacie.

– Przestań! – wykrzyknęła, po czym dla uspokojenia odetchnęła głęboko i zniżyła głos: – Na to za późno. Nie wydaje mi się, żebym po tym wszystkim była w stanie ponownie ci zaufać. Ogromnie się na tobie zawiodłam.

– Kocham cię – wyznał Tom. – Przysięgam, że to prawda.

– Daj spokój. – Emma pokręciła głową. – Nie chcę tego słuchać.

Tom zbladł jeszcze bardziej i lekko

się zachwiał. Emma instynktownie zrobiła krok w jego stronę, wyciągając rękę, ale w porę się powstrzymała i opuściła ramiona. Nie wolno ci mu zaufać, przestrzegła się w duchu. Porzucił ją bez słowa ostrzeżenia. Zostawił samą, aby borykała się z życiem bez pieniędzy, które jej zabrał, bez domu i wsparcia. Nie była bez winy. Biorąc ślub z Tomem, zdawała sobie sprawę z tego, że jego reputacja pozostawia wiele do życzenia. Uległa jednak urokowi uwodzicielskiego nicponia. Jak się okazało, z fatalnym skutkiem. Obecnie niewinna i niedoświadczona młoda panna, która zadurzyła się w Tomie Bradshaw, stała się dla niej niemal kimś obcym, jakby

z innego życia.

– Pomógł mi twój brat przyrodni – powiedziała, nie spuszczać wzroku z męża. – Pamiętasz Garricka Farne’a, człowieka, którego chciałeś zrujnować, a jego żonę zabić?

– Przyznaję, że popełniłem różne odrażające czyny – powiedział cicho Tom, pochylając głowę. – Postanowiłem stanowczo, że nigdy więcej nie wejść w kolizję z prawem. Dowiodę ci, obiecuję i...

– Tom – wpadła mu w słowo Emma – już powiedziałam, że na to zdecydowanie za późno. – Odwróciła się i dokończyła: – Jeśli mnie kochasz, to za chwilę opuścisz ten dom i więcej nie będziesz próbował się ze mną

spotkać ani mnie nachodzić. I bez tego moje poczucie życiowego bezpieczeństwa jest nadal kruche. To najlepsze, co możesz dla mnie zrobić.

– Nie, Emmo...

– Idź – odparła.

Gdy znowu się odwróciła, Toma już nie było w kuchni. Usłyszała, jak trzasnęła zapadka zamykających się drzwi. Wolno przeszła do holu i przekręciła klucz. Czując chłód przenikający ją do szpiku kości, skierowała się do saloniku. Na kominku palił się ogień, spróbowała więc ogrzać przy nim drżące dłonie. Na stole stała jej kolacja, półmisek z szynką, chlebem i serem oraz kieliszek wina, ale nie była w stanie nawet tknąć posiłku. W ustach

jej zaschło, gardło miała ściśnięte. Nie chcę go, powtarzała sobie, z trudem powstrzymując łzy. Nie potrzebuję go, ponownie mnie zawiedzie, zrani i wpędzi w depresję.

W saloniku panowało miłe ciepło, a mimo to Emma nie zdołała się rozgrzać, wciąż spięta po niespodziewanej wizycie męża. Z westchnieniem wzięła tacę i odniosła ją do kuchni, odłożyła nietknięte jedzenie do spizarni i poszła na górę, żeby się położyć. Dopiero gdy skuliła się pod kołdrą, mając obok termofor, pozwoliła sobie na płacz. Początkowo, gdy ją nagle i bezwzględnie porzucił, pozostawiając bez środków do życia, starała się wierzyć, że Tom wróci

zarówno do niej, jak i na drogę uczciwości i przyzwoitości. Straciła jednak złudzenia. Gdyby teraz wzięła jego słowa za dobrą monetę i mu zaufała, działałaby na swoją szkodę. Popełniłaby najbardziej niedorzeczny czyn w życiu.

Żałowała, że nie ma z nią Tess Darent, która na pewno mądrze by jej doradziła. Emma często myślała, że zrobiłaby wszystko dla przyjaciółki. Wtedy gdy wszyscy się od niej odwrócili, ona okazała jej życzliwość i szczodrość, choć zachowywała pewien dystans, nie dopuszczając do bliskości. W gruncie rzeczy Emma nie poznała dobrze Tess i w związku z tym nie zawsze ją rozumiała, a mimo to darzyła

przyjaciółkę ciepłymi uczuciami. Często się zastanawiała, czy ona również ucierpiała z powodu mężczyzn i czy właśnie dlatego pospieszyła jej z pomocą. Bez względu na motywy kierujące Tess, wiedziała, że na zawsze zachowa dla niej wdzięczność.

ROZDZIAŁ TRZECI

Znad listu trzymanego w dłoni Tess spojrzała na zarumienioną, głupkowatą twarz mężczyzny, który ustawił się tyłem do kominka. Ręce założył za plecy i wysunął do przodu pokaźny brzuch, przybierając władczą pozę i dając do zrozumienia, że trzyma w ręku same asy. Tess, która lubiła hazard, niechętnie musiała przyznać mu rację. Nie ulegało wątpliwości, że szczęście nie sprzyjało jej w tej grze. Jedyne, co mogła uczynić, to zyskać na czasie.

– Chcę sprawdzić, czy zrozumiałam pana właściwie, lordzie Corwen – powiedziała, dodając w myślach: ty

podstępny gadzie.

– Proponuje pan, abym jako opiekunka prawna przybranych dzieci zgodziła się na poślubienie przez pana lady Sybil Darent – odezwała się lodowatym tonem. – Jednocześnie pan grozi, że jeśli się sprzeciwię, wyegzekwuje pan zwrot pożyczki, której rzekomo udzielił mojemu zmarłemu mężowi, zmuszając pasierba, lorda Darenta, do sprzedania wszystkich niezastawionych części majątku. Jak rozumiem, nabywcą będzie pan – podsumowała, myśląc: ty wredna, chciwa bestio.

Corwen przesłał jej wilczy uśmiech, sprawiający, że jego oczy wydawały się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości.

– Zrozumiała pani doskonale, lady

Darent.

Doniesienie o pożyczce spadło na Tess jak grom z jasnego nieba, nie mogła jednak pozwolić sobie na wywołanie skandalu ciągnięciem tego łajdaka po sądach. Corwen właśnie na to liczył. Chciała rzucić mu wyzwanie, wiedziała bowiem, że jest przebiegłym naciągaczem, który podstępnie skłonił starego markiza do zagwarantowania pożyczki połową majątku. Pod koniec życia mąż Tess był prawie nieprzytomny od nadmiaru laudanum i podpisałby niemal wszystko, co mu przedłożono. Zresztą wielu plotkarzy i poszukiwaczy sensacji twierdziło, że właśnie w ten sposób Tess namówiła Darenta na zawarcie małżeństwa.

– Ja spłacę tę pożyczkę – wycedziła, bo te słowa ledwie przeszły jej przez gardło, była tak oburzona na bezczelność Corwena.

Czterdzieści osiem tysięcy funtów, których żądał, było pokaźną sumą i stanowczo nie miała ochoty tuczyć nią tego oszusta, ale wdowie spadki, pomyślna kariera hazardzistki i kilka trafionych inwestycji uczyniły z niej zamożną kobietę, która mogła sobie pozwolić na rozrzutność. Poza tym za wszelką cenę chciała ochronić młodych Darentów od znalezienia się na łasce podłego i niebezpiecznego człowieka.

Corwen przecząco pokręcił głową i posłał jej uśmiech, od którego przeszły ją ciarki.

– Nie przyjmę pani pieniędzy. Dług jest zabezpieczony na majątku Darentów. Chcę poślubić lady Sybil i wtedy anuluję dług w całości. Nic więcej nie mam pani do przekazania w tej kwestii i nie zamierzam negocjować.

– Lady Sybil ma piętnaście lat, jest dziewczynką niedojrzałą do małżeństwa – zaproponowała Tess, nie kryjąc oburzenia. A ty jesteś ohydny lubieżnikiem, pomyślała.

– Jestem gotów poczekać rok pod warunkiem, że obecnie uda nam się dojść do porozumienia. – Lord Corwen przestąpił z palców na pięty i z powrotem. – Szesnaście lat to znakomity wiek dla lady Sybil, by wyjść

za mąż. Widziałem ją ostatnio w Bath i się zachwyciłem. Urocza dziewczyna. Świeża, posłuszna, niewinna. – Ostatnie słowo wypowiedział z wyraźnym upodobaniem.

Tess zacisnęła usta, żeby głośno nie wyrazić potępienia dla starszych mężczyzn gustujących w młodziutkich dziewczętach. Nie tak dawno, bo przed dziesięcioma laty, będąc niemal dzieckiem, stanęła na ślubnym kobiercu. Los sprawił, że wkrótce ponownie została niepełnoletnią panną młodą. Drapieżny Corwen, ukrywający lubieżność za manierami wujaszka, za bardzo przypominał Charlesa Brokeby'ego, jej drugiego męża. Nie mogła dopuścić do tego, by Sybil,

podobnie jak ona, przeszła przez piekło.

– W jakim pan jest wieku? – spytała, patrząc na zużytą twarz Corwena, noszącą wyraźne ślady rozpustnego życia. – Ma pan czterdzieści pięć czy czterdzieści sześć lat?

Corwen z niezadowoleniem zmarszczył czoło, ale odparł:

– W przyszłym roku skończę czterdzieści siedem. To dobry wiek na ponowny ożenek.

– Być może dla pana, ale nie dla mojej pasierbicy. Jest zdecydowanie za młoda i dlatego nie mogę na to pozwolić. Dzielę odpowiedzialność za jej wychowanie z wujem i ciotką lady Sybil. Z pewnością w tej kwestii wyraziliby taki sam pogląd – takie

małżeństwo jest wykluczone.

Zaniepokoiło ją to, że Corwen nie wydawał się ani trochę zaskoczony. Może uznał, pomyślała, że sprzeciwiła się jedynie pro forma. Przypuszczalnie uważał, że dyktuje warunki, ponieważ groził wyegzekwowaniem zwrotu pożyczki w wysokości niemal pięćdziesięciu tysięcy funtów.

– Może kieruje panią zazdrość. – Corwen zniżył głos i nadał mu bardzo poufale brzmienie.

Ku oburzeniu Tess postąpił kilka kroków, wyciągnął rękę i odgarnął jej z twarzy włosy, które wymknęły się spod niebieskiej opaski na czole. Przy okazji przesunął palcem po jej policzku.

– To musi być nieprzyjemne, kiedy

dziecko, zaledwie czternaście lat młodsze, zaćmiewa czyjąś urodę. Tak więc, moja droga lady Darent...

Tess energicznie odtrąciła jego dłoń.

– Nie jestem pańską lady Darent, ani drogą, ani żadną inną.

Corwen parsknął śmiechem.

– To panią gryzie? Kilka lat temu może zaproponowałbym raczej, żeby pani została moją metresą.

– Schlebiałoby mi to równie mało jak obecnie.

Tess poczuła, że ulega panice. Corwen był roslým mężczyzną i stał o wiele za blisko. Przez moment widziała w tym samym miejscu Brokeby'ego, wyciągającego po nią ramiona z tym swoim nieznośnie obleśnym uśmiechem.

Zaraz jednak wizja znikła, a ona znowu znajdowała się w przytulnym saloniku siostry, gdzie wpadające przez okna promienie jesiennego słońca odbijały się od żółtych ścian. Odsunęła się od Corwena, chociaż miała poczucie, że nie oddaliłaby się wystarczająco od tego łajdaka nawet wtedy, gdyby stanęła teraz u źródeł Tamizy.

– Proponuję pani pasierbicy małżeństwo – przypomniał lord Corwen.

– Powinna spotkać mnie za to wdzięczność. Ufam, że uda mi się przekonać krewnych, o ile, jak pani uważa, mogą się sprzeciwić temu małżeństwu.

– Chce pan poślubić dziewczynkę w wieku szkolnym – zauważyła chłodno

Tess. – Proszę nie udawać, że to powód do chluby, skoro jest inaczej. Powiedzmy sobie jasno, milordzie, otrzymałam propozycję oddania panu ręki lady Sybil i ją odrzucam – podkreśliła. – Nie zgadzam się również na pokrycie długu przez sprzedaż jakiegokolwiek części majątku Darentów, którym zarządzam w imieniu pasierba. Zaproponowałam spłatę w pełnej wysokości z moich pieniędzy, a pan nie wyraził zgody na takie rozwiązanie problemu. Musi pan przedyskutować tę kwestię z moimi adwokatami. Zapowiem im, żeby oczekiwali pańskiej wizyty.

Corwen ani drgnął i Tess sądziła, że jej nie zrozumiał. Po chwili zbliżył się

o krok.

– Chyba jednak niezbyt dokładnie wysłuchała pani tego, co powiedziałem – zauważył. – Jeśli nie poślubię lady Sybil, to za kilka lat ciotka będzie wprowadzała ją do towarzystwa. Byłoby szkoda, gdyby debiutowi lady Sybil zaszkodziły plotki i skandale, łączone z pani osobą. Wychowywała ją pani przez pięć lat za życia jej ojca. Słówko tu, szept tam... – Wzruszył ramionami. – To wystarczy, żeby lady Sybil umazała się pani brudami. Moralność debiutantki zostanie zakwestionowana, reputacja podana w wątpliwość i okaże się, że żaden szanujący się mężczyzna nie chce jej poślubić. Tym sposobem przyszłość

lady Sybil legnie w gruzach. – Pochylił głowę, oczy mu zabłyśły. – Rozumie mnie pani, lady Darent?

Zamarła. Stał w rozkroku z piersią i brzuchem wypchniętym do przodu, w wojowniczej postawie, sugerując, że dyktuje warunki. Żądał, aby oddała mu pasierbicę za żonę, bo inaczej on z zemsty zniszczy szansę Sybil na szczęśliwą przyszłość. Co gorsza, swoim postępowaniem dała mu broń do ręki, dostarczyła argumentów, którymi się w swojej perfidii posłużył. Była znana z krnąbrnego charakteru i upodobań do skandali. Wcześniej powinna była przewidzieć, że znajdzie się ktoś nieżyczliwy, zawistny lub mściwy, kto wykorzysta przeciwko niej

wybryki i odstępstwa do reguł socjety. Nie spodziewała się jednak spotkać na swojej drodze nikogo, kto okaże się tak bezwzględny jak lord Corwen.

Ogarnęła ją rozpacz. Od czasu ślubu z Brokebym minęło dziesięć lat, ale to nieszczęsne małżeństwo nadal kładło się cieniem na jej życiu. Brokeby miał fatalną opinię z powodu swoich skłonności do rozpusty, a Tess jako jego żonę objęła część odpowiedzialności za ten stan rzeczy i potępienia. Ostateczny cios jej reputacji zadała otwarta rok temu wystawa, na której zaprezentowano jej akty. Na myśl o nich ogarniał ją gniew, nie zamierzała jednak wyjawić prawdy o tych przeklętych malunkach. Powinna zapomnieć o tamtej nocy

i wymazać okropne wspomnienia z pamięci, tyle że nie potrafiła. Nie była w stanie odesłać ich w niebyt, bo wryły się w jej umysł. Towarzyszyło jej także wrażenie, że również na jej ciele pozostawiły niezatarte ślady. To był ciężki bagaż, którego nie potrafiła zrzucić z barków.

Pochyliła głowę i zamrugła, by nie spłynęły łzy, które poczuła pod powiekami. Brokeby nie żył i na pewno po śmierci trafił do piekła, bo na nic innego nie zasłużył. Uwolnił ją od siebie, ale ona nie czuła się w pełni wolna. Wstyd i strach zapadły jej w duszę zbyt głęboko, by mogła je chociaż zignorować, skoro o zapomnieniu nie było co marzyć.

I oto w jej życiu pojawił się Corwen, podobnie jak Brokeby rozpustnik, chciwiec i drań, i oczekiwał, że podporządkuje ją sobie szantażem. Tess dumnie uniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. Zauważyła błysk rozbawienia w jego świńskich oczkach – wyraz zadowolenia człowieka, któremu sprawia przyjemność krzywdzenie i terroryzowanie innych. Tyle że ona nie była już lękliwą dziewczynką, oddaną pod władzę Brokeby’ego.

– Lordzie Corwen, jeśli kiedykolwiek zbliży się pan do lady Sybil albo zagrozi jej reputacji, to dopilnuję, żeby został pan odpowiednio okaleczony, co uniemożliwi panu składanie kobietom

obrzydliwych propozycji – oświadczyła zimnym tonem. – Czy wyraziłam się dostatecznie jasno, aby pan zrozumiał?

Corwen zrobił mimowolny gwałtowny ruch, który znów przypomniał Tess o Brokebym, brutalnym, zawziętym i bezlitosnym człowieku. Zamknęła oczy, żeby łatwiej odsunąć od siebie tę wizję, a gdy uniosła powieki, Corwena już nie było w salonie. Chwilę potem drzwi trzasnęły z taką siłą, że posypały się ustawione na gzymsie kominka bilety wizytowe.

Tess ciężko westchnęła i bezsilnie opadła na obitą złotym brokatem kanapę. Kusiła ją karafka pełna porto, ale po spotkaniu z Corwenem silnie rozboleła ją głowa, a z doświadczenia wiedziała,

że szukanie odprężenia lub zapomnienia w alkoholu jest złudne i nierozsądne. Spróbowała tego sposobu po śmierci Brokeby'ego, ponieważ nawet wyzwolona od codziennego z nim kontaktu, wbrew sobie wciąż tkwiła myślami w koszmarnej wspólnej przeszłości. Po tym doświadczeniu nie mogła nawet spojrzeć na butelkę dzinu, bo momentalnie robiło jej się niedobrze. W tamtym okresie szukała sposobu odreagowania, nadużywając laudanum w tak dużych dawkach, że nie była pewna, czy w ogóle się obudzi, objadała się słodyczami, kupowała stroje, obuwie i galanterię niemal na kopy, hazardowo grała w karty. Nic to nie dało. W końcu zdołała wypłynąć na powierzchnię siłą

woli, ale wtedy było za późno. Socjeta zapamiętała, że lady Darent pije, uprawia hazard i wydaje pieniądze bez opamiętania, a doszły do tego jeszcze te obsceniczne malunki. Nic dziwnego, że towarzystwo miało o niej określoną opinię.

Tess uderzyła pięścią w poduszkę z taką siłą, że puściły szwy brokatu. Szybko wepchnęła kłęb pierza do środka i odwróciła poduszkę na drugą stronę, żeby rozdarcie nie rzucało się w oczy. W skroniach ją łupało. Poprzedniego wieczoru po powrocie z domu uciech nie mogła zasnąć. Leżąc w łóżku i wpatrując się w baldachim, doszła do wniosku, że trzeba zakończyć działalność klubu Jupiter. Zbyt

niebezpiecznie byłoby organizować następne spotkania, skoro z pewnością rządowi sabotażyści przeniknęli do organizacji i prowokowali przemoc. Była przekonana, że ktokolwiek podburzał protestujących, działał również jako informator. Pozostawało kwestią czasu, żeby szpieg zdemaskował nie tylko ją, lecz również młodego protegowanego Justina Brooke'a i jego siostrę Emmę.

Jakby te kłopoty nie były wystarczająco poważne, a okoliczności nie zagrażały członkom organizacji, to Corwen próbuje zmusić ją szantażem do oddania mu Sybil. Na myśl o tej uroczej młodziutkiej dziewczynie, pełniącej obowiązki żony blisko

pięćdziesięcioletniego rozpustnika, Tess poczuła mdłości. Od pierwszej chwili bardzo polubiła Sybil i Juliusa, jej brata bliźniaka. Nie do zniesienia była dla niej możliwość, że któreś z rodzeństwa znalazłoby się na łasce bezlitosnego lorda Corwena.

Odruchowo sięgnęła po czekoladowe cukierki, które Joanna trzymała w srebrnym puzderku. Puzderko okazało się puste, więc z westchnieniem odstawiła je na miejsce. Corwena pozbyła się tylko na razie; wiedziała, że do niej wróci razem z odrażającymi zamiarami. Było dla niej oczywiste, że pożąda Sybil i zrobiłby wszystko, by ją osiąść. Nauczona własnym doświadczeniem, Tess zdawała sobie

sprawę z tego, czym to grozi w wydaniu mężczyzny pokroju Corwena.

Była w stanie zapewnić Sybil bezpieczeństwo, ale nie zdoła ustrzec jej dobrego imienia, które odrzucony Corwen, wściekły i zawiedziony, bez skrupulów zniszczy, upatrując w tym możliwości zemsty. Niestety, w jednym musiała przyznać mu rację – nawet cień skandalu mógł zrujnować reputację każdej debiutantki i zniweczyć jej nadzieje na przyszłość, podobnie jak wyssana z palca plotka. Ciotce Sybil niczego nie sposób było zarzucić, była bodaj najbardziej szanowaną przyzwoitką w Londynie. Natomiast zszargana opinia Tess, pozostającej macochą dziewczyny, rzeczywiście

mogła wyrządzić niepowetowaną szkodę. Należało grać na zwłokę, ale nieszczęście było jedynie kwestią czasu.

Do diabła z Corwenem! Stłumiła okrzyk irytacji, wstała z kanapy i podeszła do okna. Wątle jesienne słońce całkiem znikło, przesłonięte ciemnoszarymi chmurami, co nadało widokowi za oknem niemal zimowy charakter. Musiała znaleźć sposób, aby skutecznie pomóc bliźniętom. Lubiła oboje i czuła się za nich odpowiedzialna. Ojciec powierzył Sybil i Juliusa jej opiece. Z tej sytuacji raczej nie ma wyjścia, chyba że... ponownie wyszłaby za mąż. Tess była wdową od dwóch lat i solennie obiecała swojej siostrze Joannie, że więcej nie wyjdzie

za mąż. Podejrzewała, że Joanna czuła się niezręcznie, mając siostrę wielokrotną wdowę.

Pozostawało zawrzeć małżeństwo pro forma z człowiekiem mającym władzę i wpływy. Niechby wysłał Corwena do diabła i dał jej swoje nazwisko, tym samym chroniąc zarówno ją, jak i bliźnięta. Po przykładowej ślubnej ceremonii przyjdzie czas, by wreszcie zmienić się w szacowną matronę. Koniec z uciekaniem przez okno z domu uciech, z hazardem i klubem Jupiter, a także z satyrycznymi rysunkami. Gdyby zaaresztowano ją i osadzono w więzieniu, dotychczasowe wysiłki i społecznie użyteczna praca poszłyby na marne. Po pobycie w takim miejscu nie

sposób odzyskać dawnej pozycji.

Tess skrzywiła się z niechęcią. Myśl o świadomej rezygnacji z rysowania, z jedyne go zajęcia, które nadawało jej życiu znaczenie, była niemal nie do przyjęcia. Rysowała od dzieciństwa, na papier przelewała emocje; zagłębianie się w szkicach traktowała jako ucieczkę od rzeczywistości i zarazem sposób na wyrażenie siebie. Piórkiem lub ołówkiem dawała wyraz smutkom, radościom, lękom i rozczarowaniom.

Rozumiała jednak, że w zaistniałych okolicznościach nie ma wyboru. Musiała porzucić satyrę polityczną i zająć się czymś niewinnym, takim jak akwarelowe pejzaże. Damy ze sztalugami, malujące sielskie sceny,

widziało się właściwie wszędzie. Ona też mogła to robić. Umiejętność rysowania i malowania należała do nielicznych kobiecych talentów, jakimi mogła się pochwalić.

Małżeństwo z szanowanym człowiekiem byłoby dla niej również kamuflażem na wypadek, gdyby ludzie lorda Sidmoutha okazali się dostatecznie bystrzy i skuteczni, by podejrzewać ją o udział w buntowniczych działaniach. Potrzebowała zasłony dymnej w postaci szanowanego, wpływowego starszego pana. Musiała znaleźć sobie czwartego męża, i to szybko.

Przeszła na drugą stronę pokoju do mahoniowego sekretarzyka, wyjęła gruby tom, wróciła na kanapę i zaczęła

go przeglądać. Wciąż pochylała się nad księgą, gdy pół godziny później weszła Joanna, a za nią lokaj niosący tacę.

– Co czytasz? – spytała Joanna, siadając obok Tess. – „The Lady’s Magazine”?

– Nie – zaprzeczyła Tess i z ociąganiem przechyliła wolumin tak, żeby Joanna mogła zobaczyć tytuł. – Nowe wydanie spisu arystokracji – dodała.

Na twarzy Joanny odmalował się wyraz rozczarowania, czego Tess się spodziewała.

– Och nie! – zawołała. – Tylko nie mów, że planujesz kolejne małżeństwo! Przecież obiecałaś mi, jak się tu sprowadziłaś, że... – Urwała. Po chwili

ponownie się odezwała, ale zmieniła ton na mniej emocjonalny, chociaż wciąż zdradzał jej uczucia. – Naturalnie, decyzja należy do ciebie.

– Pomijając związek z Brokebyem, na ogół dobrze mi w stanie małżeńskim – odparła Tess i z niezadowoleniem stwierdziła, że zabrzmiało to jak tłumaczenie.

Nie chciała przypominać Joannie o niestabilności swojej sytuacji. Siostra niewiele wiedziała o jej życiu, a zwłaszcza o powiązaniach z frakcją reformatorów politycznych. Tess nie zamierzała ujawniać gróźb lorda Corwena, chociażby dlatego, że rozmowa na ten temat wywołałaby zbyt wiele porównań do małżeństwa

z Brokebym.

– Przeciwnie – zaproponowała Joanna, która najwyraźniej nie umiała wytrzymać w milczeniu dłużej niż kilka sekund. – Bądźmy ze sobą szczerze. Wcale nie było ci dobrze, a wszystkie twoje małżeństwa były nieudane.

Siostra należała do nielicznych osób, które wiedziały o bezgranicznym lęku Tess przed intymnością i bliskością, choć nie znała przyczyny takiego stanu rzeczy. W przeszłości nieraz próbowała nawiązać rozmowę na ten temat, Tess jednak za każdym razem stosowała uniki. Stroje, buty, kapelusze, rękawiczki, chusty – owszem. O modzie mogły rozprawić godzinami, ale gdy Joanna starała się skierować rozmowę

na małżeńskie doświadczenia, Tess ogarniał paralizujący strach i zbywała Joannę ogólnikami. Wiedziała, że powodem wypytywania jest siostrzana troska, nie wścibstwo, ale to tylko pogarszało jej samopoczucie. Zło, które przed laty wyrządził jej Charles Brokeby, było nie do naprawienia.

– Nie wszystkim się tak powodzi w małżeńskim stadle jak tobie i Aleksowi – powiedziała.

Zabrzmiało to ostrzej, niż chciała, być może dlatego, że trochę zazdrościła Joannie i Aleksowi ich fizycznej i emocjonalnej więzi. Publicznie mogła krytykować tak niemodne pojęcie jak szczęśliwe małżeństwo, ale w rzeczywistości bardzo tęskniła za

cieplem i autentyczną wspólnotą między mężem a żoną.

– Większości ludzi – dodała – zależy na pozycji społecznej, pieniądzach i pewności, że nie będą musieli widywać małżonki lub małżonka częściej niż kilka razy do roku, a i wtedy rozmawiać ze sobą nie więcej niż raz.

Joanna odstawiła filiżankę tak gwałtownie, że delikatna porcelana zadrżała.

– Bardzo zabawne to, co mówisz, Tess, ale chyba zapominasz, że rozmawiasz z siostrą, a nie z którąś ze swoich przypadkowych znajomych. – Z pogardą wskazała spis arystokracji. – Naprawdę masz nadzieję znaleźć tam męża?

– To wspaniałe wydawnictwo – trwała przy swoim Tess, chociaż wyraźnie odczuwała dezaprobatę siostry. – Podaje adresy wszystkich kawalerów i wdowców w kraju, wraz z tytułami i wyceną majątku. Trudno o lepszy przewodnik dla kobiety szukającej towarzysza życia.

– Nie jest tu odnotowane, czy ci mężczyźni przypadkiem nie są impotentami – stwierdziła z przekąsem Joanna. – W twoim mniemaniu to z pewnością najistotniejsza zaleta.

Po tym kąśliwym stwierdzeniu zapadło kłopotliwe milczenie.

– Jest podany wiek – przerwała jej w końcu Tess. – To bardzo przydatna wskazówka.

– Ale nie jedyna istotna. – Joanna złagodniała i w jej głosie zabrzmiała nuta współczucia. – Co się stało? Czego się boisz?

– Niczego! – podkreśliła Tess, co nawet w jej uszach zabrzmiało za głośno.

– Skoro tak, to dlaczego wybierasz na mężów chorowitych chłopców i mocno starszych panów? – nalegała Joanna. – Robert Barstow, James Darent...

– Takich było dwóch – odparła Tess. – Zresztą nie wiedziałam, że Robert młodo umrze.

– Roberta traktowałeś jak najlepszego przyjaciela. Namiętności było w tym małżeństwie nie więcej niż w ostatnim.

Znów zaległo krępujące milczenie.

Żadna z nich nie wspomniała o Brokebym. Tess miała świadomość, że siostra domyśliła się, iż Brokeby ją skrzywdził, i oczekiwała zwierzeń, jednak ona nie była na nie gotowa. Zresztą nawet w rozmowie z siostrą wołała nie wracać do złych doświadczeń, bo ich omawianie nie odmieniłoby przeszłości. Mogła jedynie wyrzucić je z pamięci i pilnować, by nic równie potwornego więcej jej się nie przytrafiło.

– Jeśli obawiasz się fizycznej bliskości – powiedziała Joanna – to nie rozumiem, po co wychodzisz za mąż.

– Przesadzasz – odburknęła Tess, czując, że traci cierpliwość. – Kończą mi się pieniądze, a małżeństwo jest

najłatwiejszym sposobem na zlikwidowanie deficytu. – Rozłożyła rękę. – To lepsze niż odwiedziny u lichwiarza.

– Nie wierzę w to, że masz długi – oznajmiła Joanna. – Dysponujesz takim majątkiem, że możesz zaćmić inne wdowy w towarzystwie.

– Stroje są bardzo kosztowne.

– Na ten argument na pewno mnie nie nabierzesz – odparła stanowczo Joanna.

– Wiem wszystko o modzie i kosztach związanych z jej przestrzeganiem na co dzień. Nawet ty nie jesteś w stanie wydać na nią wszystkich swoich pieniędzy.

Tess zastanawiała się, jak zareagowałyby Joanna, gdyby się

dowiedziała, że siostra wydaje pieniądze głównie na działalność charytatywną i wspieranie politycznych reformatorów i radykałów. Zapewne byłaby bardziej wstrząśnięta, niż gdyby okazało się, że Tess kupowała przychylność przystojnych młodych ludzi.

Naturalnie, w świecie polityki funkcjonowały patronki, zarówno szacowne matrony, jak i uznane piękności, zwolenniczki wigów lub torysów, które wydawały eleganckie przyjęcia, aby wspomagać kariery mężów. Inaczej rzecz się miała z reformatorami. Ich polityka była zbyt niebezpieczna i niestosowna, domagająca się poprawy losu biedoty,

ludzi z nizin społecznych. Obowiązujące socjetę konwenanse nie pozwalały się zajmować takimi sprawami. Oczywiście, od czasu do czasu damy zajmowały się dobroczynnością, ale nie była to polityka reform.

– Mam olbrzymie długi z hazardu – powiedziała Tess, sięgając po niezawodne wytłumaczenie. – Liczę na to, że tym razem usidlę bogatego księcia. Nie mam ochoty obniżyć prestiżu w towarzystwie, wolę raczej się piąć w górę.

– W takim razie masz mocno ograniczone możliwości – stwierdziła sarkastycznie Joanna, ale najwyraźniej przyjęła wyjaśnienie siostry. – Zastanówmy się. Potrzebujesz księcia

tak starego, żeby umarł najpóźniej w ciągu dwóch lat i nie przeszkadzał ci przedłużającą się egzystencją, chorego na tyle, aby nie domagał się praw małżeńskich, i dysponującego bogactwem, które pomnoży twój majątek. To dopiero romantyzm! – podsumowała z przekąsem.

– Nie oczekuję romantyzmu w małżeństwie – odparła Tess.

– To już zauważyłam. – Joanna wstała. – Sądzę, że nawet w spisie arystokracji nie znajdziesz takiego człowieka, jakiego potrzebujesz.

– Mam już kilkupunktową listę – powiedziała Tess. – Jest książkę Feversham...

– Umarł dwa tygodnie temu – zgasła

ją Joanna.

– Wobec tego może markiz Raymond?

– Jest jedną nogą na tamtym świecie.

– Może jeszcze zdązę...

Joanna spiorunowała ją wzrokiem.

– Tess!

– Lord Grace?

– Jest w marynarce. – Joanna uśmiechnęła się słodko. – Moglibyście mieć sąsiednie kajuty.

Tess wyraźnie się skrzywiła.

– Lord Pettifer?

Joanna pokręciła głową.

– Jest w domu obłąkanych.

Tess posmutniała.

– Wobec tego nie ma kandydata.

– Przecież cię uprzedziłam – stwierdziła Joanna.

Po wyjściu siostry Tess dopiła herbatę, która zdążyła wystygnąć, po czym znów wzięła do ręki spis arystokracji i zaczęła go nerwowo kartkować. Niestety, chociaż lista zawierała nazwiska wielu dżentelmenów, nie było żadnej gwarancji, że na zagadnienie małżeństwa spojrzą tak jak Tess. Musiała przyznać rację Joannie. Zresztą niewielu mężczyzn z wyższych sfer było zainteresowanych formalnym związkiem. Większość chciała spłodzić dziedzica. Niektórzy życzyli sobie uprawiać miłość z żonami wtedy, gdy nie mieli innych możliwości. Niejeden uważał, że to jego potrzeby są decydujące i tylko one mieszczą się w pojęciu małżeństwa

z rozsądku, a Tess nie zamierzała zaspokajać wszystkich oczekiwań męża. Tak więc wybór ograniczał się do starców, chorych, impotentów i tych, którzy woleli własną pleć.

Z westchnieniem odłożyła opasły tom do szuflady, wyjęła książkę Woltera i poszła z nią do holu.

Tess lubiła rodzinny dom Joanny przy Bedford Square. Stał on w eleganckiej okolicy i promieniował ciepłem i radością, bo zajmowała go szczęśliwa rodzina. Tess mogła więc się cieszyć pozorami przynależności. Własnego domu, a zwłaszcza takiego, który wybrałaby sama, nie posiadała. Dzięki zapisom w intercyzach i spadkom miała różne domy na terenie majątków

ziemskich, ale nad wszystkimi pieczę sprawowali jej powinowaci, co nie budziło u niej entuzjazmu. Poza tym nie znosiła wsi. Nudziła się tam i silniej niż w mieście odczuwała osamotnienie. Tylko w Londynie znajdowała dość zajęć, które wypełniały mijające dni i miesiące.

Wiedziała, że Joanna nie wypowie jej gościny, ale zdarzało jej się myśleć poważnie o kupnie własnego domu w Londynie. Krępowało ją, że wciąż trzyma się rodziny niczym panna na wydaniu, ale przed osobnym zamieszkaniem hamowała Tess obawa przed poczuciem osamotnienia.

W nagłym przypiływie irytacji ukreśliła pęk jednej z cieplarnianych róż,

ustawionych w płytkiej czarze na stole w holu. Całkiem zniszczyła przez to piękną kompozycję Joanny.

Nagle otworzyły się drzwi biblioteki. Wyszli z niej dwaj mężczyźni, zaaferowani rozmową. Byli to jej szwagier Alex i wicehrabia Rothbury, który bywał przy Bedford Square może nie częstym, ale na pewno regularnym gościem. Kilka razy nawet przyszedł na kolację. W zasadzie jego widok nie stanowił niespodzianki, ale Tess zareagowała zaskoczeniem dlatego, że podczas przeglądania spisu arystokracji gdzieś na obrzeżach pamięci miała Rothbury'ego razem z obrazkami z poprzedniego wieczoru.

W świetle dziennym prezentował się,

jak przystało na wicehrabiego. Na jego strój składały się eleganckie żółtobrazowe spodnie i pięknie skrojony surdut, wysokie lśniące buty i kunsztownie zawiązany fular, tworzący kaskadę bieli. Tess zatrzymała wzrok na twarzy Rothbury'ego i w oczach ujrzała ten sam niebezpieczny błysk, co poprzedniego wieczoru. Istny wilk w owczej skórze, człowiek czynu przebrany za dandysa, uznała. Słusznie robiła, wcześniej starając się omijać go szerokim łukiem. Niedobrze się stało, że przypadkiem weszła mu w drogę.

Uświadomiła sobie, że gapi się na wicehrabiego jak podłotek na przystojnego dżentelmena. Rothbury uniósł brwi, najwyraźniej tym

rozbawiony, a ona oblała się rumieńcem. Coraz gorzej. Nie miała zwyczaju płonić się na widok mężczyzn.

Rothbury zamienił kilka słów z Alekssem, który uścisnął mu rękę i wrócił do biblioteki. Drzwi za nim zamknęły się z cichym trzaskiem. W holu zapadły cisza i bezruch, jakby cała służba opuściła dom. Rothbury ruszył ku Tess, która zapragnęła szybko umknąć. Tom autorstwa Woltera schowała za kwietną kompozycją. Nie byłoby dobrze, gdyby została przydybana na czytaniu filozofów. Przecież chciała uchodzić za nierozumną gąskę.

– Lady Darent – skłonił się Owen. – Dzień dobry. Ufam, że otrząsnęła się pani po wczorajszych doświadczeniach.

– A ja ufam, że pan o nich zapomniał – odparła. – Dżentelmen z pewnością nie nawiązałby do ostatniego spotkania.

Na twarzy Rothbury’ego pojawił się szelmowski uśmiech, przez który pogłębiła się bruzda przebiegająca przez opalony policzek.

– Z tym jest pewien problem. Jak pani wie, nie jestem dżentelmenem, a jedynie jankeskim kapitanem okrętu.

– Słyszałam różne określenia pańskiej osoby – zauważyła Tess.

Roześmiał się.

– Założę się, że żadne z nich nie było pochlebne. – Wciąż bacznie się jej przyglądał. – Cieszę się z tego spotkania. – Włożył rękę do kieszeni eleganckiego surduta. – Mam coś, co

z pewnością stanowi pani własność.

Tess poczuła ukłucie w sercu. Natychmiast pomyślała o utraconych rysunkach. W trakcie drogi powrotnej do domu i niemal całą noc zastanawiała się, co z nimi się stało. Nie sądziła, by mógł je mieć Rothbury, teraz jednak nie była już tego pewna. Ulżyło jej nieco, gdy okazało się, że jednak nie trzyma w dłoni pliku kartek.

– Mój sztylet – powiedziała. – To ładnie, że pomógł mi pan go odzyskać.

Na twarzy wicehrabiego pojawił się wyraz zaskoczenia. Widocznie spodziewał się, pomyślała Tess, że nie przyznam się do swojej własności. Ten drobiazg należał do Roberta i z tego powodu miał dla niej wartość

sentymentalną, choć nie był szczególnie cenny.

– Czy znalazł pan jeszcze coś, co mogłoby należeć do mnie?

Rothbury obrzucił lady Darent uważnym spojrzeniem.

– Czyżby pani jeszcze coś zgubiła? – zapytał znacząco.

W tym momencie Tess zrozumiała, że Rothbury musiał się dowiedzieć o rysunkach, a niewykluczone, że je odnalazł. Nawet jeśli na nie natrafił i je zabrał, to nie mógł jej niczego dowieść, uznała. Nakazała sobie w duchu zachować spokój, aby niechcący, nawet drobnym gestem, się nie zdradzić. Powinna się bać, była jednak raczej lekko podniecona niż przestraszona.

Odczuwała rodzaj rauszu, jakby wypiała za dużo szampana albo na bosaka tańczyła o świcie na trawie. Zdążyła prawie zapomnieć, jak to jest, gdy zmysły budzą się do życia.

– Tylko ubranie – powiedziała lekko.

Rothbury uśmiechnął się.

– Czy taki ma pani zwyczaj? – spytał z zainteresowaniem. – Myślę o gubieniu ubrania.

– W zasadzie nie, chociaż z plotek można by wywnioskować co innego – odparła, odwzajemniając uśmiech. – Proszę się nie kłopotać, już nie potrzebuję tego ubrania. Zresztą w męskim stroju nie wyglądam zbyt dobrze.

Rothbury z jawnym uznaniem

przesunął wzrokiem po ciele Tess.

– Rzeczywiście, wygląda pani czarująco w kobiecym wydaniu – przyznał tonem, który zdawał się pobudzać wszystkie jej nerwy.

Wskazał rysunek przedstawiający Shunę, siostrzenicę Tess, wiszący w ramce na ścianie nad wazonem pełnym róż.

– To pani dzieło? – spytał od niechcienia.

Wyglądało to na zwykłą zmianę tematu rozmowy, Tess jednak była przeświadczona, że Rothbury próbuje schwycić ją na kłamstwie. Wiedział o jej malunkach i rysunkach, a stąd był już tylko krok do karykatur politycznych. Zerknęła na ołówkowy portret

siostrzenicy. Niestety, podpisała swoje dzieło. Najgorsze w tym wszystkim było to, że podpis wyraźnie przypominał zamaszyste sygnatury Jupitera. Co za nieostrożność...

– Wydaje się pani mieć wątpliwości co do autora rysunku – powiedział kpiąco Rothbury.

– Nie... tak... – Tess usiłowała się opanować. – Rzeczywiście ta podobizna wyszła spod mojej ręki. W niewielu dziedzinach czuję się tak pewnie jak w sztuce plastycznej.

– Nie wątpię, że sprzedaje pani prace bez kłopotu. Musi mieć pani wiele osiągnięć.

– W ogóle ich nie sprzedaję – oznajmiła Tess. – Nie chcę pana

zatrzymywać, milordzie – dodała znacząco.

Tak ostentacyjną odprawę trudno było zignorować, Rothbury skwitował ją więc leniwym uśmiechem.

– Wcale mi się nie spieszy – powiedział. – Przyjemnie mi z panią gawędzić. Jeśli jednak chce pani przede mną uciec, to proszę bardzo – dodał wyzywająco, po czym wyjął tom Woltera zza wazonu z różami i wyciągnął do niej rękę. – Niech pani nie zapomni o książce.

– Nie jest moja – odparła Tess. – Francuska filozofia? To musi być coś z bogatego zbioru Merryn.

– Moja droga lady Darent – wycedził Rothbury – przecież ekslibris jest pani.

A niech to diabli! Tess wyrwała mu książkę z dłoni i otworzyła na tytułowej stronie. Ekslibrisu tam nie było. Podniosła wzrok i stwierdziła, że Rothbury uśmiecha się, najwyraźniej zadowolony z siebie.

– Jednak należy do pani.

– Co za bystrość – odparła z ironią Tess.

– Rzeczywiście jest pani bystra i inteligentna – rzekł w zadumie Rothbury. – Dlaczego udaje pani, że ma kurzy mózdek, lady Darent?

Szach, mat. Rothbury okazał się inteligentniejszy.

– Kobieta okazuje głupotę, jeśli pozwala mężczyźnie zauważyć, że ma ambicje – odrzekła. – W każdym razie to

powtarzała mi mama.

– Nie wydaje mi się, żeby pani w to uwierzyła.

Tess lekko się zmieszała nie tylko pod wpływem tej uwagi. Uświadomiła sobie, że Rothbury patrzy na nią niczym myśliwy na upatrzoną ofiarę. Z wrażenia zaschło jej w gardle.

– Po co pani udaje kogoś, kim nie jest? – Wicehrabia drażył temat. – Słowo daję, że przede mną nie ma takiej potrzeby. Pewni siebie mężczyźni nie obawiają się uczonych kobiet.

– Ma pan o sobie bardzo dobrą opinię, milordzie. – Mimo woli Tess parsknęła śmiechem. – Nie wszyscy są tacy jak pan. W londyńskim towarzystwie nie brak słabych mężczyzn.

– W to nie wątpię – odrzekł. – Czy dlatego udaje pani niewiedzę, lady Darent? Obawia się pani zaćmić znanych jej mężczyzn?

– Tak jest łatwiej. Niektórzy mężczyźni mają bardzo duże, wręcz wygórowane mniemanie o własnym znaczeniu.

– Pasjonujące – stwierdził Rothbury. – Podejrzewam, że jest pani znakomitą aktorką. – Zerknął na książkę, którą trzymała w dłoni. – Widzę, że to oryginał – dodał, przenosząc wzrok na twarz Tess. – Czytuje pani francuskich republikańskich filozofów, dobrze pani rysuje, a wychodząc wieczorem, bierze pani ze sobą nóż i pistolet.

Tess czuła, że coraz bardziej się

pograża.

– Proszę mi wybaczyć, milordzie, zajęłam panu za dużo czasu. Nie powinnam pana dłużej zatrzymywać.

Ruszyła przez hol, ale gonił ją śmiech Rothbury’ego, który odbił się echem od ścian. Zamknęła za sobą drzwi salonu i oparłszy się o chłodną drewnianą płytę, zamknęła oczy. Jak mogła zwieść Rothbury’ego? Był stanowczo zbyt spostrzegawczy i inteligentny. Deptał jej po piętach. Jeśli chciała go uciszyć, należało go zabić, co oczywiście było nie do przyjęcia. Co zatem mogłaby uczynić? – zadała sobie w duchu pytanie, czując się bezbronna wobec wicehrabiego. Chyba że... wyszłaby za niego za mąż.

Tess poczuła przyspieszone bicie serca. Mąż nie może zeznawać przeciwko żonie w sądzie, ponieważ w świetle prawa są uważani za nierozłącznych, za jedną i tę samą osobę. Gdyby poślubiła Rothbury'ego, byłaby bezpieczna. Po omacku doszła do krzesła i bezsilnie na nie opadła. To było szaleństwo, całkiem niedorzeczny pomysł, a zarazem idealne rozwiązanie.

Zerwawszy się na równe nogi, podbiegła do mahoniowego sekretarzyka, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej spis arystokracji. Przewróciła sporo stron, zanim zgodnie z porządkiem alfabety doszła do tej, która była jej potrzebna.

Owen Purchase, wicehrabia

Rothbury, odziedziczył tytuł jako wnuk kuzyna 13. wicehrabiego...

Wielkie nieba, pokrewieństwo rzeczywiście było tak dalekie, jak twierdzili plotkarze.

Rodowa siedziba: Rothbury Chase w hrabstwie Somerset. Inne: Rothbury House przy Clarges Street w Londynie, Rothbury Castle w hrabstwie Cheshire i pięć innych majątków w Anglii...

Godny uwagi stan posiadania, pomyślała Tess. Wicehrabia czerpał dochody z majątków, oceniane na ponad trzydzieści tysięcy funtów rocznie, co nie było olśniewającym bogactwem, lecz wystarczało na wygodne życie. Inwestował też na rynku giełdowym. Oczywiście, był jedynie wicehrabią,

więc pod względem tytułu, jako markiza, stała wyżej od niego, ale...

Powściągnęła galopujące myśli, z pietyzmem odłożyła spis arystokracji na złote poduszki kanapy i wlepiała wzrok w bujny różany ornament dywanu z Aubusson. Nie była pewna, czy rzeczywiście rozważa możliwość poślubienia Rothbury'ego. Byłby jej czwartym mężem...

W innych okolicznościach, nie będąc pod presją sytuacji, nie wzięłaby pod uwagę tego małżeństwa, ponieważ przy Rothburym nie miała szansy poczuć się swobodnie. Był za młody, zbyt przystojny i władczy. Nie miała jednak wyboru, chociaż nie była żebraczką czy brzydulą. Nie należało lekceważyć zalet

Rothbury'ego, a przede wszystkim korzyści płynących z zawarcia z nim małżeństwa. Odsuwałoby od niej zagrożenie związane z osobą Sidmoutha, ponieważ nikt nie podejrzewałby żony wicehrabiego o działalność wywrotową. Co więcej, Rothbury miał dość wpływów, by ochronić ją i bliźnięta przed lordem Corwenem. A co najważniejsze, nie będzie oczekiwał od niej dzielenia łóża.

Plan miał tylko jedną wadę. Była przekonana, że Rothbury przypuszcza, że ona jest poszukiwanym przez władze Jupiterem. Gdyby więc zaproponowała mu małżeństwo, stałby się jeszcze bardziej podejrzliwy. Z drugiej strony, nie mógł mieć żadnego dowodu, bo

inaczej już by ją aresztował. Musiała więc postępować rozsądnie i ostrożnie, żeby przekonać go do swojej niewinności. Poza tym Rothbury miał silną potrzebę odnowienia części swoich majątków, a przy tym mało pieniędzy, ona zaś była bogata. Jej fortuna mogła go skusić.

Tess uświadomiła sobie, że z całej siły zaciska dłonie. Prawdę mówiąc, nie widziała wielu innych możliwości rozwiązania kwestii małżeństwa. Zdecydowanym gestem wzięła więc jeszcze raz opasły tom zawierający wykaz arystokracji. Jeśli Rothbury wrócił prosto na Clarges Street, to powinien być teraz w domu. Należało kuć żelazo, póki gorące. Postanowiła

złożyć mu wizytę, zanim opuści ją
odwaga.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Minęły aż trzy godziny, nim Tess była gotowa do wyjścia. Czas był dla niej pojęciem względnym, mierzonym staraniem, które trzeba włożyć w wybór odpowiedniego stroju i dodatków, takich jak pantofle, torebka, kapelusz, a następnie dobranie biżuterii. Zwykle nie miała trudności z podjęciem decyzji, ten dzień jednak różnił się od innych. Minęło aż siedem lat, odkąd wystąpiła z propozycją małżeństwa. Wówczas jej wybrańcem był markiz Darent. Wtedy ubrała się w ciemną zieleń i była zadowolona ze swojego wyglądu, choć trudno jej było orzec, czy markiz

zwrócił szczególną uwagę na jej wygląd. Podejrzewała, że podczas ich rozmowy był półprzytomny wskutek działania laudanum.

Na pytanie, co powinna na siebie włożyć, aby przekonać Rothbury'ego do przyjęcia propozycji, nie było łatwo odpowiedzieć. Po kilku przymiarkach zdecydowała się na żółtą jak żonkile suknię i dopasowany kolorystycznie kapelusz. Gdy przejrzała się w lustrze, uznała, że wygląda jak młoda kobieta przygnębiona złymi przeczuciami. Wyprostowała ramiona, uniosła dumnie głowę i spróbowała uśmiechu. Wypadł blado, bardziej jak grymas. Zmartwiła się, ponieważ stanowczo nie chciała tak wyglądać, składając małżeńską ofertę.

Z ciężkim westchnieniem przerzuciła przez ramię harmonizujący z suknią płaszcz, a do ręki wzięła torebkę i pospieszyła do powozu.

Usytuowany przy Clarges Street, Rothbury House znajdował się niedaleko Bedford Square, w zacisznym i wysoko cenionym zakątku Londynu. Dom sprawił na niej jednak wrażenie zaniedbanego, chociaż wicehrabia zamieszkał w nim przynajmniej rok temu. Wydawało się interesujące, że po przejęciu spadku nie obnosił się w towarzystwie z odziedziczonym arystokratycznym tytułem ani nie podkreślał nowego statusu. To londyńska socjeta zabiegała o niego; on nie szukał akceptacji wyższych sfer.

Powóz się zatrzymał. Tess ogarnęło nietypowe dla niej zdenerwowanie. Pocieszyła się myślą, że to zrozumiała. Wprawdzie trzy razy złożyła małżeńską ofertę, ale żaden z tych mężczyzn w najmniejszym stopniu nie przypominał Rothbury'ego. Siedziała nieruchomo w powozie, zastanawiając się, czy nie popełniła poważnego błędu, dokonując wyboru. Jeszcze mogła zmienić zdanie i się wycofać. Właśnie gdy o tym myślała, zrobiło się za późno na odwrót, bo drzwiczki powozu się otworzyły i do środka wpadł zimny podmuch. Tess spodziewała się ujrzeć służącego, a tymczasem przy powozie stał Rothbury. Najwyraźniej po drodze z Bedford Square do domu wpadł

gdzieś, bo wciąż miał na sobie strój wyjściowy, a pięknie skrojony surdut podkreślał szerokość ramion i wzrost. Na lśniących brązowych włosach wicehrabia miał płatki śniegu.

– Lady Darent – powiedział, nie kryjąc zdziwienia. – Nie spodziewałem się tak szybko ponownie panią zobaczyć. Czym mogę służyć?

Mówił niespiesznie niskim i dźwięcznym głosem, który sprawiał, że łatwo byłoby ulec wrażeniu, iż ze strony wicehrabiego nic nikomu nie grozi. Tess zdawała sobie jednak sprawę z tego, że to jedynie pozory. Rothbury ze swoją inteligencją, przenikliwością i odwagą potrafił być niebezpiecznym przeciwnikiem. W obecnej sytuacji

potrzebowała całej swojej bystrości, aby uchronić się od popełnienia błędu, który mógłby mieć fatalne konsekwencje.

Podał jej rękę. Wprawdzie Tess ujęła ją, aby skorzystać z pomocy przy wysiadaniu z powozu na wysokich kołach, ale z ociąganiem. Wolałaby nie dotykać wicehrabiego, podobnie jak unikała dotykania innych. Okrucieństwo, którym poddawał ją Brokeby, pozostawiło u niej niechęć do wszelkich kontaktów fizycznych.

Rothbury zacisnął dłoń na jej palcach i Tess przebiegło drżenie. Nie uszło to jego uwagi i zajrzał jej głęboko w oczy. Pod wpływem intensywnego spojrzenia Tess oblała się rumieńcem, choć

dawniej jej się to nie zdarzało. Wyglądało na to, że obecność Rothbury'ego wywołuje u niej nietypowe reakcje, z którymi wcześniej nie miała do czynienia. Skupiła się więc na tym, by zejść ze stopni powozu bez potknięcia. Nie zaplanowała padania w ramiona wicehrabiego.

Gdy stanęła pewnie na chodniku, Rothbury puścił jej dłoń, choć nadal w skupieniu jej się przyglądał. Tess uświadomiła sobie, że on wciąż oczekuje odpowiedzi na swoje pytanie.

– Mam pewną propozycję, którą chciałabym z panem przedyskutować – wyjaśniła. – Chodzi jedynie o interesy. Wolałabym jednak nie omawiać ich na ulicy – zakomunikowała, ale nie tak

pewnie, jak by sobie życzyła. Głosowi zabrakło władczości, co bardzo ją rozzłościło.

Rothbury skłonił się z kpiącą miną. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony, jakby znajome kobiety często pojawiały się bez zapowiedzi w jego domu. Tess dopuszczała taką możliwość. Słyszała o jego zamiłowaniu do podróży i pasji odkrywcy i zdawała sobie sprawę, że dla niego w niezapodziejanej wizycie nie może być niczego ekscytującego.

– Zapraszam więc do środka – odparł i odsunął się, by Tess mogła wejść do domu.

Hol okazał się wręcz zastawiony posągami i olbrzymimi chińskimi wazami, co w zalegającym mroku

sprawiało, że łatwo było o przypadkowe zderzenie. Uprzytomniła sobie, że poprzedni wicehrabia był badaczem starożytnych cywilizacji. Zbiory musiały stanowić owoc niektórych jego wypraw. Z zamyślenia wyrwał ją głos Rothbury'ego.

– Wiem, to mauzoleum. Jeszcze nie zdecydowałem, co z tym zrobić. Czy poznała pani mojego kuzyna, poprzedniego wicehrabiego, lady Darent?

– Nie przypominam sobie – odparła. – Słyszałam, że był zapalonym akademikiem, ciągle podróżował i powiększał zbiory.

Rothbury skinął głową.

– Połączyło nas upodobanie do

podróży. To właśnie ono stworzyło między nami więź, choć nigdy nie poznaliśmy się osobiście. – Uśmiechnął się. – Zakładam jednak, że zna pani resztę odziedziczonej przeze mnie rodziny, czyli moje cioteczne babki, lady Martindale, lady Borough i lady Hurst.

Tess spojrzała na niego przenikliwie. Nie spodziewała się tak pomyślnej wiadomości. Wspomniane kobiety tworzyły trio matron, budzące powszechny lęk w towarzystwie.

– Lady Martindale bardzo dba o zasady, to wyjątkowo groźna dama – przyznała Tess.

– Przeraza nawet panią? Sądziłem, że jest pani całkowicie odporna na dezaprobatę towarzystwa. – Mówiąc to,

zdjął surdut i podał go z podziękowaniem kamerdynerowi, który wyglądał jak jeden z posągów.

– Czy życzy sobie pani, żeby Houghton zajął się jej okryciem, lady Darent, czy też planuje pani jedynie krótką wizytę? – spytał, ponownie używając kpiącego tonu.

Tess zawahała się. W domu nie było zimno, miała jednak poczucie, że potrzeba jej dodatkowej warstwy ochronnej, tak jakby płaszcz mógł być jej zbroją. Mimo wszelkich zalet Rothbury'ego, takich jak spowodowana wojenną kontuzją impotencja i powszechnie szanowane krewne, nie mogła pozbyć się skrepowania.

Zanim zdążyła odpowiedzieć,

Rothbury ujął ją pod ramię i poprowadził do biblioteki. Dwuskrzydłowe dębowe drzwi zamknęły się za nimi z głośnym trzaskiem, co przywodziło na myśl mechanizm pułapki.

– Proszę wybaczyć, jeśli sprawiłem wrażenie człowieka apodyktycznego.

Na widok jego uśmiechu zapało jej dech w piersiach. Zdarzało to się tak rzadko, że nie była pewna, czy nagle z nadmiaru napięcia nie zaniemogła. Do tej pory wykazywała odporność na urok przystojnych mężczyzn.

Rothbury oparł się o szerokie drzwi i skrzyżował ramiona. Tess odnotowała w myśli tę pozę jako kolejną przeszkodę w ewentualnej ucieczce.

– Jestem do dyspozycji i czekam na pani propozycję – oznajmił.

Zaskoczona niespodziewaną deklaracją, Tess się spieszyła, co raczej wcześniej się jej nie zdarzało, podobnie jak nie zwykła się rumienić.

– Chciałam... – Urwała, bo słowa odleciały od niej jak płatki kwiatu na wietrze. – To znaczy pomyślałam... – podjęła, zmieszana przenikliwym wzrokiem Rothbury’ego – ...i przyszedłam tutaj... – Zamilkła i nakazała sobie w duchu wziąć się w garść. – Przyszedłam tutaj poprosić, żeby pan mnie poślubił – dokończyła ze swadą nieśmiałej uczennicy i natychmiast dodała: – Naturalnie, tylko pro forma.

Upokorzona, czuła, jak rumieniec

z policzków przechodzi niżej i rozlewa się po całym ciele. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego zachowała się jak strwożona debiutantka. Przecież zamierzała być sobą, Teresą, markizą wdową Darent, opanowaną, pewną siebie, podchodzącą do ludzi i spraw z dystansem. Tymczasem w obecności tego mężczyzny poczuła się skrepowana do tego stopnia, że nie była w stanie jasno i stanowczo wyłuszczyć, z czym przybyła. Powinnam była wiedzieć, pomyślała Tess, że nie należy zaczynać tak niebezpiecznej gry. W każdej chwili Rothbury mógł przejrzeć jej podstęp, oskarżyć ją o działalność wywrotową i może nawet doprowadzić do zaareztowania i wtrącenia do Tower.

Rothbury długo milczał. Wreszcie, gdy Tess była bliska wybąkania przeprosin i gotowa czym prędzej umknąć, choćby przez okno, odepchnął się od drzwi i ruszył w jej kierunku. Wpadła w panikę, poczuła się bowiem bezpośrednio zagrożona, choć w zupełnie inny sposób niż przez Brokeby'ego, którego się bała i brzydziła. Instykt podpowiedział jej, że wicehrabia nie skrzywdziłby kobiety ani nie uczynił niczego wbrew jej woli. Mimo to jego fizyczna bliskość budziła w Tess obawę i zakłopotanie. Ujął ją pod brodę i lekko odwrócił jej głowę ku wysokim oknom, przez które wpadało nieco światła. Tess starała się nie okazać lęku.

– Małżeństwo pro forma. Po co to pani?

Opuścił rękę i Tess poczuła ulgę, bo na skutek bolesnych przeżyć obawiała się każdego dotyku. Jednocześnie odniosła wrażenie, jakby wypięła za dużo wina. Tymczasem Rothbury odsunął się od niej o krok i raptownie obrócił się na piętach.

– To nie było pytanie retoryczne – stwierdził.

Tess miała pustkę w głowie. Co się z nią dzieje? Gdzie podziała się jej bystrość i obycie? Dlaczego nie przewidziała, że Rothbury może zadać to pytanie, by nie wspominać o innych, jeszcze trudniejszych? Przyjechała z oświadczynami, nie przygotowawszy

pod nie gruntu. Powinna była wiedzieć, że Rothbury nie jest taki jak Darent, który bez dyskusji zgodził się na zaproponowany układ.

Wicehrabia przyglądał jej się z szelmowską miną, co tylko zwiększało zmieszanie Tess i sprawiało, że miała pustkę w głowie.

– Bez wątpienia wkrótce wyjawi mi pani, co skłoniło ją do złożenia mi szczególnej małżeńskiej oferty – powiedział niespiesznie. – Tymczasem mam inne pytanie. Może wydać się ono impertynenckie, lady Darent, a nawet wulgarne, ale muszę je zadać. A co ja z tego będę miał?

Owen otrzymał sporo propozycji

małżeństwa. Niektóre złożyły mu przedsiębiorcze kurtyzany w zaraniu kariery, inne pochodziły od młodych dam chcących umknąć przed nudą zasiadania w szkolnych ławach. Jedna pochodziła od bajecznie bogatej księżnej, która starała się uniknąć zaaranżowanego małżeństwa z kuzynem z królewskiego rodu. Żadna jednak nie dorównywała zuchwałością tej, którą dostał od owianej złą sławą wielokrotnej wdowy.

Przed dziesięcioma minutami w ogóle nie myślał o małżeństwie. Nie mówiąc o tym, że mógłby zostać czymś czwartym mężem. Ożenić się z Tess Darent?! Ten pomysł był po prostu niedorzeczny. Owszem, rozmyślał,

niedorzeczny, ale fascynujący. Najbardziej interesowało go, dlaczego Tess Darent wystąpiła z niecodzienną propozycją. Przypuszczał, że zdobyła się na śmiały blef. Wiedziała, że podejrzewa się ją o to, że jest Jupiterem, postanowiła więc zneutralizować zagrożenie z jego strony poprzez wejście z nim w małżeństwo. Podziwiał jej zmysł taktyczny. Posunięcie było ryzykowne, ale błyskotliwe, a przy tym dowodziło niezwyklej zuchwałości Tess.

Musiał zdecydować, czy jest gotów podjąć grę. Instykt podpowiadał mu, że warto. Przecież przez lata był za pan brat z przygodą, nie bał się ani dalekich podróży, nieznanymi morskimi czy lądowymi ani

nowych znajomości. Dlaczego więc nie miałby podjąć ryzyka? Zmierzyć się z wyzwaniem? Tym bardziej że z reguły życie wicehrabiego nie obfitowało w ekscytujące momenty.

Minionego dnia Owen nie podzielił się z lordem Sidmouthem przypuszczeniami co do roli lady Darent w sprawie Jupitera. Nie był pewien, co go powstrzymało. Może brak dowodów lub przekonania w słuszność swoich wniosków. Niewykluczone, że zadziałał instynkt opiekuńczy, który nakazywał mu raczej chronić Teresę Darent niż dążyć do jej skazania. Ta ostatnia ewentualność była trudna do pojęcia, a w dodatku niepokojąca. Nie miał zrozumienia dla radykałów, Jupitera zaś

uważał za niebezpiecznego przestępcę, przekraczającego prawo i zaburzającego porządek. Mimo to zachował milczenie.

Jednak nie on jeden badał sprawę Jupitera. Sidmouth miał do dyspozycji mnóstwo ludzi, począwszy od agentów do specjalnych poruczeń, a skończywszy na zwykłych informatorach. Owen zdawał sobie sprawę z tego, że zdemaskowanie Jupitera i rozpędzenie grupy tworzącej klub jest tylko kwestią czasu. Tess musiała to wiedzieć. Przyszła więc do niego, by szukać ochrony.

„Większość mężczyzn traktuje małżeństwo ze mną jako przywilej i o nic więcej nie pyta” – usłyszał od Tess w odpowiedzi na swoje pytanie.

W tych słowach pobrzmiwała nuta dumy dziesięciu pokoleń rodziny Fennerów. Poczł się po jej słowach tak, jakby popełnił gafę, ośmielając się zadać jej pytanie. Trzej poprzedni mężowie zapewne powiedzieli „tak”, zanim skończyła im składać propozycję. Samodzielne zwracanie się do mężczyzn było podobno w stylu Tess Darent zarówno gdy szukała męża, jak i kochanka. Nie czekała, aż ktoś ją znajdzie, lecz sama wyruszała na łowy.

Tak twierdzili plotkarze. Prawda była zapewne znacznie bardziej złożona. Owen powoli dochodził do wniosku, że Tess Darent jest pod każdym względem przeciwieństwem osoby, którą wydaje się być, sądząc z pozorów. W tej chwili

na przykład widział, że jest skrepowana. Wyczuwał też jej lęk, który usiłowała ukryć, demonstrując opanowanie.

Stała daleko od niego, przy przeszklonych drzwiach z widokiem na taras i ogród z poprzycinanymi żywopłotami i cisem. Nie widział wyrazu jej twarzy. Wyprostowana i nieruchoma, w żółtej sukni wyglądała jak płomień ożywiający szarość pokoju. Odcień sukni powinien gryźć się z jej złocistorudymi włosami widocznymi pod kapeluszem, a tymczasem efekt kontrastu zapierał mu dech w piersiach, a głowa Tess wydawała się otoczona ognistym nimbem.

Nie ulegało wątpliwości, że ta kobieta bardzo starannie dobiera stroje i wie,

jak wywrzeć piorunujący efekt. Owena moda zupełnie nie obchodziła. Miał wrodzony gust i nosił ubrania z niedbałą elegancją, z powodu której bardzo cierpiał jego osobisty służący. Odniósł jednak wrażenie, że Tess Darent posługuje się strojem jak orężem, aby wspomóc swoją pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa.

Podszedł do niej bez pośpiechu, buty głośno zastukały w drewnianą posadzkę biblioteki. Nie było tu dywanów, które łagodziłyby surowość pomieszczenia. Kuzyn Peregrine, który przez wiele lat żył jako wdowiec i rzadko odwiedzał Anglię, żałośnie zaniedbał Rothbury House. Pozostałe nieruchomości były także w złym stanie i potrzeba było

tysięcy, by doprowadzić je do stanu używalności. Małżeństwo z zamożną kobietą dostarczyłoby niezbędnych środków finansowych, o czym wspominała jego cioteczna babka, lady Martindale. Poza tym gdyby się ożenił i spłodził dziedzica, babka była gotowa zasilić go gotówką i spłacić rodowe długi. Nie zaaprobowałyby jednak Tess Darent w roli jego żony. Pomysł małżeństwa z kobietą, która wzbudziłaby sprzeciw lady Martindale, bardzo Owena pociągał, byłby to dowód buntu spadkobiercy ograniczonego powinnościami i konwenansami. Naturalnie, wiedział, że nie jest to dostateczny powód do ożenku, ale pomysł i tak wydawał mu się wart

zastanowienia.

Stanął znacznie bliżej Tess, która się odwróciła od okna, a mimo to w jej fiołkowoniebieskich oczach nie dostrzegł lęku. Mierzyli się wzrokiem i nie był pewien, czy nie wyobraził sobie, że Tess Darent żywiła obawę i była zdenerwowana. Odsunęła się jednak nieznacznie, by zwiększyć dystans między nimi. Najwyraźniej fizyczna bliskość budziła jej zakłopotanie, co wydawało się Owenowi bardzo dziwne w świetle krążących o niej plotek.

– Wątpię, czy większość mężczyzn traktowałaby małżeństwo z panią jak przywilej, gdyby nie wolno im było z panią się kochać – powiedział oschle.

– Proszę mi wybaczyć tę obcesowość – dodał, widząc gniewny błysk w jej oczach. – Staram się być maksymalnie szczery w rozmowach natury intymnej.

– Nigdy nie myślałam o małżeństwie jak o czymś intymnym – odparła Tess i policzki wyraźnie jej poróżwiały. – Obawiam się, że ma pan kolonialne spojrzenie na tę instytucję, lordzie Rothbury. Małżeństwo w towarzystwie jest jedynie aliansem dla obopólnej wygody, zysku i wpływów. Pan skorzysta z mojej urody i moich kontaktów, a ja uzyskam jako ochronę pańskie nazwisko.

– Znów proszę mi wybaczyć, ale czy to rzeczywiście jest wzajemnie korzystny interes? – spytał Owen.

– Nie – odparła Tess. – Pan jest w nim zdecydowanie uprzywilejowaną stroną. Muszę wykazać dużą gotowość do kompromisu, aby zawrzeć małżeństwo z wicehrabią.

– Nie trzeba posiadać konia pełnej krwi, by podziwiać jego piękno – zauważył Owen.

Tess spojrzała na niego wyniośle.

– Czy to jedno z nas jest zwierzęciem w tej analogii?

– Jeśli zaś mowa o kontaktach w towarzystwie, to w ogóle ich nie cenię – dodał Owen.

– To z pańskiej strony przejaw krótkowzroczności – odparła Tess. – Tak krótkowzroczny człowiek chyba nawet nie byłby w stanie docenić urody

konia pełnej krwi.

Owen uśmiechnął się. W pełni doceniał tę kobietę. Była piękna i mogła zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie. W najgorszym razie pozostawała mu pewność, że jeśli ją poślubi, nie będzie się nudził. Rozmowy z Tess Darent miały coś z wdychania soli trzeźwiących, choć ona bez wątpienia stwierdziłaby, że nowocześni małżonkowie rozmawiają ze sobą bardzo mało, najlepiej za pośrednictwem służby.

– A co z pani reputacją? – spytał.

Wielu mężczyzn mogłoby się wzdragać przed wzięciem żony, mającej opinię skłonnej do występku, bo wprawdzie niektórzy oczekują tego od

kobiety, ale od kochanki. Z zainteresowaniem oczekiwał odpowiedzi. Tess Darent zachowała jednak opanowanie. Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, które zaczynało mu się wydawać znajome.

– Pan ma reputację pirata i najemnika – odparła po chwili. – Większość kobiet wolałaby takiego mężczyznę na kochanka, a nie na męża.

Trafiła. Skłonił głowę.

– Piratem nie byłem, chociaż pewnie można by mnie nazwać najemnym żołnierzem – przyznał.

– A ja nigdy nie byłam dziwką – podkreśliła Tess.

Ta odpowiedź wywołała uśmiech Owena. Ta kobieta miała ikrę

i temperament, to pewne.

– Gdybyśmy zawarli małżeństwo – kontynuowała – zachowywałabym się w sposób jak najbardziej stosowny. Chcę wyjść za mąż, żeby nie pogarszać reputacji.

– Muszę, jak sędzę, zwrócić uwagę, że wczoraj wieczorem spotkaliśmy się, gdy wychodziła pani przez okno z domu uciech.

– Wczoraj wieczorem nie byliśmy zaręczeni, lordzie Rothbury – zauważyła, pozwalając sobie na kpiący ton.

Musiał jej przyznać, że kontenansu nie traciła. To zresztą znakomicie pasowałoby do kobiety, która potajemnie sympatyzuje z radykałami

i nosi w torebce pistolet. W domu uciech wcale nie musiała spędzać rozpustnego wieczoru, uznał Owen. To go zaintrygowało. Zazwyczaj łatwo się nużył, co było skutkiem ciągłego wyszukiwania nowych wyzwań. Nieprzewidywalność i ryzyko dawały mu poczucie, że żyje naprawdę. Tess Darent stanowiła dla mężczyzny nieustające i niegasnące wyzwanie.

– W grę wchodzi mój majątek – dodała obojętnie. – Ocenia się, że jestem bardzo bogata.

To wzbudziło jego zainteresowanie. Zdawał sobie sprawę z tego, że lady Darent do biednych nie należy, ale nie wiedział, czy jest zabezpieczona finansowo, czy stać ją niemal na

wszystko.

– Jak bogata? – spytał.

– Mam ponad sto pięćdziesiąt tysięcy funtów – powiedziała, badając wzrokiem wyraz jego twarzy. – Teraz więc, jeśli odwołać się do pańskiej analogii, staję się darowanym koniem, a może nawet kurą znoszącą złote jaja.

Powiedziała to beznamiętnie, bez goryczy czy pretensji, ale Owen zauważył w jej oczach ślad rozczarowania. Czyżby chciała, żeby przyjął jej propozycję tylko dlatego, że to właśnie ona z nią wystąpiła? Wydawało się mało prawdopodobne, żeby miało to dla niej znaczenie.

– Muszę przyznać, że majątek przekraczający sto pięćdziesiąt tysięcy

funtów jest silną zachętą.

– Przynajmniej nie będzie mnie pan okłamywał i udawał, że bardziej go obchodzą moje wdzięki niż pieniądze – orzekła oschłym tonem Tess. – Nawet lepiej, że jest pan bezceremonialny, jak głosi fama, lordzie Rothbury. W ostatecznym rozrachunku oszczędza to kłopotów.

– Może więc znajdziemy wspólny język – stwierdził Owen.

Ich spojrzenia po raz kolejny się spotkały i Owen zyskał pewność, że pociąga go raczej właścicielka majątku niż jej stan posiadania.

– Wspomniała pani, że chce zawrzeć małżeństwo, aby poprawić krążącą o niej nie najlepszą opinię. – Wskazał

jej krzesło. – Może opowie mi pani więcej na ten temat.

Zawahała się, Owen odniósł jednak wrażenie, że mimo prowadzonej przez Tess gry na jej twarzy maluje się szczerłość. Problemy, z którymi się borykała, musiały być naprawdę poważne.

– Proszę – powiedział, wciąż czekając, aż lady Darent usiądzie. – Może mi pani zaufać.

Całkiem nieświadomie złagodził ton i znowu się uśmiechnął. Tess Darent miała zatrważającą umiejętność rozbijania mężczyzn. Wiedział, że jeśli nie zachowa ostrożności, wkrótce zapomni o tym, że ma przed sobą niebezpieczną adeptkę polityki,

i pozwoli się żywcem ugotować.

Tym razem skorzystała z zaproszenia, choć usiadła na krawędzi krzesła, jakby obawiała się, że pod nią wybuchnie. Zważywszy jednak na stan sprężyn mebla, nieufność była uzasadniona.

– Mój zmarły mąż, markiz Darent, zaciągnął pożyczkę – wyjawiała. – Wierzyciel domaga się teraz spłaty – dodała z nutą irytacji w głosie.

– Małżeństwo jest dość ekstremalnym sposobem regulowania zobowiązań płatniczych – ocenił Owen, zajmując miejsce naprzeciwko Tess. – Mogłaby pani najpierw udać się do ludzi pożyczających pieniądze, zważywszy że przed chwilą przyznała się pani do obrzydliwego bogactwa. Powinno więc

być panią stać na spłacenie tego długu.

– Nie ma niczego obrzydliwego w moim majątku – zaprotestowała. – Pożyczkodawca, a jest nim lord Corwen, nie domaga się pieniędzy.

– Czego więc? – spytał Owen. – Chce mieć panią? Domaga się spłacenia długu w taki sposób?! – Nie krył oburzenia, ponieważ obudziła się w nim zaborczość ewentualnego posiadacza.

– Nie. – Tess odetchnęła głęboko, jakby słowa nie chciały przejść jej przez gardło. – Żąda, abym spłaciła dług, wyrażając zgodę na poślubienie przez niego mojej pasierbicy. – Skrzywiła się z obrzydzeniem. – Obecnie Sybil przebywa na pensji w Bath, bo ma dopiero piętnaście lat. Corwen chce,

żeby ślub odbył się w jej szesnaste urodziny. Nie należy zapominać, że jego lordowska mość liczy czterdzieści siedem lat i pragnie młodziutkiej żony, która byłaby posłuszna i... – Tess się wzdrygnęła – niewinna. Krótko mówiąc, anuluje dług, jak ożeni się z Sybil.

Owena ogarnęło obrzydzenie.

– To groteskowe. Z pewnością... – Chciał powiedzieć, że nie może to być prawdą, ale gdy spojrział w oczy Tess, zmienił zdanie. – Rozumiem, że pani odmówiła – dokończył.

– Naturalnie – potwierdziła. – Zaproponowałam, że spłacę dług z moich funduszy, ale on się nie zgodził. Zagroził, że jak nie dostanie Sybil, zniszczy jej reputację, rozsiewając

plotki, że poszła śladem macochy. – Wzruszyła ramionami. – Sam pan wie, jak to jest. Jeśli debiutująca w towarzystwie młoda panna traci dobrą opinię, to już jej nie odzyskuje, podobnie jak szansy na szczęśliwe ułożenie sobie życia.

– Corwen nie będzie miał podstaw, by ją szkalować – zauważył Owen.

– To oczywiste, ale Sybil może zaszkodzić moja zła reputacja, o ile nie poczynię właściwych kroków, by temu zapobiec. Corwen napiętnuje mnie jako źródło najgorszego z możliwych wpływów na dorastającą pannę. Wytknie, że zajmuję się wychowaniem Sybil, że jestem przekupna i zachłanna, a mój niemoralny sposób prowadzenia

się z pewnością niekorzystnie wpłynął na morale pasierbicy. Ludzie mu uwierzą, bo tak się składa, że zawsze chcą wierzyć w to, co najgorsze. – Nagle w głosie Tess zabrzmiała nuta desperacji, niewątpliwie szczerą. – Nie dopuszczę do krzywdy Sybil. Jej ojciec zostawił ją i jej brata bliźniaka pod moją opieką, więc nie mogę ich zawieść.

Owen wstał. Zrozumiał, skąd wzięło się zapewnienie Tess, że jeśli wezmą ślub, będzie skrupulatnie przestrzegała zasad. Postanowiła zyskać godny status i w ten sposób zapewnić ochronę dzieciom nieżyjącego męża. Naturalnie, będzie musiała zrezygnować z szaleństw i stać się wzorem przyzwoitości. Zadał

sobie w duchu pytanie, czy Tess Darent zdołałaby się wywiązać z warunków takiej umowy.

– Chce pani, żebym był jej listkiem figowym, lady Darent – powiedział z uśmiechem. – Mam zrobić z pani osobę godną szacunku.

Tess parsknęła śmiechem, wydawała się szczerze rozbawiona. Owen był zaskoczony, że udało mu się doczekać, by ta kobieta na chwilę zdjęła zbroję. Uznał, że chętnie poznałby lepiej prawdziwą Tess Darent.

– Moim listkiem figowym – powtórzyła Tess. – Co za obrazowe sformułowanie, milordzie.

– I bardzo odpowiednie, skoro odzienie nieustannie z pani spada –

dodał. – Podczas ucieczki z domu uciech i na obrazach Meltona, o których wszyscy mówią.

Nagle jej twarz spoważniała, a w oczach zgasł figlarny błysk.

– Przyznaję, że tak to wygląda – powiedziała drętwo i zmieniła pozycję na krześle. – Obrazy pochodzą ze zbiorów mojego drugiego męża i nie powstały z myślą o pokazywaniu ich publicznie, ale... – Wzruszyła ramionami. – Pan Melton dorabia się w taki sposób, jaki uważa za właściwy.

Owen pomyślał, że to jedno wzruszenie ramionami wyrażało więcej niż wybuchy oburzenia. Teresa Darent udawała, że nie obchodzi jej zuchwałość Meltona, zarabiającego krocie na

pokazywaniu jej ciała. Demonstrowała obojętność, ale Owen wyczuł, że Tess żywi głęboką urazę. Natychmiast stłumił podszepty instynktu opiekuńczego.

– Skoro rozmawiamy o plotkach i skandalach – odezwał się znowu – to krążą pogłoski, że ma pani młodego kochanka, niejakiego Justina Brooke’a.

– Towarzystwo wyraźnie pospieszyło się z przekazaniem panu tej wieści – stwierdziła oschle. – W zasadzie dowodzi to jednak, że mam rację co do swojej reputacji.

– Czy to prawda? – nie ustępował Owen. – Może mnie pani nazwać staroświeckim, ale wolałbym, aby przyszła żona nie była pochłonięta romanssem tuż przed ślubem, a tym

bardziej po ślubie.

– Pan Brooke nie jest moim kochankiem – odparła, patrząc mu prosto w oczy. – Nie mam kochanka i nie zamierzam sobie żadnego wziąć. Nigdy... – Urwała i się zaczerwieniła.

– Nigdy nie miała pani kochanka? – spytał cicho Owen.

Zaskoczyło go to, ale zdążył się przekonać, że lady Darent była źródłem niejednej niespodzianki.

– Nigdy. – Wydawała się zirytowana tym wyznaniem, jakby ujawniła zbyt wiele. Odwróciła wzrok. – Miałam trzech mężów – dodała po chwili. – To chyba wystarczy.

– Najwyraźniej nie, skoro szuka pani czwartego – odrzekł Owen.

Uśmiechnęła się wątle i rozłożyła ręce w kolejnym geście, który zdaniem Owena wyglądał sztucznie.

– Cóż mogę powiedzieć? Widocznie weszło mi to w nałóg.

Owen szczerze w to wątpił. Tess Darent wydawała się za bardzo opanowana, by ulegać nałogom.

– Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć, zanim udzielię pani odpowiedzi? – spytał.

Dał jej szansę na szczerze wyznanie. Mogła się przyznać do poglądów politycznych i zaangażowania w klub Jupiter. Nagle Owen uświadomił sobie, że czekając na odpowiedź, wstrzymuje oddech. Przez chwilę Tess się zastanawiała, widać było, że waży

argumenty. W końcu jednak przecząco pokręciła głową.

– Nic więcej, milordzie – odparła i spojrzała na niego zaintrygowana. – Czy to nie wystarczy?

Cóż, nie była to cała prawda. Owen poczuł rozczarowanie. Chciał, żeby Tess mu zaufała, choć z jego strony było to naiwne oczekiwanie, bo miała wszelkie powody, by się przed tym strzec. Był człowiekiem Sidmoutha, miał wytropić i aresztować przestępcę ukrywającego się pod pseudonimem Jupiter. Tess nie przyszła do jego domu po to, by cokolwiek wyznać. Kusila go pieniędzmi i ograniczając się do półprawd, liczyła, że posłuży się nim, by ująć przed Sidmouthem.

W tej sytuacji powinien odrzucić jej propozycję. Więcej, zażądać jej aresztowania. Jednak nie potrafił tak postąpić. Tess Darent prowadziła zuchwałą grę, która przemawiała do jego instynktu gracza. Postanowił przyjąć wyzwanie, podnieść rękawicę i zwyciężyć.

Przypomniawszy sobie karykatury i ukrytą w nich moc. Były rysowane z gniewem i pasją, co nie kojarzyło się z tą chłodną, upozowaną kobietą, która przed nim siedziała. Chciał odkryć prawdziwą Tess Darent. Był ciekaw, czy naprawdę jest gotowa posunąć się aż tak daleko, by stanąć z nim przed ołtarzem i znaleźć się w małżeńskim łóżku.

Był tylko jeden sposób, by się o tym

przekonać. Wstał.

– Lady Darent... – wykonał nieskazitelny ukłon – jestem świadom zaszczytu, jaki chce mi pani wyświadczyć, i...

Czy na pewno były to słowa, jakich używa się, przyjmując oświadczyzny? Owen nie miał pojęcia, ale uśmiechnął się szeroko, bo odwrócenie ról wydawało się zabawne.

– Zamierza pan jednak mi odmówić. – Tess wpadła mu w słowo i szybko podniosła się z krzesła. – Tym lepiej, jak sądzę – dodała, wygładzając rękawiczki i zbierając się do odejścia. Owenowi wydało się to fascynujące. – Tak się składa, że i ja zmieniałam zdanie. W ogóle nie nadaje się pan na modnego

męża. Jest pan o wiele zbyt... – Urwała.

Owen chciał wyprowadzić ją z błędu, ale był stanowczo za bardzo rozbawiony i zaintrygowany, by zrobić to wprost. Chłodną i opanowaną lady Darent w ostatniej chwili zawiodła odwaga. Najwyraźniej nie była jednak aż tak zuchwała, jak się zdawało. Nie zamierzał łatwo jej odpuścić.

– O wiele zbyt jaki? – spytał.

– Zbyt prostolinijny i pewny siebie, a poza tym zadaje pan stanowczo za dużo pytań – oświadczyła Tess. – To na nic.

Owen stanął tak, by przeszkodzić jej w dojściu do drzwi.

– Zanim pani wyjdzie – powiedział ze zwodniczym spokojem – proszę, niech

pani udzieli mi kilku wskazówek na wypadek, gdyby jeszcze raz dama mi się oświadczyła. Jak należy zareagować zgodnie z wymogami mody?

– Wdzięcznością, jeśli dama jest podobna do mnie – odparła Tess.

– Nikt nie jest do pani podobny – zapewnił ją. – Poza tym przyjmuję pani oświadczenia, lady Darent, i to z wdzięcznością.

W jej oczach pojawił się wyraz zdumienia, a usta ułożyła w kształt litery „O”.

– Chyba że już wycofała pani propozycję – dodał łagodnie. – W takiej sytuacji byłbym głęboko rozczarowany.

Przyglądał się z zainteresowaniem, czy teraz, gdy przyszło do konkretów,

dama znajdzie dość tupetu, aby stanąć na wysokości zadania. Otrząsnęła się bardzo szybko.

– W takim razie umowa stoi – skwitowała.

– Niech zgadnę – rzekł oschle Owen.

– Uczyniłem panią najszczęśliwszą z kobiet. Przeważnie mówi to mężczyzna, ale zamieniliśmy się rolami.

– Nie posunęłabym się aż do takiego stwierdzenia – zauważyła Tess. – Niemniej jestem panu wdzięczna, lordzie Rothbury.

– Schlebia mi pani.

– To jest umowa, kontrakt, a nie schlebiam partnerom w interesach.

Najwyraźniej znów kontrolowała swoje zachowanie, uznał Owen. Cóż, za

moment zamierzał ponownie zburzyć jej opanowanie, dając jej przedsmak tego, czego może się spodziewać w małżeństwie.

– Proszę, aby wysłał pan zawiadomienie do prasy o naszych zaręczynach – powiedziała Tess.

Owen skłonił głowę.

– Jak pani sobie życzy. Postaram się o specjalną licencję.

Ucieszyło go, że zobaczył panikę w jej oczach. Najwyraźniej lady Darent wciąż miała wątpliwości co do swojego pomysłu.

– Nie ma potrzeby aż tak się spieszyć.

– Przeciwnie – odparł Owen, rozkoszując się jej zmieszaniem. – Jest zdecydowana potrzeba. Wprawdzie

zaręczyny pomogą pani poprawić reputację, nie będą jednak tak skuteczne, jak pani oczekuje. Konieczne jest małżeństwo.

Przygryzła wargę.

– No cóż, myślę...

– Jutro złożę pani wizytę – zakończył z niemałą satysfakcją Owen.

Lekko zmarszczyła czoło.

– Złoży mi pan wizytę?

– Chyba że woli pani, abym listownie przesłał informację o dacie ślubu. Wówczas spotkamy się w kościele – odrzekł, nie ukrywając gryzącej ironii.

– Hm... – Uśmiechnęła się uroczo zupełnie jak wtedy, gdy Tess Darent była nieskazitelnie upozowana. – Byłoby bardzo wygodnie, gdyby właśnie tak pan

zrobił. Ponieważ zawieramy małżeństwo z rozsądku, nie sędzę, byśmy musieli szczególnie często się widywać przed ceremonią.

Ruszyła do drzwi. Owen cofnął się o dwa kroki i szybciej położył dłoń na klamce, więc Tess na niego wpadła. Poczł jej zapach i ciepło bijące od ciała. Podobnie jak poprzedniego wieczoru, ogarnęło go pożądanie. Chwycił ją za nadgarstek.

– Nie będę uległym mężem, lady Darent – ostrzegł. – Proszę sobie nie wyobrażać, że zamierzam wypełniać pani polecenia. Na razie wszystko stoi na głowie, ale treści przysięgi małżeńskiej nie zmienię.

Pod palcami czuł jej przyspieszony

puls. Najwidoczniej rękawiczka nie chroniła przed doznaniem wyzwalanym przez jego dotyk. Stali tak blisko siebie, że Tess musiała odchylić głowę, by spojrzeć mu w oczy. Owen dopatrzył się w nich złości, choć jej głos zabrzmiał spokojnie:

– Zgoda, ale pod warunkiem, że również pan nie będzie oczekiwał posłuszeństwa ode mnie.

– Zobowiąże się pani do niego w kościele, składając przysięgę. Chyba że zamierza pani złożyć ją wybiórczo.

Tym razem w jej oczach pojawił się lęk.

– Wydaje się pani wahać – zauważył Owen. – Może chce pani zmienić zdanie, odwołać ślub, póki nie jest za późno?

Przez chwilę biła się z myślami.

– Nie, dziękuję – powiedziała w końcu takim tonem, jakby polecała lokajowi, by przyniósł herbatę. – Nie stać mnie na wybrzydzenie. Chyba że to pan chce się wycofać, milordzie?

Owen nie zamierzał tego uczynić.

– Nie – odparł. – Poślubię panią.

– Co za wielkoduszność – powiedziała kpiąco.

Pociągnął ją ku sobie. Ku swemu zaskoczeniu, uprzytomnił sobie, że czeka na ten pocałunek z niecierpliwością. Podobała mu się gra, którą między sobą toczyli. Odnalazł jej usta i na chwilę połączył ich czar. Przyciągnął ją bliżej i wtedy poczuł dreszcz przenikający jej ciało. Zanim zdążył się nad tym

zastanowić, Tess zmartwiała. Przestała na cokolwiek reagować, zastygła w jego ramionach.

Owen cofnął się. Tess miała zamknięte oczy, wargi lekko rozchylone, złocistorude pukle otaczały jej twarz. Wyglądała jak śpiąca królewna, piękna, lecz bez życia. I z pewnością nie mógł ożywić jej pocałunek. Owen dawno nie całował kobiety, nie wykluczał więc, że nieco stracił wprawę, ale z taką reakcją, a właściwie z jej brakiem, nie spotkał się jeszcze nigdy.

W końcu Tess otworzyła oczy. Ich wyraz był równie beznamienny jak jej zachowanie przed chwilą. Owen poczuł rozczarowanie. Jeśli to miał być przedsmak ich życia małżeńskiego,

zapowiadało się ono jałowo. Może jednak powinien się wycofać, póki miał na to czas?

– Do widzenia, lordzie Rothbury.

Tess wygładziła rękawiczki i poprawiwszy płaszcz, który narzuciła na ramiona, pewnym ruchem zawiązała tasiemkę pod brodą. Wydawała się zupełnie nieporuszona tym, co zaszło. Wyglądało na to, że nie zamierza odnieść się do pocałunku. Może tak właśnie wyglądają uściski modnych narzeczonych, pomyślał Owen, może są tylko chłodnym stwierdzeniem wyzutej z emocji więzi. Jeśli takie oczekiwania miała Tess wobec ich narzeczeństwa, a potencjalnie również małżeństwa, to czekał ją poważny wstrząs.

Otworzył i przytrzymał drzwi, a Tess wyszła i zręcznie pokonała labirynt między posągami. Znow uosabiała opanowanie i była w każdym calu modną piękną z towarzystwa.

Dopiero gdy na ulicy ucichł turkot kół powozu, Owen uświadomił sobie, że Tess w ogóle nie odpowiedziała na pytanie, dlaczego życzy sobie, aby małżeństwo było wyłącznie pro forma.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tess znalazła się między młotem a kowadłem, jak zwykła mawiać jej stara guwernantka, panna Finch. Nie mogła wycofać małżeńskiej propozycji z uwagi na dobro bliźniąt, a jednocześnie nie była przekonana, czy chce urzeczywistnić pierwotny plan i poślubić Rothbury'ego. Był stanowczo zbyt pewny siebie, a kontrolowanie go napotkała trudności.

Drugą noc z rzędu nie mogła spać. Otworzyła szufladę w szafce stojącej przy łóżku i wyjęła z niej szkicownik i węgiel. Rysowanie zawsze ją uspokajało. Lubiła widzieć linie

pojawiające się na papierze i słyszeć skrzyp węgla. Narysowała drzewo wolności, które ścina lord Sidmouth w stroju leśnika. Potem zrobiła karykaturę sceny przeszukania Świątyni Wenus, na której różnym arystokratom opadały spodnie, pani Tong wyła niczym wiedźma, a jej dziewczęta rozbiegały się w poszukiwaniu schronienia, podczas gdy dragoni, którzy wpadli do środka, deptali bicze, pejcze i inne erotyczne akcesoria. Każde pociągnięcie węgla ożywiało tę scenę i dodawało jej charakteru.

Wreszcie z westchnieniem odsunęła od siebie szkicownik. Kusiło ją, by opublikować kolejny rysunek. Postanowiła nazajutrz wybrać się do

drukarni. Wprawdzie obiecała sobie skończyć z klubem Jupiter, ale doszła do wniosku, że kilka nowych karykatur nie zaszkodzi. Chyba oszalałaby, gdyby nie mogła dalej wyrażać swoich poglądów, tego, co ją gnębi i co uważa za istotne. Po wizycie w drukarni planowała wstąpić do Świątyni Uciech, aby porozmawiać z panią Tong o zagubionych rysunkach. Była pewna, że w sprzyjającym momencie pani Tong wyciągnęła je z torebki zapewne po to, by zwrócić je za stosowną opłatą. Pomogła jej, bo miała syna radykała domagającego się reform. Nie oznaczało to jednak, że za każdym razem będzie się zachowywać lojalnie w stosunku do lady Darent. Własna natura by jej na to

nie pozwoliła.

Tess skuliła ramiona. Trochę za dużo tych komplikacji. Filantropią zajęła się za sprawą pierwszego męża, Roberta Barstowa, a po jego śmierci kontynuowała tę działalność, wykorzystując pieniądze, które po nim odziedziczyła. Walczyła też o wprowadzenie reform, które przeciwdziałałyby biedzie, przemocy i poprawiłyby warunki życia ubogich. W końcu zaplątała się w sieć intryg.

Postukała węgłem o dłoń. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że Rothbury nie wie o rysunkach. Pięć minut spędzone z nim przed południem wystarczyło, żeby przekonała się, jak bardzo jest bezpośredni. Wcześniej nie

spotkała równie obcesowego człowieka. Gdyby Rothbury znalazł obciążający ją dowód, wspomniałby o nim w rozmowie. Naturalnie, nie mogła być tego pewna; niewykluczone, że próbowała się w ten sposób pocieszać. Prowadziła z nim bardzo niebezpieczną grę.

Znów wzięła do ręki szkicownik. Wystarczyło kilka ruchów ręki, by na papierze pojawiła się twarz Rothbury'ego z wyraźnie zarysowaną szczęką, wydatnymi kośćmi policzkowymi, grzywą włosów opadającą na czoło i chłodnym, bezpośrednim spojrzeniem. Bardzo się różnił od Roberta Barstowa, nie mówiąc o Jamesie Darence.

Jeszcze raz wysunęła szufladę przy łóżku i zacisnęła palce na srebrnym medalionie, którego wierzch był po dziesięciu latach starty niemal do gładkości. Trzymała w nim miniaturę wyobrażającą Roberta. Myśląc o pierwszym mężu, niezmiennie odczuwała przygnębienie, mimo że minęło sporo czasu. Ten idealistyczny młodzieniec nawet nie dostał szansy, by stać się kimś więcej, choć z pewnością byłby dobrym, dzielnym i honorowym człowiekiem.

Znowu zerknęła na szkicownik. Wolałaby, żeby Rothbury nie spróbował jej pocałować. Kiedy ich usta się zetknęły, przez moment pozostawała pod działaniem nieznannej, niepowstrzymanej

siły. Szybko jednak przypomniała sobie o bolesnych przeszłych przeżyciach i powróciły do niej strach i obrzydzenie. Okrucieństwo Brokeby'ego naznaczyło ją nieusuwalnym piętnem. Choć przez tę jedną chwilę z Rothburym zdawało jej się... Pokręciła głową. Nic z tego, nikt nie jest w stanie jej pomóc.

Nie bardzo rozumiała, dlaczego chciał ją pocałować, chyba że chodziło mu o oficjalny sposób zaznaczenia ich narzeczeństwa. Przecież nie wiązała ich ani miłość, ani nawet pociąg fizyczny. Robert był jej najlepszym przyjacielem, ale nie kochankiem. A od czasu przejść z Charlesem Brokebym myśląc o fizycznej stronie związku z mężczyzną, nie umiała uwolnić się od złych

wspomnień.

Zamknęła szkicownik, żeby nie patrzeć na twarz Rothbury'ego. Z jej doświadczeń wynikało, że honorowych mężczyzn było bardzo niewiele. Szkoda, że tego jednego z nielicznych spotkała, gdy było o wiele za późno dla nich obojga.

– Dlaczego mi tego nie powiedziała?!

– Joanna Grant wpadła do biblioteki i zaczęła wymachiwać mężowi pod nosem najnowszym wydaniem „The Morning Post”. – Czy mam się dowiadywać o zaręczynach Tess z gazet? Ona wychodzi za mąż za Owena! Za Owena, wyobraź sobie!

Cisnęła gazetę na dokumenty Aleksa,

leżące na lśniąącym mahoniowym blacie biurka, i przy okazji zrzuciła część na podłogę.

Alex odłożył pióro i szarymi oczami spojrzał bez emocji na żonę.

– Nie bardzo rozumiem, co tak cię wyprowadziło z równowagi.

„Wyprowadziło z równowagi”? Ona przeżyła wstrząs i przez moment czuła żywiołową niechęć do siostry. A potem zachciało jej się płakać. Usiadła ciężko na jednym z mahoniowych krzeseł, które żałośnie zaskrzypiało.

– No więc...

Obojętne spojrzenie Aleksa i jego chłodny ton wprowadziły Joannę w zmieszanie. Nie takiej reakcji się spodziewała. Chciała, żeby zrozumiał

jej oburzenie.

– Nie powiedziała mi!

Była urażona, ponieważ Tess nie zechciała jej się zwierzyć. Tyle razy próbowała pomóc siostrze i namawiała ją do szczerości, ale ona niezmiennie jej tego odmawiała. Były w podobnym wieku, miały ze sobą wiele wspólnego, a jednak nie mogły się zaprzyjaźnić. Tess nie dopuszczała nikogo blisko siebie, a Joanna z tego powodu cierpiała.

– Zgadzam się, że byłoby milej usłyszeć tę nowinę z ust Tess – przyznał spokojnie Alex – ale może ona nie wtajemniczyła ciebie w swoje plany, bo spodziewała się po tobie takiej reakcji.

– Jakiej? – rzuciła ostro Joanna.

Gotowała się ze złości.

– Jakby chodziło o ciebie, a nie o twoją siostrę – odparł Alex. – Tess postanowiła poślubić mojego przyjaciela. Powinniśmy się cieszyć z ich szczęścia.

– Przecież się cieszę – odparła Joanna, ale jednocześnie duża łza potoczyła jej się po policzku i spadła na dywan. – To nieuczciwe! Owen miał być... – Urwała, ale było za późno.

Spojrzenie Aleksa, wcześniej chłodne, stało się lodowate.

– Co z Owenem? – spytał. – Chcesz powiedzieć Tess, że najpierw zamierzał się ożenić z tobą? A ona jest druga w kolejce? A może... – Alex poruszył się na krześle, nie przestając bawić się

piórem, które przekładał między palcami – uważasz, że siostra nie może poślubić Owena, bo on jest twoją własnością?

Joanna z trudem powstrzymała łzy. Uraza ustąpiła miejsca trwodze. Czyżby naprawdę o to jej chodziło? Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że sprawy tak szybko wymknęły się jej spod kontroli. Była tak wzburzona, że nie zauważyła, kiedy powinna ugryźć się w język.

– Wcale nie miałam tego na myśli – zaprotestowała, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to mało przekonująco. – Nic mi do tego, z kim Owen się ożeni. – Dlaczego więc ta nowina sprawiła mi tyle bólu? – zadała sobie w duchu pytanie i szybko uznała, że woli nie znać

na nie odpowiedzi.

– Pod warunkiem, że nie jest to Tess – zauważył z irytującym sarkazmem Alex.
– Obawiam się, że ci nie uwierzę – ciągnął. – Zabrzmiało to tak, jakbyś była zazdrosna. Czy to możliwe, by zależało ci na Owenie bardziej, niż jesteś gotowa to przyznać?

Joanna poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg. Zerknęła na gazetę, gdzie z cienkiej ramki były ją w oczy rzędy czarnych liter: „Ogłasza się zaręczyny Teresy, markizy wdowy Darent, i Owena Purchase’a, czternastego wicehrabiego Rothbury”. Poczowała ukłucie w sercu i przez chwilę miała trudności z oddychaniem.

– Nie! – rzuciła z nutą rozpacz

w głosie i natychmiast spróbowała zmienić ton na bardziej neutralny. – To nie tak, Aleksie. Nie kocham Owena i nigdy go nie kochałam. Przecież ciebie wybrałam!

– Ale to Owen był rycerzem na białym koniu – stwierdził wyraźnie urażony Alex. – Uratował cię przed pierwszym mężem, który ci groził. Dbał o twoje bezpieczeństwo, cierpliwie cię kochał.

Joanna zatkała sobie uszy. Rozmawiali o tym wtedy, gdy zdecydowali się na ślub i wspólne życie. Zdawało się, że wówczas wszystko sobie wyjaśnili. Sądziła, że Aleksowi nie przeszkadza jej słabość do Owena.

– Proszę cię, przestań – powiedziała.
– Nie kocham Owena, tylko ciebie.

Alex wstał, ujął Joannę za nadgarstki i zmusił, by opuściła ramiona. Poczowała się bezradna, ale zdawała sobie sprawę z tego, że musi być szczerą. Nie wolno jej było niczego ukrywać, bo za dobrze znali się z Alekssem. Udawanie czegokolwiek byłoby niewybaczalnym oszustwem.

– Niech ci będzie – przyznała. – Owen jest dobrym człowiekiem, podziwiam go. Uratował mnie przed Davidem i dlatego niezmiennie ciepło i serdecznie o nim myślę.

Alex milczał z posepnym wyrazem twarzy.

– Nie kocham Owena – powtórzyła, błagając męża spojrzeniem, by to zrozumiał. – Może był taki czas, że omal

się w nim nie zakochałam. Może byłabym skłonna z nim uciec. Jednak gdy mi to zaproponował, było za późno. Byłeś i pozostałeś jedynym mężczyzną, którego darzę miłością na dobre i na złe. Pamiętaj, że miałam okazję uciec z Owenem i nie uczyniłam tego, bo chciałam tylko ciebie.

Po chwili Alex objął żonę tak mocno, że zaparło jej dech.

– Przepraszam – powiedział zgaszonym głosem. – On kochał cię pierwszy, więc sądziłem, że istnieje możliwość...

– Nigdy jej nie było – przerwała mu stanowczym tonem Joanna. – Tylko ty się liczysz, Aleksie, wierz mi. – Uwolniła się nieco z uścisku i dodała: –

Martwię się, że Owen ożeni się z Tess, ponieważ nie może mieć mnie, a moja siostra nie jest dla niego dostatecznie dobra.

– Obie te uwagi są pochopne – orzekł Alex. – Po pierwsze, nie masz pojęcia, czy Owen wciąż żywi do ciebie uczucie, a po drugie, niesprawiedliwie oceniasz siostrę.

– Ja? – spytała Joanna, szczerze zaskoczona.

– Tess jest o wiele ciekawsza, niż ci się zdaje.

– Skąd wiesz? – spytała Joanna.

– Ponieważ zastałem ją w bibliotece, gdy czytała Rousseau.

– Kogo? – spytała zbita z tropu Joanna.

– Merryn nie jest jedyną uczoną kobietą w tej rodzinie – oświadczył nie bez satysfakcji Alex. – Podejrzewam ponadto, że Tess zajmuje się filantropią.

– Tess? – Joanna spojrzała ze zdumieniem na męża. – Chyba żartujesz? Interesuje ją modny strój i tożsamość kolejnego męża – dodała jadownicie. – Czy potrzeba jej aż czterech? Jest taka zachłanna.

– Dość tego! – zaprotestował Alex i znów wziął żonę w ramiona. Przycisnął wargi do wgłębienia poniżej jej ucha, o którym wiedział, że jest bardzo wrażliwe na dotyk. – A tak w ogóle znużyła mnie rozmowa o ślubie twojej siostry, chodźmy do łóżka.

Joanna poczuła miły dreszczyk.

– Teraz? – Spojrzała na zegar. – Po południu? Ktoś może przyjść i...

– Oczywiście – szepnął Alex, okrywając pocałunkami jej dekolt – gdybyś wolała robić co innego...

– Nie! – pośpiesznie zapewniła Joanna. – Prawdę mówiąc, nie pamiętam o żadnych pilnych sprawach.

Znacznie później cudownie rozleniwiona po miłosnych igraszkach przewróciła się na drugi bok w zmierzwionej pościeli i wsparła się na łokciu.

– Alex – powiedziała.

Mąż mruknął coś sennie, zbyt wyczerpany, by rozmawiać.

– Jest jeszcze jedna drobna kwestia w związku ze ślubem Tess, którą

powinniśmy przedyskutować –
oznajmiła nieustępliwie.

Alex jęknął i otworzył jedno oko.

– A musimy? – spytał z niechęcią.

– Tess wychodzi za mąż jedynie za
impotentów – powiedziała
bezceremonialnie Joanna. – Zatem musi
sobie wyobrażać, że Owen też taki jest.

Alex usiadł wyprostowany na łóżku.

– Co takiego?! Skąd ci to przyszło do
głowy?

– Ha! Wreszcie mnie słuchasz. –
Joanna cmoknęła go w ramię. – Po
doświadczeniach z Brokebym nabrała
wstrętu i obrzydzenia do obcowania
z mężczyzną.

Alex przykrył żonę swoim ciałem.

– Czy ona ci się zwierzyła?

Joanna pokręciła głową.

– Nie, ale wiem, że to prawda. Musiał ją ciężko zranić.

Przesunęła palcem po ramieniu Aleksa i znów ogarnęło ją pożądanie. Jak ktoś mógłby nie chcieć takiego wspaniałego poczucia jedności i spełnienia? – zadała sobie w duchu pytanie i zrobiło jej się żal siostry.

– Problem w tym, czy powinniśmy powiedzieć Tess prawdę, czy milczeć – dodała.

– Skąd wiesz, że Owen nie jest impotentem? – spytał Alex.

Joanna zaczerwieniła się.

– Nie wiem – przyznała – ale wydaje mi się to mało prawdopodobne.

– Bardzo mało – zgodził się z nią

Alex, przesyłając jej znaczący uśmiech.

– Nie chcę słyszeć o waszych wspólnych ekspedycjach do domów schadzek całego świata – odparła stanowczo. – Chcę tylko zdecydować, co powiedzieć siostrze.

– W tych częściach świata, które badaliśmy z Owenem, nie było burdeli – powiedział Alex. – Co do Owena i Tess, to jest ich sprawa. Pozwól im rozstrzygnąć ją we dwoje.

– Ale... – zaczęła Joanna.

Alex pocałował ją namiętnie i jej ciało natychmiast zareagowało. Gdy pochylił głowę nad jej piersią, Joanna zapomniała o małżeństwie siostry, zajęta konsumowaniem własnego szczęśliwego związku.

Owen pochlebiał sobie, że jego cioteczna babka przejawia do niego słabość, chociaż znają się niecały rok. Lady Martindale była starszą siostrą poprzedniego wicehrabiego Rothbury, bezdzietną wdową holowaną zwykle po całym Londynie przez odległego krewnego, Ruperta Montmorency'ego, którego traktowała jak kanapowego pieska. Rupert, co Owen szybko odkrył, był dość tępym dandysem, aczkolwiek sprawiającym nie najgorsze wrażenie. Lady Martindale traktowała go z wyrozumiałością prawdopodobnie dlatego, że choć z pozoru groźna, miała gołębie serce.

Gdy po raz pierwszy się spotkali, starsza pani bez zbytniej ceremonii

obeszła Owena i obejrzała go ze wszystkich stron przez monokl, jakby był eksponatem na wystawie osobliwości. Następnie oznajmiła, że plotkarze mają go za skończonego łajdaka, ale jej to się podoba. Zapowiedziała stanowczo, że Owen nie zobaczy ani pensa z jej majątku, chyba że spełni jej oczekiwania i ożeni się z damą, godną zostać wicehrabiną. Przez ostatnie kilka miesięcy trwało między nimi ostrożne budowanie wzajemnej relacji. Owen podziwiał mądrość i niezłomność lady Martindale. W jej towarzystwie nabierał przekonania, że należy do tej rodziny, co sprzyjało zacieśnieniu więzi z brytyjskimi krewniakami.

Tego ranka przekonał się jednak, że

lady Martindale diametralnie zmieniła o nim opinię i przestała traktować go po przyjacielsku. Siedząc na krawędzi miękkiej kanapy w żółtym salonie, wyglądała niczym drapieżny ptak. Miała furję w oczach, a torebkę przytrzymywała kościstymi palcami jak szponem. Obok niej nerwowo wiercił się Rupert, jakby siedział na rozgrzanej płycie. Na widok jego jaskrawo haftowanej kamizelki Owena natychmiast rozboleła głowa.

– Nie będę nic jadła ani piła – uprzedziła gniewnie lady Martindale, gdy Owen zaproponował poczęstunek. – Rupert też nie.

– Brandy? – spytał nieśmiało Rupert.
Lady Martindale nie zwróciła na niego

uwagi.

– Słyszałam, że zaproponowałaś małżeństwo lady Darent – wycodziła, wymawiając poszczególne słowa tak, jakby po każdym następowała kropka, co miało podkreślić, że Owen popełnił poważną gafę. – Po co ci to?

– Rasowa klaczka – wtrącił uczynnie Rupert. – Podoba mi się lady Darent. Jest niesamowicie kusząca. Brandy? – powtórzył z nadzieją.

– Siedź cicho, Rupercie – zganiła go lady Martindale. – Niczego nie rozumiesz. Dżentelmeni nie żenią się z kobietami pokroju lady Darent.

– Ja bym się ożenił – wyznał tęsknym głosem Rupert.

– Trzech dżentelmenów już to zrobiło

– zauważył Owen.

– Dwóch dżentelmenów i łajdak – poprawiła go lady Martindale. – Brokeby nie był dżentelmenem. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – dodała zniecierpliwiona. – Co cię opętało?

– On chce ożenić się z lady Darent, żeby móc...

Rupert urwał, bo Owen przesłał mu karcące spojrzenie.

– To zwykła umowa ludzi interesu – wyjaśnił gładko. – Lady Darent oczekuje ode mnie ochrony, jaką daje nazwisko, nie tylko dla siebie, ale także pasierbów. Ma pewne kłopoty finansowe i osobiste, a ja zaofiarowałem się, że jej pomogę.

– Kapitalne – rzucił Rupert. – Dobra robota, Rothbury, szczodrość posunięta do najdalszych granic. Poza tym będzie pan mógł...

– ...Umocnić alians z Grantami i księstwem Farne – wpadł mu w słowo Owen. – Wiem, jak bardzo cenisz dobre koligacje, kuzynko Agatho.

– To prawda – przyznała starsza pani łaskawszym tonem. – Teresa Darent jest córką hrabiego i koligacje ma znakomite. Gdyby tylko jej reputacja nie była...

– Brandy, Rupercie? – spytał zdesperowany Owen.

– Chciałam powiedzieć skandaliczna – dokończyła chłodno lady Martindale. – Doprawdy, Rothbury, czy musisz mi

przerywać? To bardzo irytujące, a twoje zachowanie mnie rozczarowuje.

– Ty też się rozczarujesz – orzekł z błyskiem w oku Rupert. – Lady Darent nie ma tak wiele wspólnego ze skandalami, jak się wydaje. Przeciwnie, w istocie rzeczy to bardzo cnotliwa dama. Wiem dobrze, bo nieraz próbowałem ją uwieść.

– Naprawdę? – uprzejmie zdziwił się Owen i szybko zwrócił się do lady Martindale. – Zachęcasz mnie do małżeństwa, odkąd tylko odziedziczyłem tytuł, ciociu Agatho. Zdecydowałem się na małżeństwo, aby spełnić twoje życzenie.

Rupert wydał taki odgłos, jakby się krztusił.

– Cóż, wybór tak niestosownej osoby wydaje się dyskredytować twoje dobre chęci w kwestii dostosowania się do mojej woli – oceniła lady Martindale. – Dlaczego nie oświadczysz się debiutantce?

– Bo chcę uniknąć wiecznej nudy – odparł Owen. – Czy mogę zaproponować ci sole, ciociu Agatho? Wyglądasz tak, jakbyś ich potrzebowała.

– Nie pleć andronów. Napiję się brandy.

Owen nalał starszej pani podwójną porcję, nie zapomniał też o Rupercie, który wychylił zawartość szklaneczki jak człowiek umierający z pragnienia. Lady Martindale królewskim gestem poklepała upierścienioną dłońią

siedzisko kanapy. Rupert się przesunął i Owen usadowił się pomiędzy nim a ciotką.

– Wnoszę, że za lady Darent przemawia jedynie jej więcej niż zadowolający majątek – podjęła rozmowę lady Martindale, przeszywając Owena władczym spojrzeniem czarnych oczu.

– Istotnie – przyznał Owen. – Ona jest bardzo bogata.

Lady Martindale nieco złagodniała.

– I byłoby nie od rzeczy – zauważyła – gdyby ta dama rzeczywiście nie była aż tak zepsuta. Oglądałeś przerażająco pospolitą wystawę portretów, urządzoną przez pana Meltona? Nie? W takim razie jesteś chyba jedynym mężczyzną

w Londynie, który nie widział twojej przyszłej żony nago.

– Staram się zachować cierpliwość do czasu, aż będę mógł obejrzeć ją w naturze – odrzekł Owen.

Miał dosyć słuchania o wystawie Meltona, a lekceważący ton ciotki też mu się nie spodobał.

– Ta wystawa jest znakomita – potwierdził ochoczo Rupert. – Koniecznie trzeba ją zobaczyć. Ja byłem trzy razy...

– Rupercie! – skarciła go lady Martindale i jednym łykiem opróżniła pół szklaneczki brandy, po czym stwierdziła: – Lady Darent potrzebuje twojej ochrony, Rothbury, ponieważ ma skandaliczny romans z Justinem

Brookiem.

– On nie jest jej kochankiem – sprzeciwił się Owen. – Lady Darent mnie o tym zapewniła.

– A ty jej uwierzyłeś? – spytała z nieukrywaną dezaprobatą.

– Owszem.

Rzeczywiście dał wiarę słowom Tess, chociaż nie rozumiał dlaczego. Przyjął za dobrą monetę słowa kobiety, którą podejrzewał o dużo poważniejsze przewiny niż romans.

– Lady Darent nie ma dzieci z poprzednich małżeństw – ciągnęła lady Martindale. – Można zatem mieć nadzieję... – Pozostawiła to zdanie niedopowiedziane.

– Można – przyznał Owen.

– Nie poprzestałbym na nadziei – oświadczył Rupert. – Spróbowałem, i to z niemałą ochotą.

– Czas pokaże, jak ułoży się nasz związek – powiedział Owen. – Jeśli lady Darent rzeczywiście zrobi ze mnie głupca, to przynajmniej wciąż będę miał jej pieniądze.

Lady Martindale krótko się zaśmiała.

– Muszę ci przyznać, Rothbury, że nie uginasz się pod naciskiem.

Owen szeroko się uśmiechnął.

– Z należnym szacunkiem, ciociu Agatho, muszę powiedzieć, że zdarzało mi się opierać znacznie bardziej usilnym naleganiom, choć większą siłę przekonywania niż twoja miały chyba jedynie połączone floty Villeneuve’a

i Graviny pod Trafalgarem.

Rozbawienie lady Martindale stało się wyraźnie zauważalne.

– Chyba wiesz, Rothbury, że na zawsze pozostaniesz czwartym mężem lady Darent. Przestaniesz być panem własnego losu. Taki jest los człowieka, który bierze za żonę kobietę owianą złą sławą.

– O tym też się przekonamy – odparł Owen.

– Wobec tego życzę ci szczęścia w narzeczeństwie. – Lady Martindale podniosła się z kanapy. – W prezencie ślubnym każę przygotować dla ciebie Rothbury House – dodała. – Słyszałam, że siostra lady Darent ma talent do dekorowania wnętrz. Może będzie

mogła naszkicować projekt. – Przeszyła Owena byстрыm spojrzeniem. – Kiedy żona urodzi ci pierwsze dziecko, zmienię testament na twoją korzyść, oczywiście pod warunkiem, że twoje ojcostwo nie będzie budziło wątpliwości. Chodźmy, Rupercie. – Z tymi słowami wyszła, zostawiwszy Owena krztuszącego się brandy.

Przyjęcie u lady Farrington było jedną z największych atrakcji małego sezonu, nic więc dziwnego, że zjawił się tłum gości. Mimo panującego tłoku Owen bez trudu wyłowił spośród licznie zgromadzonych przedstawicieli socjety Tess Darent, gdy tylko nadeszła.

Wcześniej tego popołudnia odwiedził

dom przy Bedford Square, ale nie zastał Tess i dowiedział się, że wyszła. Nie przypuszczał, by zapomniała o jego zapowiedzianej wizycie, należało więc sądzić, że nie uznała jej za dostateczny powód, by pozostać w domu. Podobał mu się jej niezależny duch, ale lady Darent była w błędzie, jeśli sądziła, że będzie mogła cokolwiek mu dyktować. Przyszedł na przyjęcie specjalnie po to, aby jej to udowodnić. Poza wszystkim Tess utrzymywała, że chce być szanowaną damą, miał więc okazję uczynienia pierwszego kroku ku naprawie jej reputacji.

Stał w cieniu wielkiej palmy doniczkowej i skrycie obserwował narzeczoną. Tego wieczoru wystąpiła

w czerni, co powinno być uznane za przejaw wyjątkowo złego gustu, ale w jej przypadku okazało się eleganckie. Tess miała brylanty we włosach, na wachlarzu i na staniku sukni, który drżał przy każdym oddechu. Pantofelki lśniły srebrem i wydawało się, że jest to eteryczny blask obietnicy, która nie zostanie spełniona. Sama obietnica wystarczała jednak, by przyciągnąć do niej grupkę mężczyzn rywalizujących o uwagę i proszących o taniec. Olśniewająca Tess zabawiała ich flirtem, nietrudno było więc zrozumieć, jak zyskała i podtrzymywała swoją reputację swawolnej trzpiotki. Kobiety, których mężczyźni znaleźli się nagle w jej orbicie, śledziły ją nienawistnym

wzrokiem.

Im uważniej Owen przyglądał się zachowaniu Tess, tym lepiej widział, jak bardzo o nie najlepszej opinii Tess decydują pozory. Suknia, choć piękna, miała stójkę i długie rękawy, jak przystoi noszącej ją wdowie. Lady Darent tańczyła rzadko i tylko ze znajomymi mężczyznami, takimi jak Alex Grant i Garrick Farne. Nie wychodziła na parkiet do walca. Chociaż Justin Brooke kręcił się przy niej jak zazdrosny kochanek, traktowała go protekcjonalnie, bardziej jak młodszego brata niż adoratora. Owena zdumiało, że nikt inny nie zwrócił na to uwagi. Może nikomu na tym nie zależało? – zadał sobie w duchu pytanie.

Najwidoczniej, uznał, towarzystwo zaszufladkowało markizę Tess Darent jako występłą kobietę i nie było zainteresowane zmianą opinii na jej temat. Ktoś obok niego chrząknął bardzo głośno i Owen przesunął się jeszcze głębiej w cień palmy.

Pełna nadziei debiutantka zostawiła karnet na pobliskim krześle. Owen zerknął nań i przekonał się, że następnym tańcem jest walc. To był doskonały moment na zrealizowanie planu. Bez pośpiechu podszedł do Tess pewien, że nie obiecała tego tańca nikomu innemu. Obecni w sali balowej poznali go i zaczęli szeptać. Grupka mężczyzn zgromadzonych wokół Tess nagle się rozstała, a Owen pomyślał,

że reputacja niebezpiecznego człowieka czasami się przydaje.

– Lady Darent. – Elegancko się skłonił.

– Dobry wieczór, lordzie Rothbury. – Bez wątpienia ją zaskoczył, ale nie dała tego po sobie poznać. – Jak się cieszę – dodała. – Nie miałam pojęcia, że ponownie spotkamy się tak szybko.

– Zobaczylibyśmy się po południu, gdyby była pani w domu – odparł Owen, ujął jej dłoń i złożył na niej lekki pocałunek.

– Ach, ta moja pamięć. Wciąż mnie zawodzi. – Tess wydawała się szczerze zmartwiona. – Przepraszam.

– Jestem pewien, że w przyszłości pani pamięć się poprawi.

Spojrzała mu w oczy, wyłapawszy dwuznaczność.

– Podobnie jak pańskie maniery.

– Bez wątpienia oboje przekonamy się, że wpływamy na siebie niezwykle... pobudzająco – odrzekł z uśmiechem Owen.

Orkiestra rozpoczęła przygrywkę, pierwsze takty walca nałożyły się na gwar panujący w sali.

– Przyszedłem zaprosić panią do walca – dodał.

Szerzej otworzyła oczy, a jej wiśniowe wargi ułożyły się w prowokujący uśmiech, zachęcający do pocałunku.

– Powinien pan wiedzieć, że nie mam zwyczaju tańczyć walca.

– Nie jest pani gotowa udzielić takiego przywileju narzeczonemu? – spytał, cedząc słowa.

Zerknął znacząco na Justina Brooke’a, który natychmiast cofnął się o krok, potem o drugi i zrejterował, omal nie potknąwszy się o własne nogi.

– Proszę spróbować – zachęcił Owen, ujmując Tess za łokieć, by pomóc jej wstać. – Może nawet taniec przypadnie pani do gustu.

Spostrzegł, że jest zirytowana jego arogancją, a jednak nie odmówiła. Wyprowadził ją więc na parkiet, słysząc z boku cicho wypowiedane komentarze.

– Czy zamierzał pan się stać bohaterem plotek, milordzie? – Pytanie zabrzmiało tak, jakby Tess była

zainteresowana odpowiedzią, choć bez przesady. – Jeśli tak, to udało się panu doskonale.

– Zależy mi na pokazaniu pani, że nie będę pobłażliwym narzeczonym – odparł Owen. – Ostrzegałem.

– Owszem. – Na jej wargach pojawił się wąły uśmiech. – Nie życzy pan sobie, by mówiono o nim, że jest najnowszym mężem lady Darent. – Te ostatnie słowa wymówiła tak, jakby kogoś cytowała. – Nie sądzę jednak, by ktokolwiek podejrzewał, że pan pozwala prowadzić się na sznurku. Gdyby nawet ktoś taki się znalazł, to nie odważyłby się powiedzieć tego panu w oczy – zakończyła oschle.

Muzyka nabierała mocy.

– Ufam, że umie pani tańczyć walca. – Owen zmienił temat rozmowy. – Wprawdzie pani zazwyczaj siedzi, gdy grają walca, ale kroki chyba zna.

– Brałam lekcje. A pan?

– Walcuję w najlepszym razie tak sobie.

– W takim razie to dla mnie prawdziwa uczta – odparła z przekąsem Tess.

Wsparała się na jego ramieniu bardzo ostrożnie, jakby to była sterta materiałów wybuchowych.

– Proszę się nie bać, nie pęknę i nie wybuchnę.

Położył rękę na plecach Tess i przyciągnął ją do siebie.

– Czy musimy być tak bardzo blisko?

Prawie pana nie znam.

Czuł jej opór. Widział, że nie podoba jej się fizyczna bliskość. Znalazło to odbicie w krokach, bo Tess nie nadążała za muzyką. Owen mocniej objął ją w talii, a gdy otarł się udem o jedwabną suknię, zrozumiał, że między nimi iskrzy.

– Ja prowadzę – powiedział, zerkając na nią z ukosa. – Na parkiecie to nie podlega negocjacom.

– Zdaje się, że nie tylko tam – stwierdziła Tess.

– Rzeczywiście nie pozwolę, by mówiono o mnie jako o mężu swojej żony – przyznał Owen. – Przepraszam, że wyciągnąłem panią na parkiet siłą.

– Nie wydaje mi się, żeby choć przez chwilę pan tego żałował.

– Trafiony. – Owen się roześmiał. – Istotnie nie żałuję. Pochlebiam sobie, że mam coś, czego nie ma nikt inny. – Musnął wargami jej ucho i zniżył głos do szeptu. – Prawo wzięcia od pani tego, czego pragnę.

Z satysfakcją poczuł, że się wzdrygnęła. Zaskoczona spojrzała na niego fiołkowoniebieskimi oczami, które w tej chwili zdawały się zasnuć mgiełką w odcieniu dymu.

– Dostałem taniec – dodał bez wahania. – Walc, którego nie tańczy pani z nikim innym.

– Ach tak...

Wyraźnie odprężona, wsparła się na nim z większą swobodą, a jej kroki nabrały lekkości. Muzyka coraz bardziej

ich niosła. Suknia Tess mieniła się w blasku świec.

– Niepotrzebnie przywiązuje pan wagę do tańca, nie jest tego wart – powiedziała po chwili.

– Naprawdę?

– Świetnie pan wie, że chce publicznie zmanifestować akt posiadania. – Pokręciła głową, a przy tym ruchu zaśniły brylantowe kolczyki.

– Nie ma potrzeby robienia takiego teatru. Obiecałam, że będę się zachowywać jak wzorowa żona i nie dam panu żadnych powodów do podawania w wątpliwość mojej wierności. Zrobię to choćby dla moich przybranych dzieci. Muszę podreperować nadszarpniętą reputację.

– Rozumiem to i wierzę, że dotrzyma pani słowa. Ja tylko staram się, jak umiem, przekonać innych, by podzielali moją opinię w tej kwestii. Obawiam się jednak, że będzie pani musiała zrezygnować ze swojego haremu.

– Mojego haremu! A cóż to za dziwny koncept, milordzie.

– Adekwatny do sytuacji. – Owen zerknął przez ramię tam, gdzie zgromadzili się adoratorzy Tess, a wśród nich Justin Brooke. Najwyraźniej byli niepokieszeni, że stracili gwiazdę, będącą ośrodkiem ich wszechświata. – Ciekaw jestem, jak oni sobie bez pani poradzą – dodał pogardliwie.

Tess beztrąsko wzruszyła ramionami.

– Zapewne znajdą inny obiekt zachwytów. – Wydawała się zupełnie tym nie przejmować. – Nie powinno im to zająć dużo czasu.

– A jak pani przeżyje bez ich podziwu?

Uśmiechnęła się. Dostrzegł w jej oczach kpiący wyraz.

– Pan musi mnie mieć za niemądrą i płytką osobę, skoro sądzi, że mnie to obchodzi.

– Oboje wiemy, że nie jest pani niemądra ani płytka. Jest pani utalentowaną artystką, czytuje francuskich filozofów i popiera idee reform. – W tym momencie poczuł, jak Tess sztywnieje w jego ramionach. Zmierzyła go taksującym spojrzeniem. –

Czyż nie? – spytał cicho.

– A tak?

Nie zamierzała ustąpić ani o krok. Tańczyła instynktownie, bo całą uwagę skupiła na ich rozmowie.

– Naturalnie – odrzekł Owen. – Czy to nie Mary Wollstonecraft powiedziała, że kobieta nie powinna podlegać władzy mężczyzny, lecz stać z nim na równi? Pani na pewno się z nią zgadza.

– Zgodziłyby się z tym większość znanych mi kobiet, milordzie, a co więcej, zastrzegłyby sobie prawo do twierdzenia, że pod wieloma względami nawet przewyższają płęć przeciwną.

Owen uśmiechnął się leniwie.

– Może wobec tego będziemy mogli rozmawiać o filozofii w długie zimowe

wieczory.

Tess wydawała się rozbawiona tą wizją.

– Na pewno będzie pani wolała to niż publiczne odgrywanie wzorowej żony – ciągnął Owen. – Niestety, ceną, jakiej zażąda towarzystwo za przywrócenie pani dobrej reputacji, będzie możliwość przekonania się o jej widocznym posłuszeństwie i uległości wobec męża. Wiem, że będzie to dla pani trudne – dodał kpiąco – ale postaram się, by podporządkowanie się mnie okazało się przyjemne.

– Co za wielkoduszność z pańskiej strony – odparła z jawną ironią Tess. – Najwyraźniej pan się z tego cieszy.

– Owszem – przyznał bez wahania

Owen, nie bez satysfakcji zauważając narastającą złość narzeczonej.

– Koniec z hazardem – kontynuował. – Żadnych ekstrawagancji, picia alkoholu i kochanków. W zamian dieta z budujących książek i udziału w szlachetnych przedsięwzięciach. Może nawet pani to polubi.

– Bardziej prawdopodobne, że najpierw mnie to zabije – odparła z goryczą.

– Wszystko w słusznej sprawie – przypomniał z uśmiechem Owen.

Gniew Tess ustąpił miejsca rezygnacji. Uświadomiła sobie, że rzeczywiście straciła możliwość wyboru, zwłaszcza jeśli naprawdę chciała uchronić pasierbicę przed

małżeństwem z Corwenem.

– Do diabła z tym! – rzuciła po chwili.

– Do diabła z panem, Rothbury, skoro bawi pana moje trudne położenie. Miało być inaczej. – Ostatnie zdanie wypowiedziała widocznie przygnębiona.

– Nie lubi pani rezygnować z władzy

– zauważył Owen, nie spuszczając jej z oka.

– Oczywiście, że nie. To... niebezpieczne.

„Niebezpieczne”. Wybór tego słowa wydał mu się ciekawy.

– Dlaczego? – spytał.

– Dlaczego jest niebezpiecznie pozostawać na łasce innych? Przecież to oczywiste – człowiek staje się

bezbollahny.

– Myśli pani, że można się mnie obawiać? – spytał Owen.

Przesunęła wzrokiem po jego twarzy i parsknęła śmiechem.

– Czy myślę? Ja to wiem.

Taniec zbliżał się do końca. Gdy wybrzmiały ostatnie takty i rozległy się oklaski dla muzyków, Owen puścił Tess. Dygnęła przed nim na samym środku parkietu, zuchwale parodiując pokorne zachowanie. Owen zdawał sobie sprawę z tego, że to tylko przedstawienie. Podał jej rękę i pomógł się wyprostować, a ona spojrzała mu prosto w oczy z takim urokiem potulnej damy, że omal się nie roześmiał.

– Czy to było dostatecznie uległe jak

na pański gust? – spytała szeptem. – Czy mogło przekonać ludzi?

Prawdę mówiąc, to tylko podsyciło jego apetyt na tę damę. Pocałował ją w rękę i byłby gotów przysiąc, że specjalnie na użytek świadków spłonęła rumieńcem.

– Jest pani doskonała – orzekł kpiąco.

– To dobrze.

Tess się uśmiechnęła, ale jej oczy pozostały chłodne.

– Nie chciałabym rozczarować widzów. Proszę mi wybaczyć, milordzie. – Podniosła głos tak, by inni mogli usłyszeć. – Jestem zmęczona i chciałabym wrócić do domu. Czy mam na to pańskie pozwolenie?

– Teraz pani przesadza.

Spojrzała na niego prowokująco.

– Chciał pan mieć posłuszną żonę, to proszę się nią zajmować.

Jeszcze raz dygnęła i nie oglądając się za siebie, opuściła salę balową, migocząc brylantami. Owen został sam w pełni świadom, że dręczy go rozbudzone i niezaspokojone pożądanie. Teresa Darent już owinęła go sobie wokół małego palca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Milady!

Nagłace wezwanie służącej obudziło Tess. Ocknęła się z mocno bijącym sercem, wciąż do połowy zanurzona we śnie. Przekonała się, że wprawdzie w szparach między zasłonami widać światło, ale jeszcze blade. Uznała więc, że jest bardzo wczesnie.

– Co się stało, Margery? – spytała, opierając się na łokciu. – Pali się?

– Nie, proszę pani – odparła pokojówka. – Przyszedł wicehrabia Rothbury i chce się z panią widzieć.

– Rothbury? – Tess zerknęła na stojący w pewnym oddaleniu zegar, ale

w pokoju było zbyt ciemno, by mogła zobaczyć, która godzina. – Przecież jest w najlepszym razie ósma rano.

– Kwadrans po dziewiątej, proszę pani – poinformowała służąca tonem osoby, która pracuje przynajmniej od czterech godzin.

Tess stłumiła jęk i opadła na poduszkę.

– Kwadrans po dziewiątej? Przecież o tej porze nie składa się przedpołudniowych wizyt – zauważyła.

– Widać lord Rothbury ma inne zwyczaje – oświadczyła służąca z niezbitą logiką.

Tess najchętniej poszukałaby schronienia w pościeli i zostawiła Rothbury'ego sam na sam z urokami

poranka. W pokoju było zimno, toteż nie spieszyło jej się do stawiania bosych stóp na podłodze. Mogło chodzić o kolejny kaprys wicehrabiego, który chciał jej pokazać, że powinna być do dyspozycji na każde skinienie. Wolałaby przekazać mu, że przed pierwszą nie przyjmuje gości, a potem przewrócić się na drugi bok i pospać, póki nie nadejdzie znośna pora do wstawania. Wtedy Margery podałyby jej do łóżka, zgodnie ze zwyczajem, filiżankę gorącej czekolady.

A jednak... Tess zawahała się. Poprzedniego wieczoru pojedynek słowny z Rothburym sprawił jej dużą przyjemność. Większość balów była przeraźliwie nudna i przewidywalna.

Tymczasem ten potoczył się w zgoła nieoczekiwany sposób, a uatrakcyjniła go właśnie obecność wicehrabiego. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła, a zwłaszcza w towarzystwie mężczyzny. Rothbury był wyzywający, prowokujący, niebezpieczny... Przeszył ją dreszczyk. Pomyślała, że ponownie nie zaśnie. Równie dobrze mogła więc pogodzić się z losem, zejść na dół i pouczyć Rothbury'ego, że warto poznać maniere obowiązujące w towarzystwie.

Zegar wybił wpół do jedenastej, gdy schodziła na parter. Słoneczne światło zalewało schody i odbijało się od wypolerowanej balustrady. Blask zmusił ją do zmrużenia oczu. Nawet nie

zdawała sobie sprawy z tego, jak jasno o tej porze dnia jest w korytarzu i na schodach. Całkiem przyjemnie dom pachniał kawą i pszczelim woskiem, używanym do polerowania mebli. Z zamkniętych drzwi pokoju śniadaniowego dobiegały głosy. Joanna nie zwykła wstawać o tej porze, ale może zdarzyło jej się wcześniej opuścić sypialnię, bo chciała posiedzieć w pokoju dziecięcym z córką Shuną. Tknięta tą myślą, Tess zatrzymała się na ostatnim stopniu. Mieszkała w tym domu, a jednak trzymała się na dystans do rodziny. Nagle poczuła się osamotniona.

Może właśnie przez tę niezwykłą dla niej melancholię widok Rothbury'ego,

czytającego w salonie przy kominku „Timesa”, lekko wytrącił ją z równowagi. W każdym razie poczuła się niepewnie i niezręcznie, gdy odłożył gazetę i wstał, podobnie jak wtedy, kiedy wybierała się do niego z oświadczynami. Pamiętała, że ma udzielić mu lekcji dobrych manier. Musiała przyznać, że ubrał się bez zarzutu na poranną wizytę. Skłonił się przed nią, po czym przesłał jej uśmiech i wtedy niespodziewanie uświadomiła sobie, że w tym momencie poczuła się na swoim miejscu.

Przypadkowo jej wzrok padł na spis arystokracji, leżący przy łokciu wicehrabiego. Zauważyła zakładkę, sterczącą spomiędzy stron, i poczuła się

upokorzona. Rothbury czekał na nią ponad godzinę. Czy zajrzał do spisu i przekonał się, że został przez nią wybrany spośród setek innych mężczyzn?

– Dzień dobry, milordzie – powiedziała. – To dla dżentelmena bez wątpienia nowość, żeby nakłaniać mnie do wstania z łóżka, a nie próbować do niego wciągnąć.

Rothbury uśmiechnął się ponownie.

– Przepraszam – powiedział. – Mam zwyczaj wcześnie wstawać. Nawykłem do tego, służąc w marynarce.

– Ufam, że lordostwo Grant poczęstowali pana śniadaniem, podczas gdy pan czekał.

– Śniadanie jadłem o siódmej.

Wypiłem jednak z Joanną i Alekssem filiżankę kawy.

– Cieszę się, że ktoś już był na nogach i mógł pana powitać.

Czekała, aż Rothbury przedstawi cel wizyty. Nie zrobił tego, natomiast dokładnie jej się przyjrzał, wolno wędrując wzrokiem po całej postaci, podobnie jak wtedy, gdy się poznali.

– Rano nie wyglądam najlepiej – stwierdziła Tess, aby przerwać przedłużające się milczenie. – Staram się nawet ignorować istnienie poranków.

– Jestem innego zdania. Wygląda pani uroczo.

Komplement był prosty, a jednak sprawił Tess przyjemność.

Podjejrzała, że Rothbury nie jest skłonny do pochlebstw, i to podnosiło wartość jego pochlebnej oceny. Zarazem jednak te słowa wzbudziły jej niepokój, ponieważ wolałaby, żeby nie prawił jej komplementów. Zanadto ich ze sobą spoufalały, a nie szukała bliskości.

– Nie powinien mi pan mówić takich rzeczy – zauważyła.

Rothbury po raz kolejny posłał jej uśmiech i Tess poczuła, jak przyspieszył jej puls. Bezsilnie usiadła na kanapie. Ostatnim razem czuła się tak, gdy miała czternaście lat i spodobał jej się nauczyciel muzyki. Targały nią wówczas sprzeczne uczucia i plątał jej się język w jego obecności. Pamiętała, że zarówno nauka gry na fortepianie, jak

i losy dziewczęcego afektu zakończyły się niefortunnie.

– Dlaczego mam pani nie komplementować? – spytał Owen.

– To nie jest... – zawahała się Tess.

– ...przyjęte, żeby podziwiać narzeczoną? – dokończył Rothbury. – W takim razie przepraszam. Czy jeśli strzełę jeszcze jedną gafę, wymieni mnie pani na innego dżentelmena z przewodnika przeznaczonego dla łowczyń mężów? – Wskazał na opasły tom, zawierający spis arystokracji. – Intryguje mnie, dlaczego mając tak szeroki wybór, zdecydowała się pani właśnie na moją skromną osobę.

Tess spłonęła rumieńcem. Do licha! W jego towarzystwie zbyt często jej się

to przytrafiało. Niestety, zajrzał do spisu i znalazł jej zakładkę. W tej sytuacji nie wypadało udawać, że to nieporozumienie, a tom należy do kogo innego.

– Niewytłumaczalne, prawda? Powątpiewam w słuszność własnej decyzji.

– W każdym razie zanim pani zmieni zdanie, proponuję przejażdżkę. Przyszedłem po to, aby panią zaprosić.

– Po co? Przecież nikogo nie spotkamy.

– Odpowiedziała pani na swoje pytanie. Zdecydowanie wolę jeździć po parku wtedy, gdy nie muszę przeciskać się przez tłumy jeźdźców, powozów i amatorów przechadzek.

– Bywa się w parku jedynie po to, aby się pokazać, a o tej porze nikt nas nie zobaczy.

– Najwyraźniej różnią nas upodobania, lady Darent. Chciałbym się nacieszyć ładnym jesiennym porankiem, i to w miarę możliwości w spokoju. Nie dbam o to, czy ktoś odnotuje moją obecność.

– Zgodnie z moim wyobrażeniem, podczas ładnego jesiennego poranka najlepiej posiedzieć w swobodnej pozie przy kominku z nowym wydaniem „The Lady’s Magazine”. Szukanie rozrywki na zewnątrz uznałabym za ekstrawagancję.

– Zatem nie wybierze się pani na przejażdżkę. Trudno. – Wicehrabia skłonił się i dodał: – Życzę udanego

dnia, lady Darent.

– Proszę poczekać. – Tess odruchowo wyciągnęła rękę, jakby chciała pochwycić połę surduta wicehrabiego. Zrobiło jej się przykro, odniosła bowiem wrażenie, że przejął się odmową. – Dobrze, pojedę z panem – ustąpiła. – Proszę dać mi pół godziny, żebym mogła stosownie się ubrać.

– Ma pani pięć minut – odparł Owen. – Jeśli będę musiał czekać dłużej, to przyjedziemy na miejsce o tej samej porze co ci, których staram się nie spotkać.

Kwadrans później pomagał wsiąść Tess do kariolki ozdobionej herbem Rothburych. Był to elegancki pojazd, którego wielkie czarne koła odbijały się

w lśniącym nadwoziu. Wnętrze było wykończane żółtobrązową skórą, z której wykonano również obicia miękkich, tapicerowanych siedzeń. Tess zapadła się w głąb siedzenia, nie tłumiąc westchnieniem zadowolenia.

– Zaręczyliśmy się, nie mówiąc sobie prawdy, milordzie – stwierdziła. – Byłam pewna, że pan jest ubogi, a tymczasem powóz prezentuje się luksusowo.

– Wszystko dzięki pani, lady Darent, i wbrew moim zwyczajom na kredyt.

– A jeśli pana rzucę?

– Wtedy niechybnie trafię do więzienia za długi.

– Może więc nie jestem aż tak bardzo zdana na pańską łaskę, jak mi się

zdawało.

– Trafiony – przyznał Rothbury i spojrzał na Tess tak, że znowu się zarumieniła. – Wygląda na to, że już jesteśmy od siebie wzajemnie uzależnieni.

Tess zabezpieczyła się przed pogodą, biorąc podbitą futrem pelisę, ciepły kapelusz, rękawiczki i mufkę, a do tego rozgrzaną cegłę pod nogi i kilka grubych koców. Rzeczywiście było wyjątkowo zimno. Gęsta mgła z poprzedniego dnia podniosła się, niebo było bezchmurne i świeciło słońce, ale w zacienionych miejscach na trawie trzymał się szron, a wiatr ostro zacinał. W pierwszej chwili po wyjściu z domu Tess nie była w stanie powiedzieć ani słowa, bo płuca

rozsadzało jej lodowate powietrze.

– Pan próbuje doprowadzić mnie do suchot – sapnęła w końcu, a z ust wyleciał jej obłoczek pary.

Owen parsknął śmiechem, a kariolka zakołysała się, gdy usiadł obok niej i ujął wodze.

– Niedługo się pani rozgrzeje.

– Wątpię – odparła, szcękając zębami.

Rothbury zajął się powożeniem, a ona obserwowała krzątanicę na ulicach. Okazało się, że ludzie wstają rano, i nawet jest ich sporo.

– Nie miałam pojęcia, że będzie taki ruch – powiedziała i spostrzegła, że Rothbury znów spojrział na nią mocno rozbawiony. Nagle poczuła się zepsuta

i rozpieszczona. – Przecież wiem, że ludzie muszą pracować – dodała.

– Naturalnie – przyznał. – Wydaje mi się, że pani kariera zawodowa ograniczyła się do zawierania małżeństw.

Spojrzała na niego karcąco. Wciąż lekko się uśmiechał, ale w jego zielonych oczach zagnieździł się chłód. Pomyślała, że prawdopodobnie wicehrabia nie popiera jej sposobu życia, zapewne zresztą całkiem innego niż ten, do którego przywykł jako podróżnik, odkrywca i łowca przygód czy żołnierz. Zainteresowało ją, jak się czuje w roli angielskiego arystokraty, skoro dla przejęcia tytułu musiał porzucić dotychczasowy tryb życia.

– Napracowałam się, aranżując małżeństwa – powiedziała. – Proszę więc nie lekceważyć moich wysiłków. Nie ma pan pojęcia, jak męczące było znalezienie trzech mężów.

– Podejrzewam, że dla wielu jest pani przykładem, co można osiągnąć w wyniku takiej kariery – wycedził wicehrabia.

– Wręcz przeciwnie. Raczej żywą przestrogą, co sam pan zauważył wczoraj wieczorem.

– Skupia pani na sobie niechęć tych, którzy uważają, że nie bawią się tak dobrze jak pani.

– Niech spróbują, to się przekonają – stwierdziła z goryczą, zanim ugryzła się w język.

Zerknął na nią z ukosa, na moment odrywając wzrok od koni i drogi.

– To nie było zabawne?

– Mieć za męża lubieżnika, hazardzistę i człowieka stale zamroczonego laudanum? – spytała. – Nie było.

– Który był który?

– Darent brał laudanum i pił, Brokeby... – zawahała się, ale zdołała zachować obojętny ton – był lubieżny, pił, grał i brał laudanum. Poza tym miał na sumieniu wszystkie inne możliwe występki.

– A pierwszy mąż? – spytał Rothbury, skupiając uwagę na koniach.

Dzięki Bogu, nie spostrzegł mojego zakłopotania, pomyślała Tess. Powoli się uspokajała, zwłaszcza że

wspomnienia o Robercie były miłsze.

– Barstow był wspaniałym przyjacielem – odparła.

– Ciekawy dobór słów – orzekł Owen.

– Czy to było małżeństwo z miłości?

– Tak, kochałam go – przyznała Tess, a w duchu dodała: ale nie byłam w nim zakochana.

Odwróciła głowę, by nie zdradzić się wyrazem twarzy. Rothbury miał talent do zadawania celnych, istotnych pytań. Wyciągnął ją na zwierzenia, sprawił, że opowiadała mu o sobie, zanim zastanowiła się nad tym, co najlepszego czyni. Działał niczym medykament rozwiązujący język i przez to był bardzo niebezpieczny.

– Pan powinien opowiedzieć mi

o swoich romansach, milordzie – odezwała się po chwili. – Wtedy byłoby sprawiedliwie. Czy nie spotkał pan kobiety, którą chciałby poślubić?

Zastanawiała się, czy nie ponosi jej wyobraźnia, ale odniosła wrażenie, że Rothbury się zawahał. Zadała sobie w duchu pytanie, czy nie postępuje niedelikatnie, stawiając takie pytanie. Powiedziano jej przecież, że wicehrabia nie może zaproponować kobiecie małżeństwa, które byłoby spełnione pod każdym względem.

– Poznałem kobiety, które darzyłem podziwem – wyjaśnił, wydawało się, dość swobodnie. – Małżeństwo to poważna sprawa. – Spojrzał na Tess i dodał: – Nie chcę wszystkiego zepsuć.

– Proszę się nie martwić. Zebrałam dostatecznie dużo doświadczenia w związku z instytucją małżeństwa, by posłużyła nam obojgu i uchroniła od błędów.

– Instytucja... to brzmi przerażająco nudnie. Poza tym nasuwa się wyobrażenie o zamknięciu w rodzaju pułapki, skąd nie ma drogi ucieczki. Liczę, że nasze małżeństwo będzie czymś znacznie więcej niż instytucją.

Szczerłość tego wyznania sprawiła, że Tess się speszyła. W wyższych sferach liczyła się i obowiązywała gra pozorów. Rothbury był człowiekiem zupełnie innego pokroju, a jego postawa zachęcała do odpłacenia mu tą samą monetą.

Skręcili w parkową bramę i pod kołami kariolki zachrząścił żwir Rotten Row, gdzie chętnie popisywano się jeździeckimi umiejętnościami. Nagle jesień zaatakowała ich ze wszystkich stron. Liściaste drzewa przybrały typowe o tej porze roku barwy: żółtopomarańczową, ciemnoczerwoną i brązową. Spadające liście wirowały w powietrzu i lądowały na zmrożonej ziemi, tworząc różnobarwny dywan.

Tess przypomniała sobie, jak będąc w wieku szkolnym, malowała akwarele. Znudzona lekcjami, chodziła po dworze z farbami i pędzlami. Upalne lata pełne były długich, mglistych dni, kiedy z wysuniętym językiem leżała zaaferowana w trawie i próbowała jak

najzręczniejsz odzwzorować ciekawskie
czarne oko i pierzastą pierś kosa albo
ulotne piękno płatka róży. Nagle poczuła
ukłucie w sercu. Od bardzo dawna nie
wracała myślami do tamtych dni, a jeśli
już, to nie dla ciepła tych wspomnień,
lecz z potrzeby ucieczki.

Owen przyglądał się grze emocji,
malującej się na twarzy Tess.

– Wygląda pani na smutną –
powiedział. – Przykro mi. Nie z takim
zamiarem panią tutaj przywiozłem.

– Myślałam o dzieciństwie – wyznała,
zastanawiając się, dlaczego ten
człowiek potrafi skłonić ją do zwierzeń,
którymi nie podzieliłaby się z nikim
innym.

– I to panią zasmuciło?

Tess skinęła głową.

– Pewnie dlatego, że sielskie lata nagle się skończyły wraz ze śmiercią brata. – Choć od bardzo dawna nie mówiła o Stephenie, teraz wydało jej się to naturalne. – Wie pan, że Garrick Farne zastrzelił Stephena, ponieważ on romansował z jego żoną Kitty?

Owen skinął głową.

– Wiedziałam o tym, ale nikomu nie szepnęłam ani słówka. Później z tego powodu gnębiły mnie wyrzuty sumienia. Chyba właśnie wtedy zrozumiałam, jak niebezpieczna jest namiętność. Za uleganie jej Stephen zapłacił najwyższą cenę, poniósł śmierć. – Tess się wzdrygnęła. – Wszystkim nam zrujnowało to życie, a ja przysięgam

sobie, że nigdy nie popełnię błędu brata i nie zakocham się bez pamięci.

Popatrzyła na niego, z trudem powstrzymując łzy. Rothbury odwzajemnił spojrzenie i wtedy uświadomiła sobie, że przykrył jej dłoń swoją ręką. Oboje nosili rękawiczki, a mimo to ten dotyk był na tyle krzepiący, że nie miała ochoty cofnąć dłoni.

– Nie jestem pewien, czy właśnie tak było – powiedział Owen. – Zdaniem Garricka, Stephen nie kochał Kitty.

– Merryn opowiedziała mi tę historię, gdy Garrick ją poślubił. Wtedy...

– ...pani uciekła i poślubiła najlepszego przyjaciela, żeby zabezpieczyć się przed miłością, którą

uznała pani za zbyt potężne, niszczyielskie uczucie – dokończył Owen.

Tess szerzej otworzyła oczy.

– Nie rozumiem, skąd pan to wie.

– Pani sama mi to przed chwilą powiedziała. Nazwała pani Roberta „wspaniałym przyjacielem”.

– Darzyłam go miłością.

Tess wiedziała, że zabrzmiało to tak, jakby się broniła, i że za późno na takie deklaracje. W ogóle ujawniła stanowczo za dużo.

– Kochała go pani, choć nie było w tym namiętności – podsumował Rothbury.

Tess ponownie odwróciła głowę. Rozmowa o miłości i namiętności,

w dodatku z Rothburym, wydawała jej się pełna zasadzek i zdradliwa, o ona nie chciała się odsłaniać. Dotąd sądziła, że zadawanie się z przenikliwym i upartym wicehrabią grozi jedynie zdemaskowaniem Jupitera. Nawet nie przyszło jej do głowy, że ich małżeństwo może kryć inne pułapki.

– Pięknie jest tutaj – zmieniła temat.

Wyglądało na to, że Rothbury nie pozwoli na tę wolność, on jednak po chwili ciepło się do niej uśmiechnął.

– Cieszę się, że pani tak uważa. Trochę jak na wsi, prawda?

Tess znów poczuła, że wbrew wszystkiemu miło jej w jego towarzystwie.

Kariolka toczyła się wolno,

a Rothbury trzymał wodze w dłoniach opartych o kolana.

– Nie lubi pan Londynu? – spytała.

Drgnął, jakby próbował zrzucić z ramion ciężar.

– W Londynie czuję się osaczony, zdecydowanie wolałbym znajdować się na morzu – wyjąwił.

– Wciąż pan pływa? – zainteresowała się Tess.

– Czasem jedynie łodzią wiosłową – odparł z wyraźnym żalem w głosie. – Zachowałem żaglowiec „Wiedźma morska”. Cumuje w basenie portowym w Greenwich. Niestety, nie miałbym pieniędzy na załogę, a poza tym dokąd bym popłynął? – Bezradnie wzruszył ramionami. – Obowiązki trzymają mnie

teraz na łądzie.

– „Wiedźma morska”, ciekawa nazwa. Dlaczego ją pan wybrał?

– Zwykle odpowiadam, że ten statek zachowuje się jak rozeźlona kobieta, ale tak naprawdę jestem urzeczony jego czarem. – Zniżył głos. – Myślałem jednak o tym, żeby go sprzedać. To jedyna cenna rzecz, którą wciąż posiadam.

– Nie może pan tego zrobić – sprzeciwiła się Tess.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Ponieważ właśnie rozmawialiśmy o namiętności – odrzekła.

Przez moment odczuwała coś na kształt zazdrości o statek, który umożliwił Rothbury’emu podróżowanie

i przeżywanie przygód, czego ona nigdy nie doświadczy.

– „Wiedźma morska” jest pańską namiętnością. Słyszę to w pańskim głosie.

– Naprawdę? – Rothbury wydawał się zaskoczony. – Jest pani spostrzegawczą kobietą, lady Tereso.

Pierwszy raz użył jej pełnego imienia. Odkąd przestała być dzieckiem, nikt tego nie robił. W ustach Rothbury’ego to imię jej się spodobało, może nawet za bardzo, bo znów się do siebie zbliżyli.

– Dlaczego nazwał mnie pan Teresą?

– Ponieważ wszyscy dookoła mówią o pani Tess.

– Ale nie pan.

– Jestem inny.

Uciekła wzrokiem w bok. On rzeczywiście był inny. Kolejne czyhające na nią niebezpieczeństwo.

– W każdym razie – powiedziała lekko – dzięki moim pieniądząom nie będzie pan zmuszony do sprzedaży statku.

– Wbrew temu, co wcześniej mówiłem, nie podoba mi się myśl o życiu na koszt przyszłej żony – stwierdził poważnym tonem Rothbury.

– Jest pan zbyt dumny – orzekła Tess.

– Kiedy dumy zaczyna być za dużo? – spytał Owen i zaraz się roześmiał. – Jeśli pani pieniądze pomogą mi odnowić Rothbury Chase, to zapomnę o dumie i będę wdzięczny. To piękny dom, tylko skandalicznie zaniedbany.

– Czy zdążył pan obejrzeć wszystkie

posiadłości?

Skinął głową.

– Mówią, że prawo zabrania mi sprzedać którąkolwiek z nich.

– Nie może być inaczej. Są w majątku powierniczym dla następnych pokoleń i... – Urwała, uświadomiwszy sobie, że Rothbury nie będzie mógł postarać się o dziedzica. Tytuł i ziemie znów będą musiały przejść na dalszego krewnego. Ciekawa była na kogo.

– A pani lubi wieś?

– Staram się tam nie jeździć. Dorastałam na wsi i wystarczy mi tego na całe życie.

Rothbury się roześmiał.

– To prawda czy tylko jedno z modnych stwierdzeń?

– Prawda. Wieś mnie nudzi, ciągle tylko polowania i strzelanina.

– Polowania są w modzie. Jako dama świecąca przykładem w towarzystwie ma pani obowiązek zabić tyle lisów, ile tylko się da.

– Raczy pan żartować. Polowanie na lisy nie jest zajęciem dla damy, może wyłączając zachwycone swoim losem żony właścicieli ziemskich. Całe szczęście, ponieważ nie podzielałam upodobania do zabijania i okaleczania pierzastych i futrzanych istot.

– Ja też nie potrafię dostrzec w tym sportowego zamiłowania – przyznał Rothbury. – Dość jest zabijania bez robienia z tego zabawy.

Tess zerknęła na niego ukradkiem.

Pamiętała, że wcześniej wicehrabia był żołnierzem i marynarzem, widział niejedną kampanię, a do tego znał z doświadczenia los jeńca wojennego. To wszystko musiało pozostawić ślady i na sposobie jego myślenia, i na ciele.

– Czy to znaczy, że nigdy nie bywa pani w Darent Park? – spytał.

– Dom jest zamknięty. Majątkiem administruje pan Churchward do czasu, aż Julius osiągnie pełnoletność.

– Chyba widuje pani pasierbów? – nalegał Rothbury.

– Nie – odparła po dłuższej chwili Tess. Szukała słów, które wytłumaczyłyby jej sytuację. – Julius jest w Eton – wyjaśniła – a Sybil wyjechała do szkoły w Bath.

– A podczas wakacji?

– Przebywają u ciotki, lady Nevern, najstarszej siostry mojego zmarłego męża.

Czuła na sobie badawczy wzrok Rothbury’ego, ale nie odważyła się spojrzeć mu w oczy. Paliło ją w gardle i piekło pod powiekami.

– Czyli w ogóle ich pani nie widuje? – podsumował wicehrabia.

– Już wczoraj zwróciłam panu uwagę, że zadaje pan za dużo pytań, i to natury osobistej.

– Proszę mi wybaczyć, ale chcę usłyszeć odpowiedź. Zmarły mąż pozostawił zarządzanie sprawami dzieci w rękach pani i swojego adwokata, a mimo to pani nie spotyka się

z pasierbami, nie interesuje się ich bieżącymi radościami i problemami? – W głosie Rothbury’ego dało się słyszeć nutę dezaprobaty.

Tess przypomniła sobie ostrą wymianę zdań z lady Nevern, gdy odkryła ona, że brat nie tylko wyłączył ją z testamentu, lecz również pozbawił prawa zarządzania majątkiem Darentów. Do tego celu wyznaczył żonę i swojego adwokata. Z prawnego punktu widzenia Nevernowie nie mogli zgłaszać żadnych roszczeń do bliźniąt, ale Celia Nevern знаła słaby punkt Tess. Zapytała ją więc kiedyś z udawaną troską, czy niezbyt pochlebna reputacja macochy może być korzystna dla budowania przyszłości dzieci. Czy nie byłoby rozsądniej

zostawić ich wychowania w rękach krewnych?

– Uzналиśmy, że tak będzie najlepiej – wyjaśniła Tess, choć wiedziała, jak bezdusznie to zabrzmiało.

– Dla kogo najlepiej? Dla kogo, Tereso? Niech pani na mnie spojrzy.

Mówienie o pasierbach wydawało jej się niesłychanie trudne. Pierwszy raz jednak dopuściła do siebie prawdę. Do tej pory zwykle twierdziła, że dzieciom jest lepiej z ciotką, wujem i kuzynami. Udawała, że jej to nie obchodzi, toteż ludzie uznali, że wysłała bliźnięta do szkół, bo ich obecność w domu przeszkadzałyby jej w prowadzeniu bujnego życia towarzyskiego.

Rothbury delikatnie odwrócił głowę

Tess i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

– No więc? – ponaglił cicho.

– Nevernowie, siostra i szwagier Darenta, uznali, że najlepiej będzie, jeśli to oni zajmą się dziećmi w okresie przerw w nauce, a ja na to przystałam – wyjaśniła Tess, po części mijając się z prawdą.

W rzeczywistości Nevernowie zmusili ją do zaakceptowania ich żądania, grożąc, że podważą testament i w ten sposób doprowadzą majątek do bankructwa. Krewni Darentów, co do jednego, popierali Nevernowów. Często ubolewała nad płodnością rodziców markiza, oznaczało to dla niej, że ma mnóstwo krewnych, którzy jej nie

akceptują. Mimo wszystko żałowała, że skapitulowała. Powinna była wywalczyć dla siebie prawo widywania Sybil i Juliusa. Przecież lubiła dzieci, i to z wzajemnością. Bardzo za nimi tęskniła.

– Pasierbowie przyzwyczaili się do tego, że pani zastępuje im matkę – stwierdził z ledwie ukrywanym gniewem Rothbury. – Zmarły mąż powierzył pani opiekę nad majątkiem oraz wychowaniem dzieci i nagle jego siostra uznała, że lepiej wie, co dla nich dobre?

– Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że moja reputacja mogłaby bardzo niekorzystnie odbić się na przyszłości bliźniąt. – Tess starała się, aby jej głos

zabrział obojętnie. – Zresztą ostatnio miałam tego przykład.

Rothbury przesunął dłonią po jej policzku gestem, który niebezpiecznie zbliżył się do pieszczoty. Wiedziała, że nie do niej skierował gniew i rozumiał jej sytuację.

– Zatem poświęciła się pani dla dobra dzieci i potulnie zgodziła z oceną krewnych, że wywiera na nie zły wpływ – stwierdził, zatrzymując konie.

– Czasem zanim podejmie się walkę, trzeba właściwie ocenić szanse – odparła, odzyskując pewność siebie. – Poza tym lady Nevern jest powszechnie szanowaną matroną o nieskazitelnej reputacji. Za kilka lat to ona będzie wprowadzać Sybil do towarzystwa.

Tymczasem ja wyjdę za mąż i będę się zachowywać jak wzór wszelkich cnót, tak więc nic nie będzie kładło się cieniem na przyszłości pasierbicy.

Zapadło milczenie.

– Pani jest bardzo szczodra – przerwał jej Rothbury. – Krewni męża na to nie zasługują. Powszechnie szanowana matrona o nieskazitelnej reputacji, mówi pani? Mnie się ona wydaje osobą przerażająco podatną na uprzedzenia. Pozostaje nadzieja, że lady Nevern mimo woli zrobi coś naprawdę wstrząsającego, zanim udławi się własną cnotą.

Tess się roześmiała.

– Chciałabym to zobaczyć.

– Z zasady podejrzliwie traktuję ludzi,

którzy mają usta pełne morałów –
oznajmił Rothbury. – Zwykle są
wstrząsająco zepsuci.

– Co za zabawne uogólnienie.

– Prawda? – zgodził się z nią, po czym
delikatnie popędził konie.

Minęła ich jadąca szybko
z naprzeciwka kalesza^[3]. Siedzące
w niej damy uniosły lornetki, by im się
przyjrzeć.

– Lady O’Hara , znana plotkara –
zauważyła Tess. – Nie sądziłabym, że
tak wcześnie zechce wyściubić nos
z domu, może jednak trudno jej
wytrzymać długo w łóżku wskutek
przekonania, że umknie jej smakowita
wieść o bliźnich.

Nie zapomniała, że lady O’Hara

ostentacyjnie zlekceważyła ją podczas jednego z wieczorków muzycznych. Tess odwzajemniła się jej, rysując kilka dość okrutnych, lecz udatnych karykatur, które przyczepiła przed kolacją do drzwi jadalni. Z satysfakcją obserwowała potem matronę, gdy ujrzała tłumek podziwiający rysunki. Zdecydowanie nie była zadowolona.

Z tym jednak należało skończyć, pomyślała Tess. Nie będzie stosować drobnych aktów zemsty za doznane urazy. Przestanie także politykować i rysować karykatury pod pseudonimem Jupiter. Może przy odrobinie szczęścia uniknie zdemaskowania, tyle że jej życie stanie się nudne i pozbawione barw. Będzie żoną uwięzioną w małżeństwie

z rozsądku. Wcześniej zdawało jej się, że właśnie tego chce, ale teraz poczuła, że skazuje się na pustkę.

Tymczasem park się zapełniał. Przejechał obok nich dżentelmen na dereszowatym wałachu, potem dwóch dandysów, którzy unieśli kapelusze przed Tess i omal nie pospadali na ziemię, gdy ich wierzchowce zaczęły podrywać kopyta. Obaj znikli w chmurze pyłu, głośno przeklinając narowiste zwierzęta.

– Nerwowe ogiery – powiedziała Tess. – Trudno nad nimi zapanować.

– Wyobrażam sobie, że musiała pani mieć kłopoty z tymi dżentelmenami – powiedział Rothbury, spoglądając z marsową miną za jeźdźcami.

– To prawda – przyznała. – Mężczyźni nieustannie próbują znaleźć drogę do mojego...

Rothbury uniósł brwi.

– ...sejfu w banku – dokończyła. – Zresztą do łóżka również.

– Surowy mąż powinien odpowiednio odstraszać niechcianych adoratorów.

– Święta prawda – potwierdziła. – Wątpię, czy jakiś żądny amorów rozpustnik zaryzykowałby zwadę, zalecając się do pańskiej żony. Czy to prawda, że kiedyś, mając do dyspozycji parę pistoletów, zgasił pan wszystkie świece w kandelabrze?

– Nie, ponieważ byłoby to bezcelowe marnowanie kul.

– Co za prozaiczność. A ta historia, że

pod osłoną ciemności wpłynął pan do Kadyksu i opanował trzy hiszpańskie okręty?

Rothbury westchnął ostentacyjnie.

– To nie był przypadkiem sir Francis Drake? Pomyliła się pani o kilka stuleci.

– Czyżby żadna z opowieści nie była prawdziwa?

– To możliwe – odrzekł dość zagadkowo wicehrabia.

– Przecież pan nie musi nikomu niczego dowodzić – zauważyła, myśląc, że gawędy chełpliwego wilka morskiego zupełnie do niego nie pasują.

– Prawdziwa jest historia o tym, że wygrałem od pewnego maharadży pięćdziesiąt tysięcy funtów i jego kochankę.

– Co się stało z pieniędzmi?

– Wydałem.

– A z kochanką?

– Woląłem kogo innego – odrzekł z uśmiechem Owen.

Była głupia, oceniła w duchu Tess i ta myśl ją zdziwiła. Tymczasem niemal natychmiast pojawiła się w jej głowie następna refleksja. Jak wielkim ciosem musiała być dla tak wzorcowego mężczyzny utrata zdolności do osiągnięcia fizycznego zaspokojenia! Zrobiło jej się go żal, choć jednocześnie ogarnęła ją miła beztroska. Wydawało jej się wspaniałe, że nie musi się obawiać prób zaciągnięcia jej do łóżka.

– Jestem głodna – oświadczyła znienacka.

– Nie zjadła pani śniadania.

Tess uświadomiła sobie, że to prawda, i poczuła, iż burczy jej w brzuchu. Zawrócili do bramy i Rothbury zeskoczył z kozła, by kupić od piekarza, trzymającego na rogu wózek, muffinki i ciastka drożdżowe z masłem. Tess ściągnęła rękawiczki. Masło zaczęło spływać jej po palcach, więc ze śmiechem je zlizwała, a gdy zerknęła na Rothbury’ego, odkryła u niego minę, która – tego była pewna – wyrażała pożądanie.

– Czy to wystarczy? – spytał – Czy może chciałaby pani jeszcze mleko do muffinki?

– Zupełnie jakbym słyszała moją piastunkę – odparła, ale bez złośliwości.

Ciastko drożdżowe było ciepłe, masło solone, a ona miała wrażenie, że czegoś równie pysznego jeszcze w życiu nie jadła. Rothbury, oczywiście, nie mógł jej pożądać. Sam taki pomysł był niedorzeczny i z pewnością nie musiała się niczego obawiać.

Bez wątpienia klub White'a był wytworny, ekskluzywny i dostępny dla wybranych. Początkowo lokaj czynił Rothbury'emu pewne trudności, twierdząc, że do klubu mają wstęp jedynie członkowie. Owen wyjaśnił mu, że z upoważnienia ministra spraw wewnętrznych ma się spotkać z lordem Corwenem. Lokaj zmierzył go uważnym spojrzeniem i wreszcie się odsunął,

robiąc mu przejście. Wiedział, że wicehrabia Rothbury woli klub Brooksa, ale przyjaźni się z kilkoma najbardziej wpływowymi arystokratami i nie byłoby z pewnością odmówić mu prawa wstępu.

Owen poszedł więc za lokajem po schodach z kutego żelaza, na piętrze pokonał kilka korytarzy wyściełanych kobiercami i wreszcie wszedł do pomieszczenia za ciężkimi drewnianymi drzwiami, gdzie pięciu mężczyzn oddawało się hazardowi. Lokaj podszedł do jednego z nich i skłonił się uniżenie, a potem szepnął mu kilka słów do ucha. Owen czekał w napięciu.

Robił to dla Teresy. Odkąd powiedziała mu o ohydnych szantażu Corwena, był zdecydowany uświadomić

zbląkanemu parowi niewłaściwość jego postępowania. Informacja, że Tess opuściła swoich pasierbów, aby jej rzekomy wpływ na dzieci nie zaciążył na ich przyszłości, dodatkowo wzburzyła Owena. Kobieta piętnowana za to, że jest egoistyczna i wyrachowana, okazała się zdolna do altruizmu.

Corwen gniewnie rzucił karty na stół i wstał. Omiótł wzrokiem wicehrabiego. Nie ulegało wątpliwości, że jest pijany.

– Kim pan, do diabła, jest? – spytał, mimo że lokaj bez wątpienia podał mu przed chwilą wszystkie potrzebne informacje. – Jakim prawem przerywa mi pan grę?

– Ostrożnie, Corwen – doradził jeden z pozostałych graczy. Wyglądał jak

właściciel majątku na wsi. Miał nos w tym samym kolorze co porto w kieliszku, a postawa zdradzała pewną arogancję. – Proszę nie zapominać, że on stoi od ciebie wyżej.

Corwen parsknął lekceważąco.

– Jak to możliwe, żeby jakiś jankeski pirat stał wyżej ode mnie?

– To od pana nie zależy, milordzie – zwrócił mu uwagę Owen. – Ja to ja, a pan to pan.

Gracz ostrzegający Corwena parsknął śmiechem.

– Przyłączy się pan do nas, Rothbury? – spytał, wskazując miejsce przy stole. – Słyszałem, że jest pan świetnym graczem, do czego przyczyniło się doświadczenie z domów gry na całym

świecie.

– Pan mi pochlebia – odparł Owen. – Dziękuję za zaproszenie, ale przyszedłem tu jedynie po to, by porozmawiać z lordem Corwenem o jego planach małżeńskich.

Przy stole dało się zauważyć poruszenie, jakby wiatr powiał nad polem pszenicy. Dwaj pozostali gracze – trzeci kiwał się nad kartami kompletnie pijany, więc się nie liczył – nagle podnieśli głowy i równie szybko ponownie spojrzeli w swoje karty. Właściciel ziemski, nieświadom napięcia, czy to z powodu braku spostrzegawczości, czy nadmiaru wypitego portu, parsknął śmiechem.

– Powiedziałem ci, Corwen, że

powinieneś być bardziej dyskretny.

Corwen zerknął na kompanów, a potem znów na Owena.

– A panu co do tego, Rothbury? – spytał stanowczo. – Czyżby miał pan apetyt na Sybil Darent?

Owen poczuł, że budzą się w nim najgorsze instynkty. Miał ochotę chwycić tego bydlaka za gardło i przydusić. Na wszelki wypadek trzymał ramiona opuszczone wzdłuż ciała i tylko zacisnął pięści. Nie wolno mu było dać się sprowokować. Tkwiła w nim przecież głęboko uśpiona skłonność do przemocy, która plamiła jego przeszłość.

– Nie mam ciągot do dzieci – odrzekł chłodnym tonem. – Jestem zaręczony

z lady Darent. Uprzedzam pana, że wszelkich gróźb pod jej adresem lub jej pasierbów nie pozostawię bez odpowiedzi. Od kiedy jestem narzeczonym lady Darent, jej sprawy są również moimi. – Na chwilę zamilkł. – Rozumie mnie pan?

– Dla mnie jest pan głupcem, skoro zaręczył się z wdową po Darence – odparł pogardliwie Corwen. – Nie mógł pan poszukać czegoś mniej zużytego, Rothbury? Czyżby wszystkie cnotliwe damy dały kosza cudzoziemcowi?

– Niech pan mi nie daje więcej powodów, bym panu udzielił nauczki – odrzekł Owen, nadal kontrolując swoje zachowanie. – Mam na to wielką ochotę. – Nie zrobiłby pan tego tutaj.

– Myli się pan. Dla mnie miejsce nie gra roli. – Owen zrobił pół kroku w przód. – Poza tym, Corwen, jeszcze jedno słowo przeciwko lady Darent albo lady Sybil i towarzystwo dowie się o wszystkich pańskich wyuzdanych upodobaniach. Lord Sidmouth ma na ten temat grubą teczkę, zapewniam pana.

Corwen zbladł.

– Same kłamstwa – syknął.

Owen wzruszył ramionami.

– Może kłamstwa, może nie. Kogo by to jednak obchodziło, gdyby plotki okazały się znacznie bardziej pikantne niż prawda? Coś w tym duchu zasugerował pan, zdaje się, w rozmowie z lady Darent.

Owen cofnął się o krok i zobaczył, jak

z Corwena uchodzi powietrze.

– Moi adwokaci skontaktują się z panem w sprawie spłaty długu lorda Darenta – kontynuował. – Tymczasem proszę nie zapominać, co powiedziałem o lady Darent i lady Sybil. Powinien pan zrozumieć, że pańskie majątki wymagają stałego nadzoru na miejscu. Bezterminowo, Corwen. – Skinął głową pozostałym. – Panowie...

Drzemiący gracz zbudził się w chwili, gdy Owen wychodził.

– Kto to był, u diabła? – usłyszał jeszcze wicehrabia. – Wyjątkowo zimnokrwisty gość.

Znalazwszy się na dworze, Owen głęboko odetchnął. Zimne powietrze pomogło mu zapanować nad gniewem.

Chlubił się tym, że potrafił kontrolować własne reakcje. Tylko raz, gdy był dużo młodszy, odstąpił od tego zwyczaju i wciąż nie mógł o tym zapomnieć, ponieważ skutki były katastrofalne. Sprowadził hańbę na swoją profesję i rodzinę. Dlatego wówczas przysiągł sobie, że nie dopuści do podobnej sytuacji, i konsekwentnie się tego trzymał.

Czasem zdawało mu się, że przez całe życie stara się odkupić ten jedyny błąd. Walczył za sprawy, które uważał za słuszne, i starał się pomóc ludziom, którzy tego potrzebowali. Przez moment wrócił myślami do Joanny Grant. Uratował ją przed okrucieństwem pierwszego męża. Chciał jej dla siebie,

los jednak okazał się przewrotny: zamiast dać mu Joannę, zesłał jej siostrę. Owen uśmiechnął się do siebie. Tess była na swój sposób nie mniej fascynująca niż Joanna i też szukała u niego wsparcia.

Najpierw zdawało mu się, że Teresa Darent jest kobietą niebezpiecznie przebiegłą. Jednak po zaledwie dwóch dniach doszedł do wniosku, że prawda o Tess jest dużo bardziej skomplikowana, a za maską modnej kokietki, skandalizującej piękności i salonowej lwicy kryje się inteligentna i przyzwoita kobieta. Odkrył, że broni postaw i poglądów, które uważa za słuszne, że nie jest bezduszna i egoistyczna. Owszem, z upodobaniem

prowadziła między nimi podwójną grę, ale to tylko dodawało jej uroku. Coraz bardziej pragnął Teresy Darent. Chciał poznać wszystkie jej sekrety i zatrzymać ją dla siebie do końca swojego życia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tom Bradshaw stał na moście znanym jako Most Londyński i wpatrywał się w ciemną i gładką toń Tamizy. W tę paskudną noc było nieznośnie zimno, a wiatr zacinał śniegiem. Całkiem czarne niebo zdawało się ciążyć nisko nad ziemią. Przygnębiająca pogoda współgrała z ponurym nastrojem Toma.

Sprawy nie układały się po jego myśli. Już dwa razy próbował namówić Emmę, by przyjęła go z powrotem, i spotkał się z odmową. Co więcej, nie należało liczyć na to, że za trzecim razem będzie inaczej. Zniknęła trzymana pod kloszem, rozpieszczona panna, do której zalecał

się przed zaledwie rokiem. W jej miejsce pojawiła się lady Emma Bradshaw, mądrzejsza o niedobre doświadczenia, zahartowana i znacznie silniejsza od debiutantki świeżo wypuszczonej spod rodzicielskich skrzydeł.

Tom miał powodzenie u kobiet, nie wątpił więc, że mimo wszystko uda mu się odzyskać Emmę. Naturalnie, był świadom, że zniknął bez słowa, pozostawiając ją samą na łasce losu. Emma była jedyną kobietą, którą Tom szczerze pokochał, chociaż o swojej miłości zapewniał wiele innych przedstawicielek płci pięknej. To właśnie dla Emmy wrócił do Anglii. Zamierzał zabrać ją ze sobą i rozpocząć

nowe wspólne życie, jednak się przeliczył.

Zimno przenikało przez ubranie i sączyło się w głąb ciała. Oparł się na mostowej balustradzie i pogrążony w zadumie zapatrzył się w wodę opływającą przęsło. Najwyraźniej szczęście go opuściło. Początkowo podejrzewał, że za porwaniem, po którym ktoś siłą wsadził go na statek płynący do Indii, stał jego przybrany brat Garrick. Teraz już wiedział, że się pomylił. Garrick mógłby kazać go aresztować za usiłowanie morderstwa, ale nie postąpiłby w niehonorowy sposób. Po dłuższym namyśle Tom doszedł do wniosku, że porywaczem był Justin Brooke. Wprawdzie zapewniał

Emmę o swojej braterskiej miłości i wsparciu, ale był zdecydowanie przeciwny małżeństwu siostry i dążył różnymi sposobami do unieważnienia tego związku, jak się okazało, także wywożąc daleko jej męża.

Tom wyrzwał pięścią w balustradę. Miał świadomość, że Brooke go nie toleruje. Owszem, Brooke'owie postarali się, żeby ślub Emmy był okazały, bo chcieli uniknąć skandalu. Podejrzewał jednak, że od początku intrygowali, byle tylko pozbyć się niechcianego i nieakceptowanego wybranka Emmy. Był w stanie to zrozumieć. Niewybaczalne było to, że walcząc z nim, Brooke'owie wyrządzili krzywdę jego pięknej żonie. Skazali ją

na niesławę i samotność, poświęcili ją, kierując się pychą. W dodatku po tym wszystkim ten hipokryta Justin miał czelność udawać, że kocha siostrę i chce ją chronić.

Justin zagrażał nie tylko Emmie. W niebezpieczeństwie znalazła się również Teresa Darent, jedyna osoba, która wspomogła Emmę i okazała jej życzliwość, gdy rodzina odwróciła się plecami. Tom był świadom, że Justin był gotów sprzedać przekonania polityczne, a także sojuszników, byle tylko zdobyć władzę. Wiedział, że już zdążył się stawić u lorda Sidmoutha i obiecał mu nazwiska w zamian za wsparcie.

Tom poruszył się niespokojnie. Chciał, żeby Emma pozostała

bezpieczna. Mimo że wołała nie mieć z nim nic wspólnego, zapewnienie jej spokojnej przyszłości uznał za ważniejsze niż troszczenie się o własne nadchodzące lata.

Co gorsza, dręczyło go poczucie winy, co było nowe i zaskakujące. Wiele razy w życiu postąpił źle i w związku z tym nie miał wyrzutów sumienia, a teraz wciąż przypominała mu się Teresa Darent. Obsesyjnie wracał myślami do tego, co zrobił przed dziesięcioma laty. Wówczas nie zdawał sobie sprawy z tego, jak poważne mogą być następstwa jego czynu. Zrozumiał to dopiero wtedy, gdy usłyszał o wystawie Meltona. Mógł oczywiście winić Brokeby'ego, który był nieformalnym

przywódcą grupy i niepohamowanym rozpustnikiem, jednak z własnej woli posłusznie za nim podążał. Nie wiedział, kim jest Tess, nawet nie poznał jej, gdy spotkali się ponownie po ośmiu latach. Ostatnio jednak usłyszał w kawiarni przypadkową uwagę o lady Darent i jej poprzednich małżeństwach. Momentalnie wszystko skojarzył. Trwoga, jaka go wtedy ogarnęła, do tej pory go nie opuściła.

Miał wobec Tess Darent podwójny dług. Musiał nie tylko chronić Emmę, ale również zyskać pewność, że popsuje szyki tym, którzy chcą zaszkodzić lady Darent i obciążyć ją cudzymi występkami. Siły, przeciwko którym stawał do walki, były znaczne, mógł

jednak liczyć na wpływowego sojusznika. Wprawdzie wicehrabia Rothbury był człowiekiem ministra spraw wewnętrznych, lecz zarazem narzeczonym lady Darent, a jego prawość nie podlegała wątpliwości. Rothbury nie uczestniczył w brudnej grze, która objęła Sidmoutha.

Tom zawrócił w kierunku doków. To tu, w labiryncie zaułków i ciemnych kątów, przyszedł na świat. To był jego dom. Postanowił napisać do Rothbury'ego, oczywiście anonimowo, i ostrzec go, aby pilnował lady Darent. Liczył na to, że tym sposobem trochę złagodzi własne poczucie winy.

– Milady!

– Nie mów nic więcej. – Tess przewróciła się na bok i ukryła twarz w poduszce. – Wicehrabia znowu postanowił zakłócić mi sen. – Ziewnęła i nieznacznie uniosła powieki. – Powiedz mu, żeby dał mi spokój.

– Jego lordowska mość liczy na to, że sprawi pani przyjemność wspólny spacer po menażerii w Tower – powiedziała Margery. – Mam tu dla pani ciepłą wodę – dodała tonem zachęty. – Ogień już rozpałam i w pokoju jest ciepło.

– Menażeria w Tower? – Tess głębiej wsunęła się w pościel. – Nie lubię zwierząt.

– Lubi pani – poprawiła ją Margery, jak zawsze rozumiejąca wszystko

dosłownie. Właśnie podgrzewała przed ogniem halkę Tess. – Pamięta pani, jak kupiła na targu kociaka od człowieka, który trzymał go w klatce? A ptaszka, którego karmiła pani mlekiem, kiedy wleciał do nas przez okno?

Tess ciężko westchnęła. Nie miała szansy zasnąć, bo Margery meła językiem w najlepsze.

– Nie znoszę widoku zwierząt w niewoli – uściśliła. – Ten smutny lampart w Tower...Nie można mieć do niego pretensji, że linieje, skoro znalazł się w takim klimacie.

Wstała z łóżka i wzdrygnęła się, poczuwszy zimno.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego to robię – oznajmiła.

– Dlatego, że lubi pani lorda Rothbury’ego. Proszę się przyznać. Przecież wie pani, że tak jest.

– To będzie małżeństwo z rozsądku – podkreśliła Tess. – Chociaż nie widzę niczego rozsądnego w wyciąganiu mnie z łóżka, kiedy jeszcze jest ciemno – dodała zrzędliwie.

Zaskoczyło ją, że ucieszyła się, zastając w salonie czekającego tam Rothbury’ego. Z domowników o tak wczesnej porze była na nogach jedynie służba. Wicehrabia stał przy oknie i przypatrywał się spadającym płatkom śniegu. Gdy odwrócił się od okna, słysząc kroki Tess, uśmiechnął się szeroko. Omal nie odwzajemniła uśmiechu i musiała zamaskować ten

odruch surową miną.

– Pan znowu tutaj? I ponownie tak wcześnie?

– Chciałem panią zobaczyć – odrzekł bez wahania.

– Po co? – spytała bezceremonialnie.

– A czemu nie? – Wydawał się zdziwiony. – Zbyt przyjemnie jest mi w pani towarzystwie, by stracić dzień, nie spędzając z panią ani chwili.

Tess poczuła, że się rumieni. Bardzo drażniło ją, że Rothbury bez trudu potrafi zbić ją z pantałyku. Przecież nie wolno jej było zapomnieć, że to właśnie on może ją zniszczyć.

– Nie lubię zwierząt z menażerii w Tower – powiedziała, aby ukryć zmieszanie. – Trzymanie ich

w zamknięciu jest nienaturalne, poza tym poddawanie egzotycznych stworzeń kaprysom brytyjskiej zimy zakrawa na okrucieństwo.

– Wbrew pozorom pani ma miękkie serce – orzekł Rothbury i podszedł bliżej. Ujął dłoń Tess i zaczął ją głaskać kciukiem. – Kto by pomyślał? Z pani poczuciem czasu też jest lepiej. Przyszedłem wcześniej, bo obawiałem się długiego oczekiwania, a wystarczyły zaledwie trzy kwadransy. Naturalnie, na panią zawsze warto poczekać – dodał, mierząc ją spojrzeniem pełnym uznania.

– Pan mi pochlebia – odrzekła oschle, świadoma, że Margery nie zdążyła zakręcić jej włosów, zostały więc pośpiesznie splecione w warkocz

i upięte. Niesforne kosmyki już wy dostały się na wolność.

– Nikomu nie pochlebiam – odparł Rothbury i spojrział jej w oczy. – Nie będę pani raczył fałszywymi komplementami. Nie posiadam sztuki owijania w bawełnę, zresztą nad tym nie ubolewam, bo nie widzę dla niej zastosowania.

– Zanim wyjdziemy z domu, stanowczo muszę zjeść śniadanie – zakomunikowała Tess i odwróciła się do niego plecami, żeby nie zdradzić się ze swoimi uczuciami.

Zamiast wybrać się do Tower, pojechali obejrzeć wystawę w galerii obrazów Dulwich.

– Pani lubi sztukę – stwierdził bez zająknięcia Rothbury, gdy spytała go o przyczynę zmiany planów. – Często używa pani bardzo obrazowych sformułowań, a na dworze patrzy pani na otoczenie oczami malarki. – Uśmiechnął się. – Jest pani utalentowana.

– Mam niewielki talent, zaledwie umiejętność – odparła nieufnie.

Z poczuciem winy pomyślała o karykaturach politycznych, które ostatnio sporządziła. Trzy z nich zaniósła do drukarzy w Cheapside i od rana były w sprzedaży na ulicach po pensie za sztukę. Szczególną popularnością cieszył się ten, na którym członkowie rządu, stylizowani na tłuste

puddingi, siedzieli przy stole, a za oknami widać było wygłodzonych ludzi.

Rothbury uśmiechnął się szeroko.

– Jest pani zbyt skromna – powiedział.

Pomógł Tess wysiąść z kariolki i wprowadził ją do galerii, opierając dłoń na jej plecach. Poprzez pelisę Tess czuła, jak kciuk Rothbury’ego przesuwają się wzdłuż jej kręgosłupa. Bardzo ją to dekoncentrowało, podobnie jak jego zapach. Przywykła, że mężczyźni używają pomad i pachnideł, a Rothbury pachniał czystością i świeżym powietrzem.

Na szczęście, gdy znaleźli się w galerii, Rothbury ją puścił i mogła się skupić na oglądaniu obrazów. W eleganckich salach wisiało kilka

znakomitych niderlandzkich pejzaży i równie udanych angielskich portretów. Tess szybko pochłonęły wrażenia artystyczne i wdała się w żywą rozmowę z kuratorem wystawy, zadowolonym, że ma tak obeznanego z tematem gościa. Mimo to przez cały czas pamiętała, że Rothbury ani na chwilę nie spuszcza z niej wzroku.

– Przepraszam – zwróciła się do niego w pewnej chwili. – Długo oglądam obrazy i pan z pewnością się znużył.

– Widzieć, że jest pani usatysfakcjonowana, to dla mnie prawdziwa nagroda – powiedział wicehrabia.

W końcu musiała przyznać, że bołą ją nogi i że jest zbyt głodna, by dalej

przemierzać galerię. Dopiero wtedy Rothbury poinformował Tess, że zostało dziesięć minut do zamknięcia.

– Podobały mi się wszystkie działy z wyjątkiem martwych natur – powiedziała, gdy Rothbury pomagał jej wsiąść do kariolki.

– Za dużo martwych bażantów i królików? – spytał. – Czy nie mówiłem, że pani ma miękkie serce, choć stara się udawać, że jest inaczej?

Tess znów się zaczerwieniła, myśląc, że ten widoczny przejaw zakłopotania wkrótce niepotrzebnie wejdzie jej w nawyk.

– Cieszę się, że potrafię wywołać u pani rumieniec – powiedział Rothbury, zajmując miejsce w kariolce. – Pani lubi

sprawiać wrażenie światowej damy, Tereso. Przyjemnie mi z przekonaniem, że ma pani również słabości.

Z punktu widzenia Tess słabości było stanowczo za wiele. Zdawała sobie z tego sprawę zwłaszcza teraz, gdy ich dłonie się stykały. Szybko cofnęła rękę.

Rothbury zawiózł ją do gospody Fountain przy Strandzie i tam zjedli na kolację zapiekanek z baraniną, popijając ciepłym piwem.

– Pan wie, jak sprawić, by dama miło spędziła czas – oznajmiła Tess, gdy po kolacji nadal siedzieli w osobnym pomieszczeniu na tyłach gospody.

– Skoro jesteśmy zaręczeni, to chyba pora, żeby zaczęła mnie pani nazywać Owenem. Nie jestem zwolennikiem

sztywnych manier i nie chciałbym, żeby żona zwracała się do mnie tak samo jak kamerdyner.

– Moja matka nazywała mojego ojca lordem Fennerem – powiedziała Tess. – Dopiero gdy mieliśmy z bratem po kilkanaście lat, dowiedzieliśmy się, że można inaczej. Zdaje mi się, że do tego lokalu przychodzą przede wszystkim wigowie. Ciekawy wybór miejsca jak na człowieka lorda Sidmoutha.

– Lubię życie pełne niebezpieczeństw – przyznał Rothbury. – A pani nie?

Tess nie rozumiała, jak to możliwe, że niewiele jej brakuje, by opowiedzieć Owenowi o karykaturach, klubie Jupiter i swoich poglądach politycznych. Wydawało się bowiem, że z każdym

wspólnie spędzanym dniem pogłębia się wzajemna sympatia i przyjacielska zażyłość. Tymczasem nie należało zapominać, że w rzeczywistości ona starała się posłużyć wicehrabią, a on nią. Wiedziała, że na tym polega ich podwójna gra.

– Myślę – powiedziała – że wybrał pan tę gospodę, bo nie stać pana na inną. – Uniosła kufel w kpiącym toaście. – Nie zapominam, że ma pan dziurawe kieszenie.

Owen wybuchnął śmiechem. Po wyrazie jego twarzy zorientowała się, że docenia zręczność, z jaką uniknęła pułapki. Uśmiechnęła się skromnie.

– Czy kiedyś był pan bogaty? – spytała.

– Kilka razy – odparł. Wciąż wydawał się rozbawiony.

– A co się stało z pieniędzmi?

– Przegrałem albo wydałem.

Z pewnością nie zalicza się do gaduł, uznała w duchu Tess, za to jest bezpośredni. Musiała pamiętać, że to wszystko jest oręż, którym wicehrabia stara się doprowadzić ją do upadku.

– To dziwne – zauważyła, rozcinając skórkę zapiekanki i wdychając jej aromat. – Nie wydaje mi się pan człowiekiem, który beztrósco, na prawo i lewo, wydaje pieniądze.

– Wcześniej beztróski mi nie brakowało. Bywało nawet, że stosowałem przemoc.

Tess usłyszała w jego głosie nową

nutę. Żalu czy goryczy? Nie umiała zdecydować. Owena trudno było przeniknąć. Wydawało jej się, że zacznie się zwierzać, ale milczał.

– Wtedy w ogóle nie myślałem o przyszłości – odezwał się po dłuższej chwili. – Żyłem z dnia na dzień, od jednej awantury do następnej.

Wizja beztroskiego łowcy przygód bardzo do Tess przemawiała.

– Niech mi pan o tym opowie – poprosiła.

Ku jej zaskoczeniu, uczynił to znacznie bardziej szczegółowo niż zwykle. Opowiedział jej o swojej młodości spędzonej w Georgii, o dwóch braciach, trzech siostrach, zajęciach zawodowych ojca, wreszcie o tym, czego rodzina

musiała sobie odmówić, żeby kupić mu patent w amerykańskiej flocie. Mając dwadzieścia pięć lat, wykupił się z wojska, postarał o własny okręt i odtąd sam był sobie panem aż do otrzymania listu z Anglii, który przewrócił jego życie do góry nogami.

– Koncepcja dziedziczenia majątku i tytułu jest mi obca – wyznał. – Nie starałem się zostać wicehrabią Rothbury i nawet sobie nie wyobrażałem, że to możliwe.

– Jednak nie odmówił pan przyjęcia tytułu – zauważyła Tess.

Wolnym ruchem odstawił kufel.

– A par może nie przyjąć godności? Nie miałem o tym pojęcia.

Tess się roześmiała.

– Nie zrobiłby pan tego.

– Rzeczywiście nie. Ma pani rację.

– Nie tylko ze względu na matkę. Pan nie jest człowiekiem, który unika odpowiedzialności albo ucieka przed stawianymi wymaganiami.

Przyglądał jej się tak długo, że poczuła się niezręcznie. Odniosła wrażenie, że zamierzał powiedzieć coś ważnego, co wychodziło poza grę, której zasady wcześniej ustalili, a ujawniałoby prawdziwego Owena. Milczał i nagle posłał jej uśmiech, który niezmiennie ją rozbierał. Przykrył jej dłoń swoją ręką.

– Dziękuję pani – powiedział.

Gwałtownie cofnęła rękę.

– Proszę nie ćwiczyć na mnie chwytów dżentelmena z amerykańskiego

Południa – odparła. – Jestem zbyt doświadczoną kobietą, żeby można mnie było uwieść w ten sposób.

Nie przestał się uśmiechać.

– Jest pani pewna? – spytał.

Tess musiała przyznać w duchu, że nie. W każdym razie topniała, widząc jego urzekający uśmiech, i powoli pojmowała, że Owen jest dziesięć razy bardziej niebezpieczny, niż zdawało jej się na początku.

– Chyba nie jest pan Jankesem, skoro pochodzi z Georgii, prawda? – spytała, żeby ukryć zakłopotanie.

Lekko się skrzywił.

– Anglicy mieli zwyczaj nazywać wszystkich Amerykanów Jankesami – odrzekł. – Nie bawią się w szczegóły,

zwłaszcza jeśli chcą kogoś obrazić – stwierdził spokojnie.

Tess dosłuchała się jednak w tej wypowiedzi ukrytej urazy.

– Podejrzewam, że będąc jeńcem wojennym, wiele pan wycierpiał z tego powodu.

Skinął głową.

– W sumie niczego innego się nie spodziewałem.

Tess odruchowo sięgnęła nad stołem i dotknęła dłoni Owena.

– Tak źle?

Bardzo długo milczał, po czym wyjaśnił:

– Fizycznie byłem dobrze traktowany. Nie mogłem jednak znieść braku swobody. Nie wytrzymuję długiego

przebywania w jednym miejscu i w dodatku ze świadomością, że nie wolno mi go opuścić.

– Rozumiem.

Dla człowieka przyzwyczajonego do żeglugi po morzach i do wielkich przestrzeni zamknięcie w obozie jenieckim albo więzieniu musiało być naprawdę nieznośne, uznała Tess. Zwłaszcza że obserwowano tam każdy jego ruch.

– Nie wiem, jak mógł pan to przetrwać.

– Mam dużo cierpliwości – odparł z błyskiem rozbawienia w oczach. – Jestem gotów długo czekać na to, czego pragnę.

Tess znów poczuła przyływ emocji.

Szybko wypłała duży łyk piwa.

– Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Corwenem – oznajmił Rothbury. – Nie powinien więcej sprawiać pani kłopotów. Słyszałem, że dziś rano wyjechał na długi czas do swoich włości w Herefordshire.

– Co pan mu zrobił?

Rothbury wzruszył ramionami.

– Uciałem sobie z nim krótką pogawędkę.

– I to wszystko? – zdziwiła się. – Po zwykłej rozmowie postanowił wyjechać do wiejskiego majątku?

– A jakżeby inaczej?

Rozsiadł się wygodniej na krześle, ale spojrzenie wciąż miał chłodne i czujne.

Tess ogarnęło zakłopotanie. Rothbury

udzielił jej pomocy, o którą poprosiła, i nagle ogarnął ją wstyd, że go oszukuje. Chciała mu zaufać, zaproponować, aby nie dzieliły ich tajemnice i sekrety, ale od zrealizowania tego życzenia odstręczała ją myśl, że pomoc Owena wzięła się z wyrachowania. Nie potrafiła się jednak pogodzić z tym, że sieć oszustw staje się coraz gęściejsza i bardziej zawikłana.

– Dziękuję – powiedziała po chwili, czując łzy cisnące jej się do oczu. – Naprawdę jestem panu wdzięczna.

Owen ucałował jej dłoń.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Zabrzmiało to szczerze. – Załatwiłem specjalną licencję – dodał. – Możemy się pobrać, kiedy tylko będzie pani

chciała.

Tess cofnęła rękę.

– Pobrać się? – powtórzyła z niepokojem.

– Zwykle tak jest, że po zaręczynach następuje ślub – zwrócił jej uwagę.

– Potrzebuję czasu na zgromadzenie wyprawy ślubnej. – Szybko wynalazła przeszkodę.

Myśl o małżeństwie z Owenem wciąż wprawiała ją w zakłopotanie, choć trudno byłoby jej wyjaśnić, z jakiego powodu.

– Tydzień? – zaproponował Owen.

– Tydzień na przygotowanie strojów?!

– sprzeciwiła się ze zgrozą. – Potrzebuję przynajmniej miesiąca.

– Za długo – odparł Owen. – Dziesięć

dni.

– Dwa tygodnie – powiedziała Tess.

– Dziesięć dni – powtórzył.

Tym razem Tess nie oponowała.

Tej nocy spała zaskakująco dobrze, a zbudziła się akurat wtedy, gdy Margery odciągnęła zasłony. Pół godziny później spotkała się z Owenem na dole. Pojechali pod pomnik wielkiego pożaru w Londynie i wspięli się na sam szczyt, żeby obejrzeć panoramę miasta. Wisiał nad nim dym z tysięcy kominów.

– Pan zachowuje się niczym turysta – orzekła zdyszana Tess, starając się wyrównać oddech po pokonaniu trzystu jedenastu schodów.

Po jej towarzyszu nie było znać wysiłku fizycznego. Wcześniej przeżyła poważny wstrząs, gdy zrozumiała, że Rothbury oczekuje od niej wspięcia się na samą górę.

– Nikt, kto mieszka w Londynie, tutaj nie wchodzi.

– Zatem żaden londyńczyk nie zna tego wspaniałego widoku. – Owen ujął ją za rękę i poprowadził do balustrady. – Proszę tylko zobaczyć, jak stąd prezentuje się Londyn.

Tess przechyliła się nieco przez balustradę, wciąż z trudem oddychając po wspinaczce. Zaciął zimny wiatr, musiała jednak przyznać w duchu, że warto było wspiąć się tak wysoko, aby ujrzeć panoramę miasta.

– Uroczo pani wygląda – stwierdził wicehrabia, gdy wyciągnęła rękę, by przytrzymać na miejscu kapelusz. – Potargana, pognieciona, zupełnie nie jak modna dama.

Spojrzał na nią i mimo przenikliwych podmuchów zimnego wiatru poczuła się tak, jakby stała przy piecu. Nie po raz pierwszy w obecności Rothbury’ego zrobiło się jej gorąco. Zaniepokoiła się, czy przypadkiem nie dopadła jej złośliwa gorączka.

– Może pan schodzić pierwszy – stwierdziła. – Jeśli się poślizgnę, to zatrzymam się na panu.

– Będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli znajdzie się pani tak blisko mnie – odparł z powagą wicehrabia.

Następnego dnia odwiedzili British Museum.

– Same pokurczone czaszki w skrzyniach – oceniła Tess, chociaż zbiory wydały jej się fascynujące.

Wieczorem wraz z Alekssem i Joanną oraz Garrickiem i Merryn wybrali się na zimowy koncert w Vauxhall Gardens. Przez cały czas Rothbury troszczył się o Tess, nie przysypiał nad kieliszkiem wina jak Darent ani nie oglądał się za kobietami, jak robiło wielu żonatych mężczyzn zajmujących miejsca w sąsiednich łóżach.

Po powrocie, siedząc przed lustrem, Tess zaczęła się zastanawiać, jakie wrażenia wywołałby na niej pocałunek Owena. Przytknęła palce do warg

i poczuła zmysłowy dreszczyk. Tak ją to zafascynowało, że nie zauważyła Margery, która przyszła, by pomóc jej się rozebrać.

Długo nie mogła zasnąć, a gdy w końcu jej się to udało, dręczył ją dziwny sen.

Tańczyła walca z Owenem, ale muzyki nie było słychać, a ona przez cienką jedwabną suknię czuła na plecach żar jego dłoni. Ocierali się o siebie udami. Wirując, opuścili salę balową i znaleźli się na dworze, gdzie opadli w wielką śnieżną zasnę, mięciutką jak puchowy materac. Owen zaczął ją całować, a ona czuła niewyobrażalną przyjemność, która przemogła wszystkie jej obawy. Towarzyszyło temu wrażenie, że choć

dobrze go zna, to chce go poznać jeszcze lepiej. Owen zdarł z niej ubranie i zaczął ją pieścić, a ona nie tylko pozwalała mu na to, lecz odwzajemniała pieszczoty.

Zbudziła się rozgrzana i spragniona. Przez chwilę leżała nieruchomo w ciemności, oszołomiona doznaniem. Zdumiało ją, że w fantazjach o Owenie uporała się ze złymi wspomnieniami, które w realnym życiu stanowiły dla niej barierę nie do pokonania. Nie czuła ani lęku, ani odrazy, jedynie rozkosz i zmysłowe spełnienie. A teraz chciało jej się płakać, bo te wszystkie cudowne doznania nagle się od niej oddaliły, a ich miejsce zajęły znajome lęki i obawy.

Rankiem sen stał się tylko mglistym wspomnieniem. Tess jednak poważnie się zastanawiała, czy na widok żywego Owena przypomni sobie, co robili w sennym majaku. Czekwała, aż Margery przyjdzie ją zbudzić, ale nic takiego się nie stało. Widocznie tego ranka wicehrabia nie przyszedł.

– Wyglądasz dzisiaj jak zbity pies – zawyrokowała Joanna, gdy Tess zeszła na śniadanie. – Od kiedy wstajesz o wczesnej porze?

Na tacy w holu czekał na Tess liścik od Rothbury'ego. Przepraszał, że nie wpadnie, i tłumaczył, że wczesnym popołudniem jest umówiony z panem Churchwardem w sprawie ślubu. Tess kręciła się przez kilka godzin po domu,

raz po raz biorąc do ręki różne lektury, by zaraz potem je odłożyć. W końcu zdecydowała się wyjść po zakupy i śmiertelnie się wynudziła na Bond Street. Wreszcie wróciła do domu i stworzyła kilka bardzo jadowitych rysunków. Nie zamierzała już tego robić, ale wydawało jej się, że to jedyny sposób na wyładowanie złego humoru.

Deklarując, że zostanie wzorem wszystkich cnót, miała na myśli jedynie swój wizerunek na pokaz. Coraz wyraźniej zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jej uczucia do Owena wcale nie są udawane, i to ją przerażało. Dopuściła go zbyt blisko siebie. Zaczęła go potrzebować. W jej planach coś takiego nie miało prawa się zdarzyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Owen dotarł do kancelarii adwokackiej Churchward & Churchward, obsługującej arystokratów i wybitne osobistości, po czym został wprowadzony do środka z godnym pochwałą pośpiechem. Gabinet miał doskonałe proporcje i rozciągał się z niego ładny widok na podwórze za domem, chociaż tego dnia niebo miało barwę ołowiu, a na drzewach już tylko ostatnie liście chwiały się na listopadowym wietrze.

Pan Churchward wstał i uścisnął wicehrabiemu dłoń, przy okazji mierząc go przenikliwym spojrzeniem. Owen

odniósł wrażenie, że adwokat go taksuje.

– Bardzo miło mi poznać, lordzie Rothbury – zagaił Churchward – a jeszcze milej będzie mi zająć się sprawą milorda. – Ponad stertą papierów umieszczonych na biurku skinął dłonią ku krzesłu. – Lady Darent udzieliła mi pełnomocnictwa do sporządzenia intercyzy. – Uśmiechnął się smutno. – Obawiam się, że kwestie finansowe ją nużą.

– Mimo to lady Darent wcale nie jest lekkomyślną trzpiotką, za jaką chce uchodzić – zauważył Owen.

Pana Churchwarda to rozbawiło.

– Najwyraźniej jest pan bardzo spostrzegawczy, milordzie.

– Mam nadzieję. Naturalnie, nie ja jeden poznałem się na bystrości lady Darent. Rozumiem, że zmarły mąż ustanowił ją, podobnie jak pana, zarządcą majątku małoletnich pasierbów.

– Owszem – potwierdził Churchward.
– Tę sprawę chciałem przedstawić później, skoro jednak milord ją poruszył... – Oparł łokcie o mahoniowy blat biurka i splótł palce. – Lady Darent życzy sobie, aby jej mąż został trzecim zarządcą majątku Darentów, a ja z chęcią wyrażam na to zgodę, jeśli pan jest gotów wziąć na siebie odpowiedzialność.

Owen tego się nie spodziewał. Był zaskoczony, ale zrobiło mu się

przyjemnie. Nawet jeśli Tess miała swoje sekrety, to zdążył się przekonać, że Juliusa i Sybil darzyła miłością i otaczała opieką. Skoro chciała włączyć go do grona powierników ich majątku, to znaczy, że obdarzyła go zaufaniem. W tej sytuacji należało jak najszybciej rozwiązać sprawę klubu Jupiter. Musiał odbyć z Tess rozmowę i zmusić ją do szczerości. Ciągnięcie małżeństwa opartego na oszustwie byłoby parodią.

– Jeśli panu ten pomysł nie odpowiada... – mówił dalej pan Churchward, uważając, by nie nadać słowom niepotrzebnej emfazy.

– Wszystko w porządku – przerwał mu Owen, który zdołał wziąć się w garść. – Jestem zaszczycony, że mogę przyjąć tę

propozycję.

Churchward uśmiechnął się sztywno.

– Dziękuję, milordzie.

Przez następne pół godziny dyskutowali o szczegółach intercyzy. Tess, co Owen ze zdumieniem odkrył, miała około dwustu tysięcy funtów, chociaż wcześniej wspomniała jedynie o stu pięćdziesięciu. Tak czy inaczej, była to zawrotna suma. Zainteresowało go pozytywne nastawienie pana Churchwarda do lady Darent, tym bardziej że adwokat nie był głupcem i nie ulegał urokowi osobistemu ani sile urody.

– Wspomniał pan, że prowadzi wszystkie sprawy finansowe lady Darent – zagaił Owen. – Sądzę, że znakomicie

wywiązuje się pan z tego zadania. Trafione inwestycje, wydatki pod kontrolą...

Churchward skłonił głowę w podziękowaniu za komplement, ale nie powiedział ani słowa.

– Zastanawiam się, czy spłaca pan również długi karciane lady Darent.

Pan Churchward pozwolił sobie na uśmiech.

– Lady Darent nie przegrywa, a jeśli, to bardzo rzadko.

– Wobec tego te kwoty... – Rothbury postukał palcem w kolumnę wydatków, gdzie regularnie pojawiały się drobne sumy, schludnie wypisane ręką Churchwarda. – To musi być, jak rozumiem, co innego niż spłata długów.

Przez moment na twarzy prawnika gościł wyraz zaskoczenia. Taką minę mógłby zrobić człowiek, który omal nie dał się złapać w pułapkę i intensywnie myślał, jak wydostać się z trudnego położenia.

– Panie Churchward... – przynaglił go Owen.

Adwokat zdjął okulary i przetarł je dość nerwowo połą surduta.

– Nie miałem pojęcia, że milord zechce tak dokładnie przeglądać rachunki – zauważył z lekkim wyrzutem.

– Bez wątpienia wychodzi ze mnie *bourgeois* – przyznał gładko Owen. – Mój ojciec był sklepikarzem i... – Wzruszył ramionami. – Stare przyzwyczajenie...

– Właśnie – potwierdził Churchward, najwyraźniej nie zamierzając ustąpić.

– Zatem te kwoty...

Churchward się zaperzył.

– Milord powinien spytać o to lady Darent – poradził.

– Są tu regularne wypłaty na różne cele – naciskał Owen.

Wszystkie były starannie ponumerowane, ale anonimowe. Rothbury podniósł wzrok znad księgi i stwierdził, że prawnik z uwagą mu się przygląda. Postanowił wykorzystać to, czego dowiedział się o Tess przez ostatnie dni.

– Muszą to być datki na cele dobroczynne – zgadł. – Filantropia.

Pan Churchward miał nieco

rozbiegane oczy.

– Nie mogę pomóc – powiedział. – Milord musi porozmawiać z lady Darent.

– A może są to wydatki na cele polityczne – zaryzykował Owen i zauważył, że prawnik tężeje. – Na przykład pieniądze dawane grupom radykałów.

– Milordzie... – Ton Churchwarda był lodowaty.

– Po ślubie z lady Darent przejmę kontrolę nad tym olbrzymim majątkiem. Czy to ma jakiś wpływ na pańskie przeświadczenie o konieczności zachowania dyskrecji, Churchward?

Adwokat już nie starał się ukryć gniewu.

– Z pewnością nie, milordzie.

– Tak przypuszczałem. Proszę mi wybaczyć, Churchward, jedynie sprawdzałem pańską lojalność. Jest pan wzorem dyskrecji i będę zaszczycony, mogąc w przyszłości powierzyć panu moje sprawy.

Prawnik wyraźnie się odprężył, a Owen pomyślał, że Churchward nie tylko podziwia Tess Darent, lecz również otacza ją iście ojcowską troską. Miało to swoje znaczenie.

– Dziękuję, milordzie – powiedział Churchward. – Bardzo się cieszę. Jeśli mogę pozwolić sobie na pewną śmiałość – dodał, gdy obaj wstali i zmierzali do drzwi – to jest pewna kwestia, o której moim zdaniem milord

powinien wiedzieć.

Rothbury czekał.

– Pan Barstow, pierwszy mąż lady Darent – ciągnął Churchward, starannie dobierając słowa – był chrześniakiem znanego reformatora politycznego, sir Francisa Burdetta. To na wypadek, gdyby milord zastanawiał się nad źródłem reformatorskich zainteresowań milady.

– Rozumiem – odparł Owen.

Pamiętał wzmiankę Tess o Robercie Barstow, przyjacielu z dzieciństwa, który zapewnił jej bezpieczeństwo. Tess była do przesady lojalna, zatem sprawa Barstowa stała się również jej sprawą, a zarazem sposobem na nadanie życiu sensu, kiedy wszystko wydawało się

stracone. Współczuł dziewczynie, która owdowiała w wieku dziewiętnastu lat, a wcześniej straciła ojca i brata.

Po powrocie na Clarges Street Owen znalazł na stoliku w holu niepodpisany list, który zawierał zaledwie kilka zdań.

Proszę spytać lorda Sidmoutha, kto jest odpowiedzialny za przemoc w ruchu reformatorów. I proszę pilnować lady Darent. Człowiek z jej bezpośredniego otoczenia zamierza ją zdradzić.

Niewiele brakowało, a wrzuciłby anonim do ognia. Pogardzał autorami donosów i nie miał czasu na insynuacje. Z jego punktu widzenia Sidmouth działał

w imieniu prawa, a on, przyjmując określoną misję, zobowiązał się do postępowania w granicach obowiązujących przepisów. Jednak wzmianki o Tess nie mógł zignorować. Nie dalej jak tydzień temu chciał ją wciągnąć w pułapkę, ale odstąpił od tego zamiaru.

Jeszcze raz wyszedł z domu i udał się do ministerstwa spraw wewnętrznych. Na przyjęcie przez lorda Sidmoutha musiał czekać godzinę.

Minister był w złym humorze. Na blacie biurka leżał pognieciony rysunek, karykatura członków rządu, siedzących przy długim stole i wyglądających jak tłuste puddingi. Owen mimo woli uniósł w uśmiešku kąciki warg, patrząc na

obwisłe policzki Sidmoutha.

– Oczywiście, że podjudzam radykałów – odparł gniewnie Sidmouth na pytanie wcześniej zadane przez Owena. – Człowieku, nie bądź naiwny. Potrzebuję pretekstu, żeby ich aresztować. Reformatorzy siedzieli cicho, póki umiejętnie nie umieściłem w ich gronie prowokatora. Nie potrzebujemy reform! – podniósł głos i grzotnął pięścią w stół. – Ta myśl musi zginąć! Chce pan, żeby w Anglii wybuchła rewolucja, taka sama jak u tych przeklętych Francuzów? W imię reform zaryzykuje pan utratę tytułu, a przy okazji również głowy?

Wicehrabia poczuł się tak, jakby dostał kopniaka w brzuch.

– Proszę mi wybaczyć, milordzie – powiedział – ale jeśli dobrze zrozumiałem, jedynym źródłem niebezpieczeństwa wydaje się przemoc, którą milord podsyca.

Sidmouth parsknął pogardliwie.

– Ma pan za dużo skrupułów, Rothbury. Człowiek na moim stanowisku musi być gotów na ustępstwa i kompromisy, żeby osiągnąć sukces.

Owen czuł, jak narasta w nim wzburzenie. Nie znosił cynizmu.

– Milord to robi, żeby utrzymać się przy władzy – stwierdził.

Był wściekły na Sidmoutha za jego dwulicowość i na siebie, że okazał się na tyle naiwny, by podjąć się wykonania zadania bez sprawdzenia, czemu i komu

ma to służyć. Ze swoim doświadczeniem życiowym powinien był wykazać więcej rozsądku i bystrości. Zdawało mu się, że wypełnia misję ważną z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, a tymczasem był jedynie pachółkiem Sidmoutha.

– Robię to, żeby utrzymać pokój! – ryknął minister. – Do diabła, człowieku, potrzebujemy represji, bo inaczej zginiemy zamordowani we śnie.

– Przez ludzi, którym milord płaci – zauważył Owen, nakazując sobie w duchu kontrolować własne zachowanie. Wziął do ręki rysunek. – Jeśli milord złapie Jupitera, to go powiesi – dodał.

– Powieszę?! Zrobię z niego krwawy przykład! – wykrzyknął z wściekłością

Sidmouth. – Jak tylko uda mi się kupić Justina Brooke’a, dowiem się, kim jest Jupiter.

Owena przebiegł zimny dreszcz. Justina Brooke’a uważano w towarzystwie za kochanka Tess. Przypomniawszy sobie zdanie z anonimu: *Człowiek z jej bezpośredniego otoczenia zamierza ją zdradzić.*

– Brooke? – spytał. – On jest radykałem?

– Jest jednym z przywódców klubu Jupiter – odrzekł z satysfakcją Sidmouth. – Za władzę sprzedałby nawet własną babkę, a spiskowców sprzeda znacznie taniej.

Owen pojął, że wokół Tess zaciska się sieć. Jeszcze trochę i się z niej nie

wydostanie.

– Metody milorda brudzą mi ręce – oznajmił. – Obawiam się, że nie mam wyboru i muszę złożyć rezygnację.

– Niech pan idzie. – Sidmouth lekceważąco machnął ręką. – Wiedziałem, że prędzej czy później wyjdzie z pana Jankes. Na tym polega problem z wami. Nie wiecie, kiedy powinniście być wdzięczni.

– Przeciwnie, milordzie. Nigdy nie byłem bardziej wdzięczny losowi za to, że jestem Amerykaninem.

Opuścił gabinet ministra, a gdy znalazł się poza budynkiem, odetchnął głęboko zimnym powietrzem. Cyniczne metody Sidmoutha budziły w nim obrzydzenie, ale poważnie zaniepokoił go Justin

Brooke i jego pazerność na władzę. Przeprowadzenie szczerzej rozmowy z Tess i poznanie jej sekretów, które tak skrzętnie skrywała, stało się bardzo pilne wobec grożącego jej niebezpieczeństwa. Nikt inny oprócz niego nie był w stanie zapewnić jej ochrony.

Ruszył na Bedford Square, do domu Joanny i Aleksa, w którym mieszkała Tess, ale jej nie zastał. Nie zostawiła dla niego listu, nie miał więc pojęcia, gdzie jej szukać. Tym razem nie wydało mu się to ani trochę zabawne. Wrócił do domu, przebrał się w strój wieczorowy i pojechał powozem na bal wydawany przez lady Marriott.

Wśród gości nie znalazł Tess. Na

szczęście, spotkał Merryn i Garricka Farne'ów. Merryn przypomniała sobie, że tego wieczoru odbywa się również przyjęcie u lady Dalton.

– Może tam będzie Tess – powiedziała. – Chociaż pewności nie mam. Ona jest bardzo samodzielna.

– To prawda – przyznał ponuro Owen. U lady Dalton na jego widok ludzie zaczęli szeptać, wachlarze rozkładały się, by zasłonić uśmiechy. Powodów tego zainteresowania nie musiał szukać daleko. Z tłumu wyłowił wzrokiem Tess, tego wieczoru w szkarłacie. Miała w tym kolorze suknię, pantofelki i wstążkę we włosach. Obok niej kręcił się Brooke, wysoki młody człowiek, arogancki w sposób, który niezwykle

raził u kogoś, kto przez całe życie korzystał z przywilejów i wszystko miał podawane na srebrnym półmisku.

Rothbury zauważył, że w pewnym momencie Brooke pochylił głowę i szepnął coś w sekrecie prosto do ucha Tess, która po chwili wyszła z sali balowej przez drzwi po przeciwnej stronie. Brooke odczekał kilkanaście sekund i podążył za nią. Wyglądało to ostentacyjnie i bezczelnie. Owen nie wierzył własnym oczom.

Zaczął powoli obchodzić salę, wymieniając pozdrowienia ze znajomymi. Niekiedy przystawał, by krótko porozmawiać lub przesłać komuś uśmiech, a jednocześnie miał świadomość, że ci ludzie uważają, że

został rogaczem, zanim wziął ślub. Ogarnęła go wściekłość, starał się jednak kontrolować swoje zachowanie i myśleć rozsądnie. Mogło przecież istnieć racjonalne wyjaśnienie całej sytuacji.

Dotarł do drzwi, w których zniknęła Tess, i chwilę potem znalazł się w małym holu, z którego wychodził korytarz zakończony drzwiami do ogrodu. W połowie jego długości, częściowo zasłonięci obfitą w tym miejscu doniczkową zielenią, stali Tess i Justin Brooke.

Złocistorude pukle Tess ocierały się o ramię Brooke'a, który coś do niej cicho mówił, pochylając głowę. Owen nie słyszał słów, ale ton był nagłący

i poufały. Brooke dotykał ramienia Tess, a po chwili ujął jej dłoń. Tess uśmiechnęła się do niego i wtedy Brooke przyciągnął ją i pocałował w policzek, przedłużając pocałunek tak, jakby miał ochotę na znacznie więcej.

To Owenem wstrząsnęło. Tess nie zdradzała najmniejszych objawów lęku przed dotykiem. Głupiec z niego, że uwierzył w jej zapewnienia, że nie jest kochanką Brooke'a. Sądził, że ci dwoje są jedynie politycznymi sojusznikami. Co gorsza, nie tylko chronił Tess przed Sidmouthem, ale również krył jej romans. Tego wieczoru odszukał Tess, ponieważ pogardzał metodami Sidmoutha, a ją podziwiał za wierność sprawie. Chciał, by wreszcie

zapanowała między nimi szczerłość, a tymczasem zastał ją z kochankiem. A skoro tak się rzecz miała, było oczywiste, że Brooke nie wyda Tess. Była jego kochanką, bez wątpienia zamierzał nie tylko skorzystać z pozycji, jaką miał mu zagwarantować Sidmouth, lecz również zabrać Tess z sobą.

Tymczasem Brooke skinął głową ku wyjściu i znikł za drzwiami do ogrodu. Chwilę potem Tess zawróciła i przeszła obok Owena tak blisko, że poczuł zapach jaśminu. Szkarłatna spódnica omiotła posąg Apolla, za którym skrył się Owen. Chwilę potem znikła w garderobie dla pań. Wyłoniła się stamtąd, mając na sobie pelerynę z kapturem, i frontowymi drzwiami

wymknęła się na dwór. Rozległ się stuk podków o bruk i sprzed domu odjechał powóz. Najwidoczniej był w nim Brooke.

– A to ci dopiero, Rothbury! – Rupert Montmorency zaczepił spieszącego do drzwi Owena. – Właśnie skomplementowałem uroczą lady Darent. – Rupert puścił do niego oko. – Zdawało mi się, że dokądś się spieszy...

– Nie teraz, Rupercie – przerwał mu Owen. – Muszę iść.

– To jest w bardzo złym guście: przeszkadzać przyszłej żonie, gdy jest z kochankiem – nie dał za wygraną Rupert. – Daj im godzinę albo lepiej dwie, tak dla bezpieczeństwa – dodał po namyśle.

– Dziękuję, Rupercie – odrzekł sucho Owen.

Zdawał sobie sprawę z tego, że kilka osób wyszło za nim z sali i teraz przyglądają mu się z zainteresowaniem. Oznaczało to, że odjazd Tess nie pozostał niezauważony, a plotki już zaczynały krążyć.

– Pewnie dziękujesz teraz Bogu za zimną krew hazardzisty – szepnął mu do ucha Alex Grant. – Słowo ci daję, że nikt, kto teraz na ciebie patrzy, nie dostrzeże, że masz ochotę skrócić kark Brooke'owi. Ja to wiem, ale tylko dlatego, że dobrze cię znam.

– Nie jestem pewien, co mu chcę ukrócić – odparł posepnie Owen, któremu wciąż dźwięczało w głowie

zapewnienie Tess, że Justin nie jest jej kochankiem.

Głupi był, że jej uwierzył.

– Zamierzasz to puścić płazem? – spytał Alex.

– A jak myślisz? – spytał Owen i przyzwał gestem lokaja. – Powóz z lady Darent... dokąd pojechał?

Twarz służącego wyrażała pełne niezrozumienie.

– Przepraszam, milordzie...

Owen zmełł przekleństwo.

– Lady Darent i pan Brooke – wyjaśnił. – Dokąd pojechali?

Służącemu coś się wreszcie skojarzyło. Wydawał się zadowolony, że może pomóc i dzięki temu uniknąć gniewu Owena.

– Adres był w Hampstead Wells, milordzie. Belsize Terrace.

– Dziękuję – powiedział Owen, a lokaj uciekł najszybciej, jak potrafił.

– Będiesz tam jechał z godzinę – uprzedził przyjaciela Alex.

– I tak nie mam nic lepszego do roboty – odparł Owen. – Hampstead Wells – powtórzył. – Gdzie to jest?

– Na północ od Londynu, porządne przedmieście – wyjaśnił Alex. – Powodzenia, przyjacielu.

Owen uświadomił sobie, że szczęścia z pewnością będzie potrzebował. W przyszłości mógł również postarać się o to, by trafniej oceniać kobiety. W każdym razie musiał szczerze porozmawiać z Tess Darent, zanim

zerwie z nią zaręczyny.

Jazda poza miasto wydawała się ciągnąć bez końca. Marnie oświetlone ulice zmieniły się w końcu w ciemną bitą drogę, na której powóz podskakiwał i zgrzytał. Wreszcie Owen wysiadł przed rzędem niedużych domów. Nie usłyszał od lokaja pełnego adresu, więc nie potrafił ustalić, który z tych domów jest jego celem. Postanowił zacząć od tego, w którym zza zamkniętych okiennic sączyło się światło.

Gdy zastukał, usłyszał szybkie kroki służącej. Wydawała się przestraszona. Nic dziwnego. Rothbury wiedział, że już nie musi się wysilać, aby ukrywać uczucia. Uważał, że nie jest zaborczym człowiekiem, a jednak właśnie targła

nim furia, jaką odczuwa mężczyzna, gdy zostanie swoją kobietę z kochankiem. Zrozumiał, że ma to dla niego znaczenie, i to najbardziej doprowadzało go do wściekłości.

– Czy jest tutaj lady Darent? – spytał.

Służąca bez słowa skinęła głową.

– Sam się zaanonsuję – oświadczył, szerzej otworzył drzwi i wszedł do środka.

Dom był nieduży, a korytarz tak wąski, jakby w każdej chwili ściany mogły zgnieść idącego. Owen parł naprzód. Umeblowanie domu było, o dziwo, skromne. Sądziłby raczej, że Tess woli mieć miłosne gniazdko w bardziej luksusowym wnętrzu.

Głosy dobiegały z pokoju po lewej

stronie. Skoro rozmawiali, to przynajmniej wiedział, że nie nakryje ich na gorącym uczynku, choć i tak nie należało się spodziewać uspokajającego widoku. Wyobraził sobie częściowo rozebraną Tess, z obnażonymi piersiami i potarganymi włosami, a także Brooke'a, który przyzywa ją ruchem dłoni, leżąc na łóżku.

Otworzył drzwi i pojął, że popełnił omyłkę.

Najpierw zauważył, że w niedużym salonie są trzy osoby, i to w pełni ubrane. Potem, że wszyscy piją herbatę z eleganckiej porcelanowej zastawy i wyglądają równie przyzwoicie jak uczestnicy podwieczorku na plebanii.

Tess siedziała przy kominku na

miękkim, eleganckim krześle z poręczami. Na stoliku obok niej leżał otwarty szkicownik. Naprzeciwko niej siedziała młoda i bardzo urodziwa dama, która, gdy Owen wtargnął do środka, rozlała herbatę na zniszczony dywan. Sporo prysnęło na Justina Brooke'a, który klęczał przy kominku i piekł na ogniu ciastka drożdżowe.

Owen spodziewał się zastać tych dwoje in flagranti, a tymczasem rzekomy kochanek spokojnie zajmował się kucharzeniem. Co za niedorzeczność!

Tess wstała z krzesła, zachowując spokój, ale podchodząc, by go powitać, starannie zakryła szkicownik.

– Dobry wieczór, milordzie – powiedziała, jakby zjawienie się

wicehrabiego było zaplanowane i bardzo miłe. – Cieszę się, że może pan do nas dołączyć. – Z tymi słowami zwróciła się ku młodej damie. – Czy mogę przedstawić lady Emmę Bradshaw? Jej brata, Justina Brooke’a, już pan chyba zna.

Brooke skłonił się niedbale.

– Rothbury – powiedział.

– Brooke – powitał go chłodno Owen. Cokolwiek tu się działo, nie miał ani krzty szacunku dla Justina i nie zamierzał udawać, że jest inaczej.

Brooke mocno się zaczerwienił. Tess, wyczuwając wrogość Owena, postanowiła przerwać kłopotliwe milczenie.

– Lady Emmo – powiedziała,

wysuwając towarzyszkę naprzód – to jest mój narzeczony, wicehrabia Rothbury.

Owen został poddany oględzinom szczerych, intensywnie niebieskich oczu. Pomyślał, że nietrudno zgadnąć, kto w rodzinie Brooke'ów odziedziczył siłę charakteru.

– Mam nadzieję, milordzie, że jest pan wystarczająco dobry dla lady Darent – oznajmiła Emma.

Dotąd Rothbury nie zastanawiał się nad tą kwestią. Zerknął w bok i zobaczył, że Tess z trudem maskuje uśmiezek.

– Nie jestem pewna, czy ta sprawa jest dla lorda Rothbury'ego najważniejsza, Emmo.

– A powinna! – Lady Emma ujęła Owena za rękę i zmusiła go, by usiadł obok niej na kanapie. – Powinien pan wiedzieć – powiedziała poufałym tonem – że kiedy w zeszłym roku opuścił mnie mąż, a rodzina wydziedziczyła, to właśnie lady Darent wzięła mnie pod swoje skrzydła i przekonała księcia Farne, żeby dał mi dach nad głową... – Obszernym gestem pokazała salonik wraz z całym umeblowaniem. – Okazała mi mnóstwo przyjaźni i szczodrości.

Kątem oka Owen zauważył, że Tess niespokojnie drgnęła. Słowa lady Emmy, choć wypowiedziane z dobrą intencją, bez wątpienia ją zakłopotaly.

– Co więcej – ciągnęła Emma – lady Darent postarała się również, żeby

Justin mógł mnie odwiedzać, chociaż rodzice zabronili mu się ze mną widywać. Zagrozili, że zostawią go bez pensa przy duszy, ale brat i tak nie chciał mnie opuścić.

Tym razem to Brooke niespokojnie się poruszył. Owen podejrzewał, że z powodu niezasłużonej pochwały. W każdym razie wszystko zaczęło mu się w głowie układać. Zrozumiał, w jaki sposób Tess umożliwiła mu te wizyty. Ich rzekomy romans był znakomitym pretekstem do odwiedzin u siostry. Nie ulegało wątpliwości, że Justin wykorzystuje Tess, a Owen nie potrafił zrozumieć, jak ona może na to pozwolić. Jednak miał rację wcześniej, gdy odniósł wrażenie, że tych dwojga nic nie

łączy. Bardzo mu ulżyło, choć nie zmieniało to faktu, że Tess publicznie naraziła na szwank jego dobre imię, a co gorsza, wciąż nie dbała o własną reputację.

– Musiała pani mieć ważny powód, lady Emmo, żeby zaprosić tu lady Darent dziś wieczorem – powiedział. – Jaki?

Tess znowu się poruszyła. Zbliżyła się do niego o krok.

– Milordzie... – zaczęła.

Owen spojrzał na nią.

– Chce mi pani sama powiedzieć czy woli pani, żeby zrobiła to lady Emma?

Tess zerknęła na Justina Brooke'a i Owen znów poczuł przypływ złości. Nie, Tess i Brooke nie byli kochankami, ale istniało coś, co ich mocno ze sobą

więzało. Wyczuwał to. Nie chodziło tylko o wspólną działalność polityczną. Przypomniawszy sobie rachunki Churchwarda. Gdyby Tess finansowała Brooke'a, podobnie jak kiedyś sir Francis Burdett wspierał polityczne ambicje jej pierwszego męża, tłumaczyłoby to opiekę nad obojgiem rodzeństwa. Była kimś w rodzaju mecenasa Justina Brooke'a. Owen odczuł jeszcze większą pogardę dla tego człowieka, pomyślał bowiem o jego potajemnych spotkaniach z Sidmouthem i gotowości do zdradzenia przyjaciół radykałów.

– Ma pan coś do powiedzenia, Brooke? – spytał z przykładną uprzejmością, widząc, że ten poprawia

kołnierzyk koszuli, jakby zrobiło mu się duszno.

– Nie, milordzie – wymamrotał, nie patrząc mu w oczy. – To jest sprawa mojej siostry, nie moja.

– Wrócił Tom – wyrzuciła z siebie Emma. – Tom Bradshaw, mój mąż. – Spojrzała na Owena zakłopotana. – Nie wiedziałam, co począć. Wzburzyło mnie to, bałam się, więc napisałam do Justina, żeby poprosił lady Darent o pomoc. – Zamilkła na chwilę, po czym powtórzyła: – Nie wiedziałam, co robić. Kocham Toma i nie chcę, żeby go aresztowano, ale nie mogę mu zaufać, bo wiem, że ma na sumieniu straszne uczynki. Myślałam, że lady Darent podpowie mi, co powinnam uczynić.

Ona zawsze mi pomaga – podkreśliła, zwracając się ku Tess.

Tess ujęła ją za rękę i matczynym gestem przyciągnęła do siebie. Justin Brooke przyglądał się temu z boku.

– Powinnaś go wydać – powiedział ze złością. – Moglibyśmy zastawić na niego pułapkę...

– Nie! – krzyknęła przesywajaco Emma. – Ty zawsze go nienawidziłeś.

– To oczywiste – odrzekł Justin. – Przecież cię zrujnował.

Lady Emma go nie słuchała. Rzuciła się w ramiona Tess i zaczęła rozdzierająco szlochać. Owen przyglądał się, jak lady Darent gładzi zrozpaczoną młodą kobietę po głowie i kojąco do niej przemawia. Miała

w sobie tyle miłości do dania, że na chwilę zapomniał o gniewie.

Kątem oka zauważył, że Justin Brooke również spogląda na Tess. Zmartwiało. Na twarzy Brooke'a malowała się tęsknota granicząca z pożądaniem. Nawet jeśli Tess nie była zainteresowana tym młodym człowiekiem, to on z pewnością jej pragnął. To zaś czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W powozie panowało pełne napięcia milczenie. Tess nie była tak naiwna, by sądzić, że Owen nie będzie miał pretensji o bezceremonialne i dające pretekst do plotek opuszczenie sali balowej. Żywiła jednak nadzieję, że jego gniew zelżał. Przecież miała dobre intencje; chodziło jedynie o wspomnienie Emmy. Zerknęła kątem oka na narzeczonego i spostrzegła, że ściągnął brwi i zacisnął usta. Zadrżała, widząc takie oznaki potępienia. Co gorsza, miało to dla niej znaczenie. Wbrew sobie przywiązywała dużą wagę do opinii wicehrabiego.

– Pan jest na mnie zły – powiedziała.

Ze spojrzenia, jakim ją obrzucił, była pogarda.

– Bardzo jest pani spostrzegawcza.

– To pouczające – uznała Tess. – Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby pan był na mnie zły. Zaczynałam sądzić, że taki stan jest sprzeczny z pańską naturą.

– Nic pani o mnie nie wie, zapewniam.

Tess skuliła ramiona. Te słowa potwierdziły, jak słabo rozumiała Rothbury’ego. Kiedyś zastanawiała się, jak można wywołać u niego gniew lub inną gwałtowną emocję. Teraz już wiedziała. Niefrasobliwie, bez zastanowienia, wykazała brak szacunku dla jego uczuć i honoru.

– Przykro mi – powiedziała.

Trzeba od czegoś zacząć, pomyślał Owen. Skrucha wydawała się dobrym pretekstem.

– Naprawdę? – wycedził. – Wygląda na to, że pani w ogóle nie troszczy się o swoją reputację. Nie powinna jednak pani być tak beztroska, gdy w grę wchodzi moje dobre imię.

– Nie – przyznała bez dyskusji.

Zdawała sobie sprawę z tego, że gdy Owen zgodził się ją poślubić, przysięgła zachowywać się przykładnie, przestrzegać ustalonych w towarzystwie reguł, bez względu na to, jak były powierzchowne i co o nich sądziła. Uwierzył jej na słowo, a ona zanim wzięli ślub, wywołała skandal,

opuszczając przyjęcie z człowiekiem, którego powszechnie uważano za jej kochanka. Gniew Rothbury'ego był uzasadniony.

– Nie – powtórzyła żałośnie. – Naprawdę przepraszam.

Owen niespokojnie poruszył się na siedzeniu.

– Brooke jest mięczakiem – powiedział z pogardą. – Chowa się za pani spódnicą.

– Zbyt surowo pan go ocenia – odparła Tess – choć przyznaję, że jest trochę prawdy w tych słowach. Justin... – zauważyła, że Owen się wzdrygnął, i natychmiast się poprawiła: – ...pan Brooke nie mógł otwarcie przeciwstawić się woli rodziców

i ryzykować utraty dostępu do pieniędzy, ale siostrę kocha i nadal chce ją widywać.

– Oczywiście, że jestem surowy – odrzekł Owen. – Ten człowiek nie tylko nie broni sprawy, którą uważa za słuszną, ale w dodatku pozwala, by starsza od niego kobieta publicznie brała odpowiedzialność za jego czyny. Rzeczywiście nie było innego sposobu? – spytał. – Musiała pani podsunąć ludziom myśl, że on jest pani kochankiem?

– Ludzie myślą, co im się podoba. Dawno temu zrozumiałam, że nie uda mi się tego zmienić, więc przestałam się wysilać.

– Trzeba było bardziej się postarać,

aby nie powstawały plotki, jakie na przykład Corwen postanowił wykorzystać.

– Rozumiem to – przyznała znużonym tonem Tess.

– Dlaczego więc pojechała tam pani akurat dziś wieczorem, tak żeby wszyscy to widzieli? Proszę mi to wytłumaczyć, chcę zrozumieć.

Tess przez chwilę milczała. Czowała jego zniecierpliwienie, nie było łatwo je znieść.

– Przepraszam – powiedziała znowu. – Źle oceniłam sytuację. Dowiedziałam się, że Emma pilnie mnie potrzebuje, więc do niej pojechałam. – Potarła czoło. – Postąpiłam niemądrze, przyznaję. Powinnam była napisać list

do Garricka i poprosić, by pomógł Emmie. Miałam na względzie to, że on zamierza ująć Toma i doprowadzić do jego aresztowania. Emma nie chce o tym słyszeć, zatem... – Urwała i bezradnie wzruszyła ramionami.

– Utrzymała pani sytuację przyjaciółki w tajemnicy i pojechała, na domiar złego nie sama, ale w towarzystwie Brooke'a – podsumował karcącym tonem Owen. – Wybrała pani najgorsze możliwe rozwiązanie, zważywszy na to, że licznie zgromadzeni goście lady Dalton byli świadkami pani spektakularnego opuszczenia sali balowej.

– Wiem.

Tess gnębiły autentyczne wyrzuty

sumienia. Zmartwiła się, gdy Justin przekazał jej nowinę o Emmie, wiedziała bowiem, że oprócz niej porzucona przez męża i odrzucona przez rodziców młoda kobieta nie ma do kogo zwrócić się o wsparcie. Miała nadzieję, że plotki o jej zachowaniu nie dotrą do Rothbury'ego albo że przynajmniej uda jej się obrócić tę sprawę w żart. Teraz zrozumiała, że go nie doceniła.

– Jest pani oddaną przyjaciółką Emmy. Nie pierwszy raz pomaga pani młodej kobiecie znajdującej się w trudnej życiowej sytuacji, prawda? Słyszałem, że lady Harriet Knight, którą kilka lat temu zrujnował Tom Bradshaw, też mogła na panią liczyć.

– A rzeczywiście.

Tess zdążyła zapomnieć o Harriet, która potem poślubiła bardzo bogatego i dość wiekowego właściciela dóbr na wsi i bez wątpienia siała spustoszenie w swojej okolicy.

– Można by powiedzieć, że odczuwa pani przymus wspomagania ludzi w potrzebie – stwierdził Rothbury, zmieniając ton.

Tess nie dała się nabrać na tę łagodność. Przeczuwała, że Owen prowadził z nią rozmowę w określonym celu, i uznała, iż powinna mieć się na baczności.

– Dwa przypadki to nie przymus – zauważyła.

– Znów jest pani zbyt skromna – ocenił wicehrabia. – O ile wiem,

w działalności dobroczynnej wykazuje pani dużą szczodrość. Złożyła pani datki na szpital dla sierot i na szkołę dominikanów.

– Zapomina pan o szpitalu imienia Marii Magdaleny dla skruszonych prostytutek. To stosowne czy nie?

Wicehrabia parsknął śmiechem.

– Nie wydaje mi się – odparł. – Zatem przyznaje się pani do prowadzenia działalności filantropijnej. Wyjątkowo niechętnie i skąpo odpowiada pani na moje pytania, Tereso. Nie żądam przecież, by wyznała pani, iż zaciągnęła dług karciany, idący w tysiące gwinei. Dlaczego tak trudno przychodzi pani wyjawić, że chwalebnie zajmuje się dobroczynnością?

Wyjaśnienie było proste i dlatego trudno było je złożyć. Filantropia ściśle wiązała się z działalnością polityczną. Wiedziała, że jeśli opowie Owenowi o jednym, wyjdzie na jaw drugie. Miała przy tym świadomość, że choć wicehrabia nalega, by ujawniła swoje sekrety, to już się ich domyślił. W tej sytuacji nie warto było udawać, uznała i jednocześnie uprzytomniła sobie, że zaraz padnie pytanie o klub Jupiter.

– Pan wie, prawda? – spytała, nie patrząc na Rothbury’ego. Bynajmniej nie miała na myśli działalności charytatywnej.

Wyczuła, że odwrócił się do niej twarzą.

– Że jest pani Jupiterem? Owszem,

wiem.

Wicehrabia sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę papieru i położył ją na siedzeniu między nimi. W bladym świetle latarni Tess zobaczyła karykaturę lorda Sidmoutha wyglądającego jak balon. Owen wygładził dłonią kartkę.

– Znakomicie uchwycone podobieństwo – powiedział – ale lord Sidmouth nie był zachwycony ani rozbawiony. Chce pani głowy.

Zapadło brzemienne milczenie. Tess wiedziała, czego dalej się spodziewać, i poczuła się bardzo niekomfortowo.

– Niech mi pani powie – zaczął surowo Owen – czy kiedy złożyła mi pani matrymonialną ofertę, zrobiła to pani celowo, świadoma, że jako mąż nie

będę mógł zeznawać przeciwko pani?

Tess zamknęła oczy. Żałowała, że wówczas posłużyła się oszustwem. Nie знаła jednak Rothbury'ego i nie darzyła go ani szacunkiem, ani sympatią. Najchętniej teraz by to wykrzyczała, ale nie dostrzegła w tym sensu. Uznała bowiem, że nie dałby wiary jej zapewnieniom. Sytuacja się skomplikowała także dlatego, że obecnie nie tylko poczuła sympatię do wicehrabiego – poruszył w niej czułą strunę, o której istnieniu zapomniała na skutek złych doświadczeń. A może nawet nie była świadoma, że nosi ją w sobie? Pod powiekami zapiekły ją łzy.

– Myślałam... To prawda, że...

Wciąż czuła na sobie wzrok Owena, i to czyniło ją bezbronną.

– Chciała pani się mną posłużyć i wykorzystać mnie jako ochronę przed Sidmouthem? – Głos wicehrabiego zabrzmiał oficjalnie.

– Przyszłam do pana, ponieważ musiałam poszukać wsparcia, aby się przeciwstawić Corwenowi i zapobiec spełnieniu przez niego gróźb wobec Sybil i Juliusa – powiedziała błagalnie.

– W tej sprawie mogło pani pomóc wiele osób – stwierdził Owen. – Na przykład szwagrowie. Zarówno Alex Grant, jak i Garrick Farne są wystarczająco ustosunkowani, aby zmusić Corwena do milczenia.

– Potrzebowałam czegoś więcej –

tłumaczyła Tess. – Dla dobra Sybil musiałam podreperować swoją reputację. Mogłam to osiągnąć tylko poprzez stosowne małżeństwo.

– Ale wybrała pani akurat mnie – obstawał przy swoim Owen. – Od początku się nad tym zastanawiałem. Wiem, że chodziło o moje kontakty z Sidmouthem. – Nagle wyciągnął ręce i mocno ścisnął Tess za ramiona. – Niech pani powie prawdę, dość kłamstw.

– Nie kłamałam! – zapewniła go Tess. – Owszem, chciałam pana oszukać, ale pan od razu się w zorientował i to zaakceptował. Pozwolił mi pan prowadzić grę tylko po to, aby zwabić mnie w pułapkę.

Zapadło napięte milczenie. Tess uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie, by Rothbury zaprzeczył. Wiedziała jednak, że tak się nie stanie. Podjęli podwójną grę i wyglądało na to, że w końcu oboje przegrali. Stracili świeżo pozyskane zaufanie i nadzieję na to, że może ich połączyć coś wartościowego i rokującego na przyszłość.

– To prawda – przyznał szczerze Owen. – Tak było.

Puścił ramiona Tess, a ona zadrżała.

– Klub Jupiter został rozwiązany – powiedziała. – Już się nie spotykamy.

Prawda wyszła na jaw, a ona czuła się jeszcze podlej niż przedtem. Narzeczeństwo stało się nagle pustym i wyrachowanym związkiem obcych

sobie ludzi, choć wcześniej było załączkiem czegoś ważnego.

– Jeśli może pan okazać wielkoduszność i odstąpić od ścigania pozostałych członków klubu – dodała drętwo – to daję słowo, że po zerwaniu naszych zaręczyn nie będę więcej się angażować w działalność reformatorów... -Urwała, bo Owen położył dłoń na jej nadgarstku.

– Droga lady Darent, nie wydaje mi się, żeby pani zrozumiała, co się wydarzyło – oznajmił zdecydowanie. – Narzeczeństwo nie zostanie zerwane i zakończy się ślubem, tak jak było zaplanowane. Tyle że obecnie ma pani jeszcze mniej możliwości wyboru niż przedtem.

Owen przyglądał się, jak Tess usiłuje zrozumieć jego słowa. Widział grę uczuć, malującą się na jej twarzy, z których najwyraźniej dawała o sobie znać niechęć do przyjmowania cudzych poleceń. Miał za sobą trudny wieczór i nie był w nastroju do odgrywania rycerza na białym koniu, który wybawia damę z opresji. Na skutek własnej przebiegłości i niefrasobliwości Tess była teraz zdana na jego łaskę i tak miało pozostać. Oparł się ramieniem o burtę powozu, żeby lepiej widzieć twarz narzeczonej.

– Niewiele pani wie, na przykład o panu Brooke’u, swoim protegowanym w świecie polityki – zaczął Rothbury, przy czym postarał się wypowiedzieć

nazwisko zdrajcy z jawną pogardą. – Brooke prowadzi rozmowy z lordem Sidmouthem, ubiega się bowiem o stanowisko rządowe. Zresztą zawsze porusza się zgodnie z aktualnym kierunkiem wiatru. Nie zostanie przywódcą, jakim chciałaby go pani widzieć i jakiego potrzebują radykałowie – jest na to zbyt sprzedajnym i chciwym człowiekiem.

Tess gwałtownie zbladła.

– Pan musi się mylić – szepnęła przestraszona.

Owen ocenił, że nie udawała, i poczuł, jak uchodzi z niego napięcie. Wyglądało na to, że Tess nie wiedziała o zdradzie Brooke'a. Przynajmniej jej lojalność wobec sprawy reformatorów wyglądała

na autentyczną. W tej sytuacji tym bardziej było mu gorzko ze świadomością, że Tess wybrała go, kierując się jedynie wyrachowaniem.

– Obawiam się, że nie, ponieważ usłyszałem to od Sidmoutha. Brooke jest ambitny. Poświęci wszystko, byle zyskać władzę. Panią też.

– Nie rozumiem – powiedziała, choć przeszył ją dreszcz.

– Wydaje mi się, że pani doskonale rozumie. Sidmouth chce aresztować Jupitera i uczynić z tego publiczne widowisko. Brooke wie, kim pani jest...

– Justin nigdy by mnie nie zdradził – zaproponowała Tess, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Była wstrząśnięta tym, co usłyszała.

– Nie postawiłbym na to ani pensa – oznajmił Owen, nie owijając w bawełnę. – Pani sytuacja jest trudna, a pozycja słaba. W razie odwołania ślubu pozostanie pani bez jakiejkolwiek ochrony.

Tess długo milczała.

– Jest pan bardzo szczodry, skoro postanowił nie zrywać zaręczyn – oświadczyła w końcu.

– Mam swoje powody.

Rothbury wciąż pragnął Teresy Darent. Był na nią zły, czuł się zdradzony, ale i tak chciał ją mieć w łóżu.

Spojrzała na niego z nieprzeniknioną miną.

– Będę dysponowała większymi

kwotami, jeżeli przestanę wspierać sprawę radykałów – zauważyła z ironią.

– A ja będę miał dużo mniej, bo zrezygnowałem z misji, której się podjąłem z namowy lorda Sidmoutha.

Tess zrobiła wielkie oczy.

– Zrezygnował pan? Ale dlaczego...

– Proszę uwierzyć, że przestrzegam pewnych zasad. Nie mogę poślubić kobiety, o której wiem, że łamie prawo, a jednocześnie współpracować z człowiekiem zamierzającym ją zaaresztować.

– Pewnie nie. Wobec tego... może pan wziąć moje pieniądze jako rekompensatę.

Na to był zdecydowany. Znów pożałował, że ich małżeństwo będzie

powierzchownym, modnym związkiem, o jakim Teresa mówiła od początku. Oczekiwał od małżeństwa znacznie więcej – wzajemnego zaufania i szacunku, namiętności, o miłości nie wspominając. Ich wzajemne oszustwo wykluczyło jednak taką możliwość.

– Ochrona z racji noszenia mojego nazwiska będzie miała inną cenę – oświadczył.

– Cenę – powtórzyła Tess, obrzucając wicehrabiego przenikliwym spojrzeniem. – Tak, oczywiście. Wszystko ma swoją cenę.

Wydawała się rozczarowana, jakby nagle opadło ją znużenie.

– Musi mi pani dać słowo honoru, że więcej nie narysuje politycznej

karykatury i nie będzie aktywnie uczestniczyć w ruchu na rzecz reform.

Tess milczała. Pochyliła głowę i nerwowo skubała haft widniejący na pelerynie.

Owenowi nagle zrobiło się jej żal. Nie tak miało to wyglądać.

– Tereso – powiedział – to zdecydowanie niebezpieczne. Sidmouth wyłapie wszystkich reformatorów i wymierzy im karę. Niech pani da mi słowo.

Uniosła głowę. W jej oczach dostrzegł ledwie zauważalny błysk, który musiał być reakcją na szczerłość jego tonu, i pojął, że ich znajomość nie była oparta wyłącznie na grze i udawaniu.

– Niech będzie – szepnęła. – Słowo.

– Dziękuję – odparł z ulgą.

Odwróciła głowę, zdążył jednak zauważyć lśnienie łez w jej oczach. Szczerze jej współczuł. Nie była kobietą, która obnosi się ze zmartwieniem lub rozpaczą i roni łzy w obecności innych, jak również chętnie przyjmuje od innych pomoc albo pokrzepienie.

– Dlaczego pani płacze? – spytał.

W odpowiedzi przesłała mu spojrzenie, w którym nie było ani krzty żalu. Omal się nie roześmiał.

– Bo wiem, co tracę – wyjaśniła. – Moje rysunki... – zaczęła szperać w torebce i wyciągnęła koronkową chusteczkę, którą ze złością otarła oczy – są dla mnie bardzo ważne. Pan tego

nie zrozumie.

Przeciwnie, był w stanie wczuć się w stan ducha Tess. Po przyjęciu arystokratycznego tytułu musiał porzucić dotychczasowy styl życia, zrezygnować z pływania po morzach, odmówić sobie podejmowania odkrywczych wypraw lub wyzwań. Słowem tego, co uczyniło go takim, jaki był. Tess właśnie traciła coś, co stanowiło jej namiętność i musiała czym innym wypełnić życie. Miał ochotę przytulić ją i pocieszyć, ale przybrała postawę, którą wyraźnie dawała do zrozumienia, że chce być sama ze swoim problemem. Wpatrywała się nieruchomo przed siebie.

Owen westchnął i spytał:

– Czy są jeszcze jakieś sekrety, które

powiniennem poznać, zanim się pobierzemy?

Dostrzegł drobne zawahanie Tess, poprzedzające energiczny przeczący ruch głową.

– Nie – powiedziała wypranym z emocji tonem. – Oczywiście, że nie.

Chciał dalej wy badać prawdziwość tego stwierdzenia, ale ostatecznie zrezygnował. Tess siedziała ze zwieszoną głową i skulonymi ramionami. Nie miał sumienia jej dręczyć.

Zastanawiał się, o czym zmilczała. Był przekonany, że nie mogło to dotyczyć klubu Jupiter ani jej zaangażowania politycznego. Szczerze przyznała się do autorstwa karykatur i docenił jej uczciwość, mimo że był zarazem zły, bo

wcześniej go oszukała. Prawdę mówiąc, w Teresie Darent nadal podziwiał niejedno, a przede wszystkim jej niezłomną lojalność.

Przypuszczał, że ten ostatni sekret nadał kierunek jej działalności dobroczynnej. Pomagała kobietom i dzieciom, ludziom odrzuconym bądź pochodzącym z nieprawego łoża. Czyżby po śmierci Charlesa Brokeby'ego urodziła dziecko? Przecież powstały gorszące nagie wizerunki Tess, a to – w połączeniu z opowieściami o rozpuszceniu Brokeby'ego oraz o Tess pijącej i oddającej się hazardowi po jego śmierci – wskazywało, że był w jej życiu okres, gdy nad niczym nie panowała. Owen nie był święty i nie

miął prawa jej winić, bardzo chciał jednak, żeby Tess się zwierzyła. Niektórzy ludzie woleli nie ujawniać prawdy o przeszłości, ale z jego doświadczeń wynikało, że prawda i tak wychodzi na jaw, co więcej, zwykle w bolesny sposób. Zależało mu na poznaniu jej sekretów, ale znał Tess bardzo krótko. Musiał cierpliwie poczekać, by powierzyła mu wszystkie swoje tajemnice. Należało ostrożnie wrócić do budowania na fundamentach, które położyli wcześniej, tyle że bez oszustwa ani zdrady.

Wrócił spojrzeniem do Tess i zachwycił się jej wyjątkowo wyrazistym profilem. Odniósł wrażenie, że cała się spięła, jakby gotowała się do

obrony. Był to jasny sygnał, by trzymał się od niej z dala i nawet nie spróbował jej dotknąć. Szkoda, bo coraz bardziej jej pragnął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pobrali się dwa dni później w katedrze Southwark.

Brat lady Martindale był biskupem Southwarku, co Tess uznała za sprzyjającą okoliczność. Rozwiązało to problem miejsca ceremonii. Tess nie była pewna, w którym z londyńskich kościołów chciałaby po raz czwarty przejść nawą do ołtarza. Stanowczo odrzuciła kościół św. Jerzego przy Hanover Square, bo choć niezaprzeczalnie był modny, to właśnie tam brała ślub z Brokebym.

Było to wydarzenie towarzyskie, mimo że była wdową i dobry smak

nakazywałyby zadowolenie się czymś skromniejszym. Niestety, Brokeby nie znał pojęcia dobrego smaku. Chciał się popisać młodą oblubienicą przed socjetą, licznie zgromadzoną w kościele. Ceremonia odbyła się w pogodny majowy ranek, gdy świeciło słońce i na placu kwitły wiśnie. Godzinę później nadeszła mgła i spadła wiosenna ulewa, która zerwała prawie wszystkie kwiaty z drzew. Tess uważała teraz, że powinna była zwrócić uwagę na ten zły omen.

Tym razem niebo było perłowszare, a chmury, zapowiadające opady śniegu, snuły się nad Londynem jak dym. Było zimno. Po ostatniej konfrontacji z Owenem, która ujawniła, że wzajemnie się oszukiwali, Tess wciąż

miała poczucie, jakby straciła oddanego przyjaciela. Z założenia miało to być małżeństwo czysto formalne, polubiła jednak Owena i zaczęła szczerze go cenić.

Wprawdzie ślub zaplanowano w katedrze, ale ceremonia miała się odbyć w jej niewielkiej kaplicy, bo ze zrozumiałych względów gości przybyło jak na lekarstwo. Joanna wystąpiła w olśniewającej wiśniowej sukni z jedwabiu i fikuśnym kapelusiku, a Merryn wybrała szafirowy odcień niebieskiego. Obu siostrom Tess towarzyszyli przystojni i urzeczeni nimi mężowie, a Joannie dodatkowo jeszcze córeczka. Ten obrazek, ilustrujący rodzinne szczęście, sprawił, że Tess

poczuła ukłucie zazdrości.

Owen wyglądał przystojnie. Gdy zobaczyła go czekającego na nią przy ołtarzu, poczuła dziwne łaskotanie w żołądku. Ubrał się niezwykle starannie i elegancko, czym wyraził jej swój szacunek, inaczej niż Darent, który spóźnił się na własny ślub i miał na sobie zaplamioną koszulę. Owen nie był pijany, w odróżnieniu od Brokeby'ego, dla którego był to zasadniczo stan niezmienny. Gdy szła nawą do ołtarza, oczywiście sama, bo za nic nie pozwoliłaby nikomu się prowadzić, Owen nie odrywał od niej wzroku, a jej nagle zrobiło się gorąco, choć w kościele było zimno.

– Pięknie pani wygląda – szepnął, gdy

stała u jego boku i przez moment miała wrażenie, że w pochmurny dzień zaświeciło słońce.

Ten nastrój szybko ją opuścił, gdy kątem oka zerknęła na uśmiechnięte, promienne siostry. Znow bowiem poczuła ukłucie zazdrości. Jednocześnie obudziła się w niej tęsknota, ale trudno było orzec, za czym. Zerknęła na Owena, lecz on skupił się na słowach biskupa. W ławach przeznaczonych dla rodziny pana młodego panował niewesoły nastrój. Trzy damy, lady Martindale, Borough i Hurst, zasiadły z kwaśnymi minami i aż dziw, że nie przywdziały żałoby. Między nimi przysiadł Rupert Montmorency, mając tak wysoki kołnierzyk koszuli, że ledwie mógł

obrócić głowę, żeby nie pokłuć się jego rogami.

Biskup recytował formułki ceremonii ślubnej, ale Tess go nie słuchała. Złożyła przysięgę małżeńską.

– ...że cię nie opuszczę...

Przy tych słowach głos lekko jej się załamał i w tym momencie poczuła, że Owen zaciska palce na jej dłoni, zapewne by tym gestem dodać jej otuchy. Zerknęła na niego i pomyślała, że wygląda statecznie.

Owen złożył przysięgę głosem o wiele spokojniejszym i pewniejszym niż Tess.

– Ciałem swoim będę cię miłował...

Poczuła nagły dreszcz na wspomnienie Charlesa Brokeby'ego, który bełkotał te same słowa. Pamiętała jego gorące

dłonie na swoim ciele, lubieżne, sięgające po nią brutalnie, i jego nienasyconą żądzę, wzbudzającą u niej niekłamana trwożę.

– Tereso? – odezwał się cicho Rothbury.

Otrząsnęła się z niechcianych złych wspomnień.

Owen włożył jej na palec obrączkę. Tess miała ręce zimne jak lód. Nie rozumiała, skąd u niej to zdenerwowanie, przecież wychodziła za mąż już trzy razy i tekst przysięgi mogłaby wypowiedzieć z pamięci, zbudzona z głębokiego snu.

Po nabożeństwie wyszli z kościoła na zaśnieżony świat. Tess z każdą chwilą coraz bardziej marzła. Drżała pod

piękną peleryną w kolorze złota, która przykrywała suknię ze złotej gazy. Najpierw zdawało jej się, że wygląda bardzo ładnie. Włosy przyozdobiła perłami, a peleryna była podbita jasnym futrem. Tess nie mogła w sobie odnaleźć pewności siebie, jaką nieraz czerpała z pięknego stroju. Nie rozumiała tego i była zła. Przecież powinna niemal skakać ze szczęścia. Doprowadziła do małżeństwa pro forma, dzięki czemu Julius i Sybil byli bezpieczni, a Owen obiecał, że będzie ją chronił przed Sidmouthem. W pewnej chwili spojrzała na Joannę, która akurat wsparła się na ramieniu Aleksa i pieszczotliwie przytuliła mu policzek do ramienia. Zaraz potem zobaczyła, jak Merryn

bierze Garricka za rękę. Zachciało jej się płakać.

Coś z jej przeżyć musiało być widoczne, przynajmniej dla Owena, bo przykrył jej dłoń swoją.

– W porządku? – spytał szeptem.

Pochylił ku niej głowę, a jego dotyk podziałał krzepiąco na Tess. Skinęła głową, mimo że mijała się z prawdą. Owen ciepło się do niej uśmiechnął i musnął wargami jej policzek. Omal nie podskoczyła.

– Rothbury! – rozległ się okrzyk lady Martindale.

Starsza pani zajęła uwagę pana młodego, a Tess poczuła się zagubiona i samotna.

W ponurym domu na Clarges Street

przygotowano w jadalni śniadanie weselne. Kamerdyner Houghton ustawił w sieni całą służbę według rangi, co wyglądało tak, jakby powiększył kolekcję znajdujących się tam posągów.

– Wierzę, że wkrótce wprowadzi pani zmiany na lepsze w tym muzeum, lady Grant – oznajmiła grzmiącym głosem lady Martindale, żeglując wśród rzeźb niczym galeon między rafami. – Kiedy weźmie się pani do pracy?

Joanna wyglądała na lekko zakłopotaną.

– Będiesz dekorować dom? – spytała ją Tess.

– To pomysł lady Martindale – odparła Joanna. – Naturalnie, zamierzałam najpierw porozmawiać

o tym z tobą – dodała przeproszającym tonem.

Tess nie chciała jej słuchać. Myślała w tej chwili tylko o tym, że lady Martindale nie uznała za stosowne omówić planów z nową panią domu. Zresztą, odkąd zostały ogłoszone zaręczyny, matrona nie dała żadnego znaku, że je aprobuje. Natomiast bardzo szybko zwróciła się do jej siostry. Doskonalej w każdym calu Joanny, która miała wszystko, czego ona, Tess, pragnęła.

Skąd ta zawiść? – zadała sobie w duchu pytanie. Na dobrą sprawę nie chciała takiego małżeństwa, w jakim znalazła się Joanna, a na pewno nie zamierzała powić dziecka. Przerazało ją

to, co poprzedzało przyjście potomka na świat. Dostałam wszystko, czego sobie życzyłam, pomyślała. Czy rzeczywiście? Czy sama się nie okłamywała? W gruncie rzeczy pragnęła szczęścia w małżeństwie i rodziny, tego, co miała Joanna, tylko się bała, bo na jej marzeniach kładło się ponurym cieniem wspomnienie Brokeby'ego.

Odszukała spojrzeniem Owena, który rozmawiał z Garrickiem i Alekssem. Chciała pokrzepić się jego widokiem, ale poczuła się dziwnie, zupełnie jakby traciła kontakt z rzeczywistością. Ugięły się pod nią kolana i aby utrzymać równowagę, musiała przytrzymać się jednego z posągów, który niebezpiecznie się zachwiał.

– Pewnie już jest pijana – powiedziała głośno lady Borough, która była głuchawa i wydawało jej się, że wszyscy mają kłopoty ze słuchem. – A może mdleje, bo Justin Brooke zrobił jej dziecko. Słyszałyście ostatnią nowinę? Pan Melton postanowił uczcić ślub Rothbury’ego. Wystawi więcej nagich portretów oblubienicy. I pomyśleć, że Rothbury...

Lady Martindale, która nie miała kłopotów ze słuchem i nie była tak prymitywna jak jej siostra, szybko uciszyła lady Borough, ale szkoda już się stała. Zapadło kłopotliwe milczenie.

Tess miała wrażenie, że zaraz spali się ze wstydu. Wszyscy zaczęli się na nią gapić. Merryn była wstrząśnięta,

Joanna wyciągnęła pomocną dłoń, ale Tess dostrzegła w jej oczach współczucie i omal nie zaczęła krzyczeć. Owen znajdował się w pewnym oddaleniu, schowany za popiersiami od dawna martwych rzymskich cesarzy. Zrozumiała, że musi uciec, i ruszyła do drzwi.

Usłyszała wołanie Owena, ale się nie zatrzymała. Wkrótce biegła po śniegu ulicą. Uświadomiła sobie, że jeśli zapragnie się ukryć i pobyć sama, to nie będzie miała gdzie. Rano przywieziono jej bagaże z domu Joanny, a siedziba przy Clarges Street nie dawała schronienia. Tam wszyscy albo nią pogardzali, albo jej współczuli.

Było jednak miejsce, które już dawno

powinna odwiedzić. Dotąd próbowała ignorować wystawę Meltona, udawać, że malowidła istnieją tylko w jakimś nocnym koszmarze. Teraz zyskała pewność, że musi je w końcu zobaczyć. Bardzo jej zaszkodziły, a ona wreszcie doskonale wiedziała, co należy zrobić. Wskoczyła do przejeżdżającej dorożki i kazała się zawieźć na Strand. Wciąż miała na sobie złocisty strój ślubny, a wśród pereł we włosach osiadł jej śnieg.

W zaułkach wokół Strandu leżał śnieg, ale brudny, topniejący, wymieszany ze śmieciami i pomyjami. Powoli robiło się ciemno, zapadał wieczór.

Po nagłym wybiegnięciu Tess w domu

przy Clarges Street wybuchł chaos. Owen nie miał pojęcia, gdzie jej szukać, myślał nawet o tym, by pytać przechodniów i dorożkarzy, czy nie widzieli kobiety w stroju ślubnym. W pewnej chwili Joanna odwołała go na bok.

– Myślę, że znajdziesz ją w pracowni Meltona – powiedziała zdenerwowana. – Biedna Tess ani słowem nie wspomniała o tej wystawie. – Przesłała wściekła spojrzenie lady Borough. – A przecież wiem, że była nią głęboko urażona.

Tak oto Owen znalazł się w ciemnym zakamarku Strandu. Tu Londyn wydawał się o wiele bardziej obskurny i nieświeży niż w dzielnicach

zamieszkanym przez londyńską socjetę. Drzwi do pracowni Meltona były lekko uchylone. Gdy Owen przystanął na stopniu, ktoś otworzył okno na piętrze i na śniegu tuż obok niego pojawiły się ślady zawartości nocnika.

– Jeszcze zamknięte! – rozległ się kobiecy głos. – Proszę przyjść później!

Kobieta wychyliła się z okna. W dłoni trzymała nocnik, górne guziki brudnej koszuli nocnej miała rozpięte. Z włosami w nieładzie wyglądała tak, jakby dopiero co wstała z łóżka.

– Na wystawę, tak? – spytała, mierząc Owena wzrokiem. – Taki elegancik to chyba nie po co innego.

Nagły łomot odwrócił jej uwagę i szybko znikła z okna. Owen usłyszał jej

przekleństwo. Nie zważając na to, że kazano mu przyjść później, pchnął drzwi i znalazł się w sieni. Natychmiast uderzyły go w nozdrza dwa zdecydowanie przykre zapachy: kapusty i farby. W panującym mroku ledwie było widać schody prowadzące na piętro.

Nie spodziewał się, że Melton korzysta z tak obskurnego pomieszczenia. Ogarnęła go wielka złość, bo nie dość, że ten pacykarz zniszczył reputację Tess, wystawiając na widok publiczny niestosowne wizerunki, to jeszcze pokazywał je w walącej się brudnej budzie. Naturalnie, Owen miał świadomość, że są to irracjonalne pretensje. Akty Tess, przez fakt wystawienia ich w pałacu

Buckingham, nie stałyby się mniej skandaliczne. Pokazywanie ich w podejrzanym zaułku wydawało mu się jednak dodatkowym przejawem braku szacunku.

Z góry usłyszał podniesione głosy. Jeden z nich, kobiecy, bez wątpienia należał do Tess.

– Ma pan ostatnią szansę, Melton. Proszę, żeby postąpił pan jak dżentelmen i usunął te niegodne obrazy z wystawy. Jeśli nie, zrobię to za pana.

– Droga lady Darent – rozległ się głos malarza, przymilny, lukrowany – powinna być pani dumna, że może pokazać światu cudowne piękno...

– Lady Rothbury – poprawiła go Tess.
– Właśnie dzisiaj wzięłam ślub, Melton,

z czego na pewno zdaje pan sobie sprawę.

Owen znieruchomiał, słysząc swoje nazwisko. Po chwili zaczął wspinać się na schody, a tymczasem na górze rozległ się huk.

– Lady Rothbury! – zabrzmiał głos Meltona.

Tym razem w jego tonie nie było udawanej słodyczy, tylko strach. Owen biegiem pokonał pozostałe stopnie i wpadł do sali wystawowej.

Nie bardzo wiedział, czego należy się spodziewać. Wcześniej postanowił, że obejrzy wystawę i przekona się, o co ten cały raban, ale potem uznał, że to zanadto upodobniłoby go do mydlkowatych dandysów i fircyków,

którzy ślinili się na myśl o Tess. On pragnął prawdziwej Teresy Darent, którą coraz lepiej poznawał, a nie obrazu z domalowanym uśmiechem i kuszącym ciałem. Teraz, gdy nagie wizerunki Tess otoczyły go ze wszystkich stron, zamarł. Oto Tess na kanapie z czerwonym, aksamitnym obiciem – paląca się obok lampa podkreśla kremowy odcień jej skóry, zmysłowy uśmieszek igra na jej wargach i odbija się w półprzymkniętych oczach. Na innym obrazie pochylona Tess tyłem, na tej samej kanapie, eksponuje zmysłowe linie ciała i rozpuszczone włosy. A tu – wielki Boże! – Tess leży na olbrzymim łożu, ramiona ma szeroko rozrzucone, uda rozchylone, kostki nóg

zaplątane w prześcieradło. Rozleniwione spojrzenie zdradza, że niedawno omal nie umarła z rozkoszy. Patrząc na ten obraz, Owen mimo woli stwierdzał, co przejęło go głębokim niesmakiem. Wyobraził sobie tłumy innych mężczyzn, stojących w tym samym miejscu i reagujących tak samo jak on. Czuł się nieczysty, a do tego szalał z wściekłości.

W tej chwili koło ucha świsnęła mu paleta i z trzaskiem uderzyła w obraz wiszący na ścianie po jego lewej stronie. Tutaj na Tess padało od tyłu eteryczne srebrzyste światło. Wyjątkowo nawet miała coś na sobie – długą przezroczystą szatę, która jednak służyła wyłącznie do tego, by podkreślić

bujność kobiecych kształtów. Widać było różowawe brodawki piersi sterczące pod gazą i owłosioną delfę u zbiegu ud. Rude włosy! Owen walczył z sobą.

Kolejna paleta uderzyła z całej siły w ścianę. Farba prysnęła obficie i na płótno, i na Owena. Przezroczysta szata zrobiła się wielokolorowa, a wizerunek został nieodwracalnie zniszczony.

– Lady Rothbury! Błagam, nie! – wołał malarz.

Owen odzyskał władzę w nogach w odpowiedniej chwili, by uniknąć słoju z niebieską i zieloną farbą, które z precyzją dobrze wymierzonego pocisku roztrzaskały się na innych obrazach. Farba spływała nie tylko po

płótnach, lecz również po ścianach, a na podłodze zaczęła tworzyć strumyki. Wizerunki zamieniły się w bezkształtne, jednobarwne plamy.

Owenowi zdawało się, że Tess nawet nie zauważyła jego nadejścia. Wspaniała złocista suknia ślubna była umazana farbą, podobnie jak dłonie. Najwyraźniej pelerynę zdjęła wcześniej, żeby celować z większą precyzją, a przy gwałtownych ruchach perłowe szpilki przestały trzymać fryzurę i poskręcane kosmyki opadały jej teraz na zaczerwienioną twarz. Owena zafascynował wyraz jej oczu. Zrozumiał, dlaczego Melton się boi. Nawet na polu bitwy nie widział w niczyich oczach takiej furii.

Tess cisnęła ostatnim, pustym słoikiem i znowu zwróciła się ku sztalugom. Ocalały jeszcze dwa obrazy. Chwyciła za nóż. Owen ruszył w jej stronę. To było jednak co innego niż farba.

– Tereso... – powiedział.

Zignorowała go. Odwróciła się ku Meltonowi i Owen usłyszał jego cichy jęk. Na malarza jednak też nie zwróciła uwagi. Pierwsze płótno zostało przecięte na pół tak gwałtownie, że ostrze zawadziło o ramę i odłupało z niej drzazgi. Tymczasem z cichym okrzykiem Tess wbiła nóż w lewy górny róg ostatniego aktu i rozcięła płótno po przekątnej. Gdy się cofnęła, Owen zauważył, że na drżącej dłoni Tess ma krwawą smugę, wkomponowaną między

zielone i niebieskie plamy z farby. Chwycił ją za nadgarstek i nóż z brzękiem upadł na deski posadzki.

– Wystarczy – powiedział łagodnie.

Tess nagle oprzytomniała. Rozglądając się po sali, wodziła wzrokiem po pociętych i pomazanych obrazach. Ciężko dyszała. Owen podniósł z podłogi pelerynę i okrył nią żonę. Na podłodze wśród przewracanych słoików z farbą i poniszczonych obrazów wił się płaczący Melton.

– Miałeś szczęście, że sam wyszedłeś z tego cało – stwierdził ponuro Owen.

– Tak, milordzie.

– Wyjedziesz z miasta i nie waż się wracać. Jeśli jeszcze kiedyś usłyszę, że

wystawiłeś portret mojej żony, to wolałbym nie być w twojej skórze!

– Rozumiem, milordzie.

Owen skinął głową, obrócił się na pięcie i opuścił zrujnowaną pracownię, niosąc na rękach drżącą Tess. W powozie ostrożnie umieścił ją na siedzeniu, potem usiadł obok i obejrzał rozciętą dłoń. Rana nie była głęboka, ale krwawiła, oderwał więc kawałek rękawa koszuli i obwiązał skaleczone miejsce.

Nie odezwała się dotąd ani słowem, jednak Owen wyczuł, że wstrząsające Tess dreszcze słabną. Oparła się o niego i chwilę potem otworzyła oczy, po czym usiadła wyprostowana.

– Owenie – powiedziała cicho –

znalazłeś mnie.

– Muszę uważać, żeby nigdy nie znaleźć się na linii twojego ognia – zauważył z uśmiechem.

Uśmiechnęła się blado, ale znów sposepniała.

– Tak... Czy ja... naprawdę to zrobiłam? Zniszczyłam wystawę Meltona?

– Owszem – potwierdził Owen. – Wręcz ją zdemolowałeś. Czy poczułaś się lepiej?

– Powinnam była to zrobić już dawno.

– Dlaczego zwlekałaś?

Przygasała jeszcze bardziej.

– Udawałam przed sobą, że wystawa nie istnieje i że jestem ponad to. Natomiast dzisiaj... – wzdrygnęła się. –

...gdy usłyszałam lady Borough...

Owen poczuł przyływ opiekuńczości.

– Powinna się wstydzić, że coś takiego powiedziała – stwierdził szorstko.

– Nie, to ja się wstydzę.

– Niepotrzebnie – odparł Owen.

Dostrzegł łzę, która wolno spłynęła po policzku Tess, jedyną z tych, które z całej siły starała się powstrzymać.

– Możesz mi o tym opowiedzieć, jeśli będziesz chciała, ale obecnie proszę o tym nie myśleć.

Skinęła głową. Skuliła ramiona i tak zbladła, że Owen nie był pewien, czy nie zemdleje. Pamiętał, że Tess od rana nic nie jadła, że uciekła z weselnego śniadania, zanim włożyła choćby kęs do

ust. Delikatnie przyciągnął ją do siebie i oparł o swoje ramię. Przytuleni zajechali na Clarges Street.

– Jesteśmy w domu – oznajmił Owen, gdy powóz się zatrzymał.

Tess zdrętwiała i omal się nie przewróciła, gdy pomagał jej wysiąść. Musiał ją podtrzymać. W złotej pelerynie wyglądała w jego oczach jak wróżka, zwłaszcza że na kapturze gromadził się śnieg, który wirował wokół jej twarzy. Biedna wróżka, umazana farbą i potargana. Pod wpływem impulsu pochylił się i czule ją pocałował. Wargi miała zimne.

– Chodźmy do środka – powiedział. – Położymy się do łóżka. Będę cię obejmował i poczujesz się znacznie

lepiej, obiecuję.

Znów ją pocałował, pilnując, by zanedo się nie spieszyć.

Zadrżała. Przez chwilę myślał, że to oznaka budzącego się pożądania, że Tess postanowiła poszukać u niego pocieszenia po trudach całego dnia. Zaraz jednak wydała cichy okrzyk i natychmiast się odsunęła, po czym wbiegła po schodach i znikła we wnętrzu domu. Zatrzasnęła za sobą drzwi, a zaskoczony Owen znieruchomiał. Pomyślał, że Tess nie była zdenerwowana, tylko wystraszona. Po raz pierwszy spotkał się z taką reakcją na pocałunek, żadna kobieta oprócz Tess nie uciekła przed nim ze strachu. Wyszło dużo gorzej niż wtedy,

gdy całowali się pierwszy raz.

Stangret wciąż stał na chodniku, konie nerwowo parskwały.

– Dziękuję, Cavanagh – powiedział Owen. – Możesz odprowadzić konie, żeby się ogrzały.

Ze smutkiem stwierdził, że zmienia się w rasowego arystokratę, umięjącego z kamienną twarzą spoglądać na najbardziej oburzające sytuacje i udawać, że nic złego się nie dzieje. Kamerdyner otworzył drzwi i Owen śladem żony wszedł do środka. Z ulgą stwierdził, że weselni goście taktownie opuścili dom. W holu panowała cisza.

Dwa przewrócone posągi znaczyły drogę, którą Tess przebyła do biblioteki. Apollo miał teraz obłupany nos,

a Afrodyta straciła ramię. Przodek bez wątpienia przewracał się w grobie.

Owen energicznie zapukał do biblioteki.

– Tereso, otwórz drzwi!

Odgłos odbił się echem w domu. Owen nie chciał próbować wyłamywania drzwi. Po pierwsze, były bardzo dobrej jakości, z dębowego drewna. Po drugie, były mocne. Nie dałby rady pokonać ich, gdyby napał na nie ramieniem. Pomysł, by zawołać Houghtona i kazać mu przynieść siekiere, uznał za niedorzeczny.

– Czy mogę w czymś pomóc, milordzie?

Kamerdyner zmaterializował się u jego boku bez przyzywania.

– Wątpię – odparł Owen, ale szybko zmienił zdanie. – Poczekaj, chyba jednak możesz. Idź, proszę, do kuchni, i przynieś tacę z zimnym posiłkiem dla mnie i lady Rothbury.

Podszedł do wciąż zamkniętych drzwi biblioteki i jeszcze raz zapukał.

– Tereso, otwórz, proszę – powiedział – Mam coś do jedzenia – dodał sprytnie.

Usłyszał obrót klucza w zamku. Drzwi odrobinę się uchyliły.

– Gdzie jest jedzenie? – spytała Tess.

Owen uśmiechnął się szeroko.

– Za chwilę Houghton je przyniesie.

– Aha.

Chciała znowu zamknąć drzwi, ale Owen szybko wsunął stopę w szparę.

– Musimy porozmawiać.

Przez moment zdawało mu się, że Tess spróbuje zatrzasnąć drzwi, nie przejmując się jego nogą, ale do tego nie doszło. Zostawiła je otwarte, choć wciąż stała, blokując wejście, i uważnie mu się przyglądała. Na kominku palił się ogień, więc w pokoju było ciepło. Zdjęła pelerynę i stała przed nim w poplamionej farbą złocistej sukni. Oczy miała czerwone od płaczu. Owen z zaskoczeniem stwierdził, że Tess może również wyglądać brzydko. Naturalnie, nie zamierzał o tym wspominać.

– No dobrze. – Wypadło to znacznie ostrzej, niż planował, ale on też był zmęczony. – O co chodzi, u diabła? Dlaczego uciekłaś?

Była spłoszona, ale także zła. Choć ich

małżeństwo nie trwało jeszcze nawet pełnego dnia, Owen przeczuwał, że wina leży po jego stronie. Tess spoglądała na niego z miną pełną wyrzutu. Ostentacyjnie powędrowała wzrokiem ku jego spodniom, jakby starała się odkryć, co właściwie w nich się kryje.

– Mówiono mi, że jesteś impotentem – powiedziała.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W pierwszej chwili Owen sądził, że się przesłyszał.

– Słucham? – spytał zdziwiony.

– Miałam cię za impotentą – powtórzyła Tess. – Chciałam, żeby tak było, ale gdy mnie pocałowałeś, poczułam... – Urwała i znów spojrzała na jego spodnie.

Owen gestem zaprosił ją, by usiadła na kanapie, i zajął miejsce obok. Tess natychmiast odsunęła się w drugi koniec.

– Przykro mi, że nie mogę ci pod tym względem dogodzić – powiedział z przekąsem Owen. – Skąd pomysł, że jestem impotentem?

Tess się zmieszała.

– Tak uważano.

– Kto tak uważał?

Teraz on popadł w niemałą konsternację. Czyżby całe towarzystwo rozmawiało o jego rzekomej niemożności?

– Odniosłeś rany w walce z Francuzami i było powszechnie wiadomo, że... zostałeś poważnie okaleczony. – Spojrzała mu w oczy, ale zaraz uciekła wzrokiem w bok. – Pani Tong wyjawiała mi to wtedy, gdy wymknęłam się z jej domu uciech i wpadłam na ciebie. Powiedziała, że kapitan dragonów nie ma... grafitu w ołówku. Tamtego wieczoru dowodziłeś żołnierzami

przeszukującymi Świątynię Wenus.

– Nie. Znalazłem się tam jako jeden z ludzi Sidmoutha do specjalnych poruczeń.

Tess przez moment przyglądała mu się w skupieniu. Powoli zaczynała docierać do niej prawda o tragikomicznym nieporozumieniu.

– Przecież Alex i Joanna... Oni powiedzieli, że to prawda! – zachnęła się.

– Grant stwierdził, że jestem impotentem?

Do diabła! Owen uznał swoją winę wobec przyjaciela, jako że przed laty próbował uciec z jego żoną, ale sądził, że obaj już o tym zapomnieli. Wyglądało jednak na to, że Alex znalazł szatański

sposób, aby się na nim zemścić.

– Co on dokładnie powiedział? – spytał.

Tess przesunęła dłonią po potarganych włosach. Wyglądała nie tylko na zmęczoną, lecz również złą i zafrasowaną. Najchętniej objąłby ją i pocieszył właśnie dlatego, że nie był impotentem. Tyle że ona oczekiwała od niego czegoś wręcz przeciwnego. Co za galimatias!

– Hm... – Zawahała się. – Gdy wspomniałam im, że usłyszałam o tym, poinformowali mnie, że to nie cała prawda. Tyle że kiedy zdradziłam się przed nimi z zamiarem poślubienia ciebie, żadne z nich mnie nie ostrzegło.

– Nie ostrzegli, że będę chciał się

z tobą kochać? – Owen uniósł brwi, demonstrując zdumienie. – To zdarza się żonom i mężom w wielu małżeństwach – dodał z przekąsem.

– Nie w moich – odparła udęczona Tess. – W dodatku nie spróbowałeś wykorzystać sytuacji.

Tak to jest, gdy mężczyzna postępuje jak dżentelmen, pomyślał Owen. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

– Jestem staroświecki – oświadczył.

– Jesteś pewien, że... – Tess urwała, zmieszana.

– Całkowicie. Dlaczego nie spytałaś mnie wprost, skoro potrzebowałaś takiej informacji?

– Nie chciałam być niedelikatna – odburknęła i oblała się rumieńcem.

Owena olśniło. Teresa Darent Rothbury jest wstydliva!

Zdawał sobie sprawę z tego, że zuchwałość Tess jest w dużej mierze na pokaz, ale zaskoczył go rozmiar jej naiwności i nieśmiałości. Co gorsza, wskutek polegania na plotkach została żoną mężczyzny, który nie tylko miał zdolność do skonsumowania ich małżeństwa, lecz także był do tego bardzo chętny. Należało więc wyjaśnić sprawę do końca.

– Dlaczego chciałaś mieć impotentą za męża? – zapytał.

Tess zeszywniała. Odwróciła wzrok i wbiła go w aksamitne poduchy kanapy.

– Wyjaśniłam to, gdy złożyłam ci matrymonialną ofertę – odrzekła. –

Potrzebowałam jedynie twojego nazwiska jako ochrony przed Corwenem. To miało być małżeństwo pro forma.

Owen dostrzegł ironię losu. Istotnie Tess nie ukrywała, że pragnie jedynie formalnego związku. W miarę rozwoju ich znajomości zapomniał o tym, a teraz było już o wiele za późno, aby się w tej sprawie porozumieć, choć okazało się, że właśnie to było w całej umowie najważniejsze.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – stwierdził. – Zapytałem o przyczynę. Dlaczego chciałaś mieć męża, który cię nie pożąda?

Nie patrzyła na niego, ale i tak zauważył, że zanim przybrała kamienną

minę, przez jej twarz przemknął grymas.

– Nie twoja sprawa – odparła wyniośle.

To była Teresa Darent, jaką znał wielki świat. Kobieta opanowana w każdym calu, która nie zdradza emocji. Prawie żadnych. W tej chwili nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że znęca się nad frędzlami poduszki.

– Mylisz się – zaproponował. – Jestem twoim mężem i oczekuję wspólnoty łoża i dania mi dziedzica. Takie są moje wymagania. Ponieważ nijak nie pasują one do twoich, sytuacja jest w najwyższym stopniu kłopotliwa.

Musiał jej oddać sprawiedliwość, że sztukę milczenia opanowała do perfekcji. Niewiele znanych mu osób,

nie wyłączając mężczyzn, potrafiło zdobyć się na to, by pozwolić trwać kłopotliwemu milczeniu. A już mu się zdawało, że poznał wszystkie sekrety Teresy Darent. Przypomniawszy sobie pewien moment w powozie, gdy wracali z Hampstead Wells. Najwyraźniej Tess ukrywała bolesne wspomnienie. Musiał je poznać.

– Co możesz zaproponować? – spytał.
Rozległo się pukanie do drzwi.

– Jedzenie, milordzie – oświadczył Houghton i zajrzał do biblioteki z bardzo nieufną miną, jakby się obawiał, że wpadnie w środek pola bitwy. Postawił między nimi tacę. – Jest paszтет z gołębia, sałatka z buraków, szynka i ser.

– Dziękuję, Houghton.

Owen stracił apetyt, a Tess też nie wyglądała na głodną. Na buraki spoglądała z ledwie ukrywanym obrzydzeniem.

– Co możesz zaproponować? – powtórzył Owen, gdy kamerdyner w pośpiechu opuścił bibliotekę.

– Chyba należało porozmawiać o tym wcześniej – odparła, zachowując niewzruszone opanowanie. – Teraz jest za późno, chyba że dasz się przekonać do mojego punktu widzenia. Małżeństwo pro forma ma pewne zalety. – Czubkiem języka oblizwała wargi. – Mógłbyś utrzymywać kochankę z moją pełną akceptacją.

Do diabła! To była jego noc poślubna,

a żona proponowała mu, żeby postarał się o kochankę. Niektórzy mężczyźni cieszyliby się ze związku z tak wyrozumiałą kobietą, ale Owen do nich nie należał.

– Wyjątkowo kusząca perspektywa – powiedział, nie kryjąc ironii. – Obawiam się, że chcę sypiać z żoną, nie z kochanką. To bardzo niemodne, ale taki już jestem. Poza tym kochanka nie da mi dziedzica, prawda?

Teresa potarła czoło.

– W tym nie mogę pomóc. Obawiam się, że aby zyskać pożądanego dziedzica, będziesz musiał się ze mną rozwieść. Zresztą, w tej sytuacji właściwsze będzie anulowanie małżeństwa.

– Jestem pewien, że to tylko zwiększy

liczbę plotek na mój temat. Serdecznie dziękuję, nie zamierzam podsycać dyskusji o mojej rzekomej niemocy. Jesteś bardzo szybka. Przeszłaś od małżeństwa do rozwodu i nawet nie przystanałaś na noc poślubną.

Tess była napięta niczym struna. Owen wiedział, że żona chce, aby przestał pytać i zostawił ją w spokoju. Nie zamierzał jednak spełnić jej oczekiwań, dopóki nie ujawni mu, dlaczego wzbrania się przed pożyciem małżeńskim.

Czy ona naprawdę nie rozumie, że gdyby tylko na to pozwoliła, mieliby szansę zbudować związek oparty na uczuciu? Czyżby była aż tak płytką, jak zawsze starała się pokazać? Przecież

Teresa Darent, którą zaczął poznawać, była zupełnie inna, szczodra i zdolna do miłości. Żałował, że nagle mu tego odmówiła. Tymczasem jednak siedziała obok z nieprzeniknioną miną, a on nie wiedział, jak do niej dotrzeć.

– Nie będzie rozwodu – oznajmił i wstał z kanapy.

Przytrzymała go za rękaw.

– Nie zmusisz mnie do skonsumowania małżeństwa i... – Urwała.

Owen stracił cierpliwość.

– Boże drogi, za kogo mnie masz?!

Tess nie odpowiedziała i przybrała taki wyraz twarzy, jakby znalazła się w innym świecie. Owen zrozumiał, że to, o czym myślała, nie miało z nim nic

wspólnego.

– Boisz się – stwierdził i ujrzał potwierdzenie tych słów w jej zaszczutym spojrzeniu.

– Nie! – zaprzeczyła natychmiast i jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.

– Boisz się sytuacji intymnych – obstawał przy swoim Owen.

Tess chciała małżeństwa wyłącznie na papierze, lodowaciała od pocałunku, a o jego rzekomej ułomności wstydziła się otwarcie porozmawiać. W tym momencie przypomniało mu się, co powiedziała o byłych mężach. Robert Barstow był wypróbowanym przyjacielem, Darent nieustannie pozostawał pod działaniem laudanum i pił, a przed śmiercią powierzył jej

opiekę nad swoimi dziećmi.

A Brokeby?

Lady Martindale twierdziła, że Brokeby nie miał w sobie nic z dżentelmena, jednak on źle odczytał te słowa, sądził bowiem, że Tess ochoczo uczestniczyła w występnyim życiu Brokeby'ego. Dowodziły tego choćby obrazy, które Tess tego popołudnia z taką wściekłością zniszczyła. Znał opowieści o zachowaniu Tess po śmierci Brokeby'ego, o oddawaniu się pijaństwu i hazardowi, o jej różnych szaleństwach. Teraz pojął, że nie było to rozpasanie. Ona rozpaczliwie starała się o czymś zapomnieć, wyrzucić coś z pamięci. Owena ogarnęła trwoga.

– Brokeby... – rzekł. – Co on ci

zrobił?

Tess cicho jęknęła i Owen ujął jej dłonie. Pozwoliła mu na to, nie broniła się przed jego dotykiem.

– Już cię nie skrzywdzi. Jesteś bezpieczna.

Tess pokręciła głową.

– Za późno, o wiele za późno. Mam to tutaj, w głowie.

Skrzywiła się boleśnie i Owenowi zdawało się, że jest bliska płaczu, ale tylko głęboko odetchnęła, a potem nagle zaczęła gorączkowo wyrzucać z siebie słowa.

– Nie wiedziałam o obrazach. Wydawaliśmy przyjęcie. Byliśmy świeżo po ślubie i Brokeby zabrał mnie z grupą swoich przyjaciół i ich kochanek

do domu na wsi. Wydawało mi się, że takie towarzystwo nie pasuje do naszej podróży poślubnej, ale byłam młoda i naiwna, a do tego trochę samotna, więc nie zapytałam. – Tess zmarszczyła czoło. – Brokeby musiał mi dosypać czegoś do jedzenia albo do wina. Pamiętam, że bardzo źle się poczułam, a potem wszystko zaczęło mi się mieszać.

Owen widział, ile kosztuje Tess powrót do wspomnień.

– Wiedziałam, że nie śpię, a jednak śniłam. To były koszmary, pod wpływem których człowiek się budzi, są tak okropne. Nie umiałam odróżnić snu od rzeczywistości. Pamiętam, że miałam na sobie tylko halkę, a czasem... byłam naga. Raz było mi zimno, a potem znów

gorąco. Czułam na sobie dłonie, ludzie mnie dotykali, pokazywali mnie sobie. – W jej głosie zabrzmiała nuta desperacji. – To było całkiem odczłowieczone, tak jakbym była eksponatem na wystawie. Teraz mam świadomość tego, że Melton szkicował mnie w różnych pozach, ale wtedy tego nie wiedziałam... – Głos jej zamarł, musiała przełknąć ślinę. – Chciałam się wyswobodzić, uciec. Próbowałam biec, ale potykając się, doczłapałam tylko do drzwi. Zobaczyłam smugę światła, sięgnęłam ku niej, ale ktoś ze śmiechem zatrzasnął mi drzwi przed nosem. – Odwróciła się do niego plecami. – Potem nie miałam już siły się przeciwstawić i się poddałam. Pozwoliłam im robić

wszystko, co chcieli, miałam nadzieję, że nigdy więcej się nie zbudzę.

Owen uściskał jej dłonie. Był w tej chwili cały dla niej. Teraz ważna była tylko ona, Tess.

– W końcu rzeczywiście się zbudziłam, mimo że tego nie chciałam. – Mówiła bardzo cicho, wbijając wzrok w dłonie. – Okazało się, że leżę sama we własnym łóżku. I wtedy przyszedł do mnie Brokeby. – Zrobiła chwilę przerwy. – Byłam dziewicą, więc sądzę, że na swój pokrętny sposób uważał mnie za swoją zdobycz. Przyszedł do mnie podniecony, ale przynajmniej szybko osiągnął to, czego chciał – stwierdziła oschle. – A potem już nie byłam niewinna i szybko nauczyłam się, jak

sobie z tym radzić.

– A co z innymi? – Wbrew sobie zadał to pytanie, bo w gruncie rzeczy nie chciał poznać odpowiedzi. Wiedział jednak, że musi ją znieść. Jeśli miał pomóc Tess, to potrzebował całej prawdy, nawet bardzo bolesnej.

– Brokeby był zazdrosny – powiedziała. – Chociaż chciał, żeby jego przyjaciele zobaczyli, co zdobył, i mu zazdrościli, nie zamierzał się mną dzielić. Na pewno nie wtedy. Może gdyby się znudził... – Uśmiechnęła się ponuro. – Na szczęście, zanim do tego doszło, umarł.

– Jak długo byłaś jego żoną?

– Dwa miesiące, ale jeden z nich spędził w Londynie. Wtedy uciekłam.

Pojechałam do wujostwa, ale wuj był bogobojnym wikarym i uznał, że postępuję nagannie, ponieważ łamię śluby małżeńskie. Osobiście odwiózł mnie na miejsce i oddał w ręce Brokeby'ego, by mieć pewność, że ponownie nie uda mi się zbiec od męża. Powinnam była szukać schronienia u Joanny – stwierdziła z goryczą Tess – ale ona wtedy miała poważne kłopoty. Obie wybrałyśmy niewłaściwych mężczyzn na mężów.

– I obie dostałyście za to rekompensatę – dodał Owen.

Przez chwilę zobaczył w jej oczach błysk uśmiechu i natychmiast zapragnął przywrócić uśmiech na dłużej.

– Możliwe – przyznała i znów

spowaźniała. – Po śmierci Brokeby'ego znalazłam w jego rzeczach kilka portretów i je zniszczyłam. Nie przyszło mi do głowy, że jest ich więcej. Byłam naiwna, ale nie myślałam jasno... – Wzruszyła ramionami. – Prawdę mówiąc, starałam się w ogóle o tym nie myśleć. Chciałam zatrzeć wszystkie wspomnienia związane z Brokebym, w ten sposób unicestwić jego i to, przez co przeszłam. – Oczy zaszły jej mgłą. – Wiele razy usłyszysz, że pozwalałam sobie na szalone wybryki. To dlatego, że próbowałam zapomnieć na wszystkie możliwe sposoby, ale kochanków nie miałam. – Spojrzała mu w oczy. – Nie mogłam znieść myśli o tym, że ktokolwiek będzie mnie dotykał. Pewnej

nocy Darent znalazł mnie na ulicy po balu, podczas którego za dużo wypiałam. To był porządny człowiek i niepotrzebnie zrujnował sobie zdrowie przez laudanum. Doszliśmy do porozumienia. Byłam z nim... bezpieczna.

– Nie chciał mieć cię w łóżku – domyślił się Owen.

– Nie – przyznała Tess i westchnęła. – Po śmierci Darenta zamieszkałam u Joanny i Aleksa, ale już straciłam reputację. Potem Melton wystawił te nieszczęsne obrazy. – Zobaczyła, że Owen zaciska pięści. – Zszargał mi opinię ostatecznie. Nie wybrałam się ich obejrzeć, ale świadomość wystawienia obrazów na użytek publiczności

doskwierała mi przez cały czas. Nie mogłam przed tym uciec. – Machnęła ręką. – Rozumiesz już, dlaczego chciałam mieć kolejnego męża tkniętego niemocą. Nie będę mogła zostać twoją żoną w prawdziwym znaczeniu tego słowa. – Tess spojrzała błagalnie na Owena. – Dlatego najlepiej będzie, jeśli się rozstaniemy.

Owen instynktownie zareagował sprzeciwem. Wprawdzie nie oznajmił go głośno, lecz nie zamierzał się zgodzić na propozycję Tess. Zło już się nie odstanie, ale liczył na to, że z czasem, pod warunkiem że okaże Tess dużo cierpliwości, serdeczności i wyrozumiałości, zdoła przywrócić jej wiarę w miłość między kobietą

a mężczyzną. Postanowił, że nie pozwoli żonie odejść i do skutku będzie o nią walczył.

– Porozmawiamy o tym rano – powiedział łagodnie.

Tess wydawała się ledwie żywa. Nie mógł zostawić jej w bibliotece, bo ogień wygasł. Na piętrze czekał przygotowany dla niej apartament. Tam wniesiono bagaże przywiezione z Bedford Square. Stały rzędami, czekając, aż zostaną rozpakowane. Owen nie miał pojęcia, czy widok dobytku podziała na Tess krzepiąco, czy wręcz przeciwnie, skieruje jej myśli ku miejscu, które prawdopodobnie nadal uważała za bezpieczne miejsce. Potrafił sobie wyobrazić, jak w środku nocy Tess

ucieka z jego domu. Może więc lepiej byłoby zaprowadzić ją do jego apartamentu? Tam nic nie przypominałoby jej o tym, że znalazła się w obcym miejscu, gdzie już na początku spotkała się ze strony jego rodziny z jawną obrazą. W każdym razie biblioteka była wykluczona. Z tą myślą wziął Tess na ręce, by zanieść ją na górę. Ledwie to uczynił, zeszywniała i zaczęła oddychać dwa razy szybciej.

– Spokojnie – przemówił do Tess jak do spłoszonej klaczki. – Nic się nie dzieje. Zaniosę cię na górę, żebyś mogła odpocząć.

Wciąż słyszał jej przyspieszony oddech. Sztywność ciała nie ustąpiła. Niemal zdruzgotany, Owen pomyślał, że

jeśli żona nie może znieść nawet jego dotyku, to znaleźli się w o wiele trudniejszej sytuacji, niż sądził początkowo. Po chwili zauważył, że zaczęła oddychać spokojniej i nie próbowała protestować, kiedy niósł ją po schodach.

W sypialni posadził ją na łóżku.

– Zawołam pokojówkę – zdecydował.

– Pomoże ci się rozebrać. Suknia jest cała zaplamiona farbą.

Nieznacznie skinęła głową.

Pokojówka zjawiała się natychmiast.

Owen nie był pewien, czy nie podsłuchiwała pod drzwiami, co wydawało się prawdopodobne. Spojrzała ze szczerym współczuciem na Tess.

– Zajmę się panią, milordzie –
powiedziała. – Milord może mi zaufać.

Owen skinął głową.

– Dziękuję. Jak się nazywasz?

– Margery Mallon, milordzie.

– Dziękuję, Margery.

Wbrew zwyczajowi nie znosił zwracać się do służby po nazwisku i nawet Houghtona nazywałby Haroldem, gdyby nie uważał, że wzbudziłyby niezadowolenie kamerdynera.

– Proszę mnie zawiadomić, kiedy lady Rothbury zaśnie – polecił. – Chciałbym posiedzieć przy niej, by mieć pewność, że wszystko z nią w porządku.

– Jak milord sobie życzy – odparła Margery.

Owen obrzucił Tess zatroskanym spojrzeniem. Już wiedział, z jakiego powodu pomagała Harriet Knight, Emmie Bradshaw i innym zagubionym, zdradzonym kobietom. Dlaczego ofiarowywała pieniądze na poratowanie kobiet i dzieci, będących ofiarami kaprysów mężczyzn, jak również skąd się wzięła jej niezwykła determinacja, by uchronić Sybil Darent przed poślubieniem Corwena, starego lubieżnika.

Wściekłość, która targała nim wcześniej, wróciła z pełną mocą. Brokeby doprawdy miał szczęście, że znalazł się na tamtym świecie. Żyli jednak inni uczestnicy znamienego w skutki przyjęcia czy raczej orgii

w wiejskiej rezydencji. Miał ochotę wytropić ich co do jednego i pozabijać, a zwłaszcza człowieka, który zamknął drzwi i zostawił Tess w potrzasku. Nie był pewien, czy potrafi powściągnąć gniew. Uznał, że powinien ich dopaść po to, aby zapłacili za to, co zrobili.

Wyczerpana Tess spała dość długo, ocknęła się jednak na krawędzi koszmaru, nie całkiem świadoma, gdzie się znajduje. Przez moment po omacku badała mrok. Czowała, jak rośnie w niej krzyk, nagle jednak jej oczom ukazały się pokój, dopalająca się świeca i niewielki ogień w kominku. Wnętrze było surowe, tak mogła wyglądać sypialnia mężczyzny, który zadowalała się

tym, co niezbędne, a dużą część życia spędza, podróżując. Był to pokój Owena, w czym upewnił jego zapach wydobywający się z pościeli.

Jeszcze niedawno chciała się uwolnić od męża, uciec przed nim i przed swoimi lękami, aby nadal polegać jedynie na własnych siłach, bo do tego była przyzwyczajona. Tymczasem nagle poczuła, że potrzebuje Owena, jego siły, krzepiących słów i gestów. Nie miała jednak prawa się tego domagać, bo nie mogła mu niczego ofiarować w zamian.

Znów naszedł ją bezkształtny, mglisty koszmar. Mimo woli zaszlochała i w tym momencie znalazł się przy niej Owen. Odgarnął jej włosy z twarzy, otoczył ramionami i trzymał delikatnie

w objęciach, tak jak tego zawsze pragnęła.

– Miła – szepnął, wtulając twarz w jej włosy. – Cicho. Jesteś bezpieczna.

Pojawił się właśnie wtedy, gdy go potrzebowała. Fizyczna bliskość wciąż ją krępowała. Przemknęło jej przez myśl, by go odepchnąć, ale instynktownie przylgnęła do niego, wtuliła twarz w jego koszulę, wciąż spragniona pocieszenia i poczucia bezpieczeństwa. Wdychała jego zapach, dobrze już znany i dodający otuchy. Wiedziała przecież, że Owen jej nie skrzywdzi.

Po chwili okrył ją kocem, bo w pokoju było zimno, mimo że palił się ogień w kominku, po czym ponownie ją

ukoił.

– Bezpieczna – szepnęła i poczuła wargi Owena muskające jej czoło.

Nie była w stanie dłużej opierać się zmęczeniu. Zmorzył ją sen.

Gdy Tess zbudziła się ponownie, odkryła, że Owen leży tuż obok. Ich usta znajdowały się o centymetry od siebie, jego oddech muskał jej skórę. Przez koszulę nocną czuła, że Owen z pewnością nie należy do mężczyzn tkniętych niemocą. Głośno nabrała tchu i tym go zbudziła. Jego rysy, we śnie łagodne, natychmiast nabrały ostrości, a ze spojrzenia wyzierało pożądanie. Zmartwiała. Wtedy Owen uśmiechnął się i musnął wargami jej usta, po czym ułożył się na plecach, wsuwając rękę

pod głowę.

– Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem – powiedział.

Tess próbowała zebrać myśli. Powoli się uspokajała.

– Myślałam, że... – Urwała.

– ...będę chciał wziąć cię siłą? – dokończył. – Już ci mówiłem, że nie zwykłem zmuszać kobiety do przyjmowania moich zalotów, jeśli ona nie ma na to ochoty.

Rzeczywiście, przypomniała sobie Tess, wcześniej ją o tym zapewniał, ale powściągliwy mężczyzna wciąż był dla niej rzadko spotykaną nowością.

– Byłeś podniecony i... – Ponownie urwała zdanie i się zaczerwieniła.

Zakłopotana, uprzytomniła sobie, że

wcześniej nie zdarzało jej się pozostawiać niedokończonych wypowiedzi. Zazwyczaj starała się wyrażać jasno i zdecydowanie.

– Jesteś piękną i pociągającą kobietą, Tereso, z czego niewątpliwie zdajesz sobie sprawę. Nie zamierzam ani kłamać, ani przeproszać. – W jego głosie dało się słyszeć rozbawienie. – Zresztą w ogóle do niczego mnie to nie zmusza.

– Hm.

Tess miała wrażenie, że nie jest sobą. Gdzie się podziała światowa dama, trzymająca mężczyzn na dystans i jednocześnie umiejąca stawić im czoło? Kobieta panująca nad swoimi emocjami? Niedawno popadła

w rozpaczliwą wściekłość w galerii Meltona, a teraz doznawała wielu sprzecznych uczuć, przy czym, o dziwo, lęk nie wysuwał się na pierwszy plan. Z wahaniem przytuliła się delikatnie do Owena, na co natychmiast zareagował, co z kolei sprawiło, że momentalnie się odsunęła.

– Przepraszam – powiedziała zawstydzona.

– Nic się nie stało – zapewnił ją Owen, po czym objął. – To tylko wynik zaskoczenia. Cieszę się, że obdarzyłaś mnie zaufaniem.

Po tych słowach Tess ponownie się odprężyła, położyła głowę na ramieniu Owena i poczuła, że pachnie jak woda deszczowa z domieszką czegoś, co było

dla niego charakterystyczne. Leżała tak długo. Przyglądała się mężowi i nasłuchiwała jego oddechu, gdy zasnął. Cieszyła się bliskością, i to było dla niej odkrycie. Stopniowo jednak doznania się zmieniały. Ośmieliła się, a pozbywszy się lęku, odkryła, że obecność męża rozbudziła w niej pragnienie.

Leżał głęboko uspiiony, oczy miał zamknięte. Ostrożnie dotknęła wargami jego brody. Skóra okazała się miękka, ciepła, lekko drapiąca od świeżego zarostu. Zdobywszy się na wielką odwagę, rozchyliła wargi i dotknęła skóry czubkiem języka. Następnie wzięła w palce kosmyk włosów i zaczęła się napawać ich miękkością.

Nabrała ochoty na pocałunek. Była ciekawa, czy potrafiłaby się na to zdobyć. Prawdę mówiąc, miała ochotę poznać dotykiem całe gładkie, krzepkie i umięśnione ciało męża. Jednak to, co ją zafascynowało i obudziło tęsknotę za spełnieniem, jednocześnie przywoływało lęk. Najpierw musiała przełamać bariery stawiane przez umysł, a dopiero potem mogła pozwolić, by ciało znalazło zaspokojenie.

Te jej opory powinni jednak przełamać razem. Wiedziała, że może liczyć na pomoc Owena, o ile tylko mu zaufa. Pochyliła się nad nim i bardzo delikatnie go pocałowała, a on wymamrotał coś sennie i mocniej ją objął. Wreszcie mogła spać bez żadnych

koszmarów.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Książę Farne i lord Grant chcą się zobaczyć z milordem – zaanonsował bardzo sztywno Houghton i wykonawszy ukłon, wpuścił do salonu Aleksa i Garricka.

Owen zastanawiał się, co tym razem zrobił, że zasłużył na dezaprobatę kamerdynera. Może złamał zasadę etykiety dotyczącą zachowania wicehrabiego świeżo po ślubie? Może przejście do biblioteki o szóstej rano i wypicie pokaźnej ilości brandy należało do czynności zakazanych? Inna sprawa, że o ile Owen znał londyńską socjetę, należało raczej przypuszczać, że

takie rozwiązanie powinno zyskać szerokie poparcie. On w każdym razie był pewien tylko jednego. Zostawił Tess śpiącą pod czujnym okiem Margery, ponieważ uznał, że jak na jedną noc wystarczy mu okazywania hartu ducha wobec zdradliwego ciała.

Naturalnie, był zachwycony, że może leżeć przy Tess, trzymając ją w objęciach, w niczym jednak nie umniejszało to dolegliwości sytuacji. Uznał za sukces zdobycie zaufania żony, ale jej niewinne zapowiedzi pieśczoć długo utrzymywały go w stanie najwyższej czujności. Na szczęście w końcu zasnęła. Wiedząc, że nie będzie mógł zaspokoić pożądania, wstał i poszukał pocieszenia w brandy. Teraz

była dziesiąta rano, a on czuł się okropnie, tak bardzo bolała go głowa.

– Postanowiliśmy sprawdzić, jak się miewasz po dramacie, jakim było weselne śniadanie – oznajmił Alex. Usiadł i nalał sobie kawy. – Wyglądasz upiornie – dodał.

– Nie spałem – stwierdził krótko Owen.

– Gratulacje – odezwał się Garrick.

– Nic z tych rzeczy. – Owen spojrzał na niego, po czym przeniósł wzrok na Aleksa. – Co, u diabła, miałeś na myśli, Grant, mówiąc mojej żonie, że jestem impotentem?

Alex omal nie zakrztusił się kawą.

– Jasny gwint! – rzucił Garrick i wycofał się do drzwi. – Chyba

pozwolę ci wytłumaczyć się w cztery
oczy, Grant.

– Nie znałem cię od tej strony, Farne,
nie sądziłem, że jesteś tchórzem –
odparł Alex.

– Zostań – zażądał Owen, czubkiem
stopy odsuwając krzesło. – Mogę
potrzebować cię jako sekundanta, Farne.

Alex zerknął na niego z ukosa.

– Czy masz podły humor z powodu
kaca? – zapytał i sięgnął do taśmy
dzwonka. – Jestem przekonany, że
Houghton ma środek zaradczy na taki
stan.

– Nie jestem pewien, czy kamerdyner
może pomóc na niezaspokojone
pożądanie – wtrącił Garrick. – To
wygląda na ostry przypadek.

Owen spojrzał na niego z niechęcią.

– Zamknij się, Farne – rzucił groźnie.

– Tess sądziła, że jesteś impotentem, a ty dowiedziałeś się o tym... problemie... dopiero po ślubie – stwierdził Garrick.

– Nic podobnego – zaprzeczył Owen i przeniósł wzrok z Garricka, broniącego się przed wybuchem śmiechu, na Aleksa. – Do diabła, co mogę powiedzieć? Jestem dżentelmenem, do tego staromodnym. Byliśmy zaręczeni z lady Darent zaledwie dwa tygodnie. To oczywiste, że nie próbowałem jej uwieść.

– Wszystko w porządku, Rothbury. – Alex poklepał go po ramieniu. – Przed nami nie musisz się tłumaczyć.

– To wszystko twoja wina, Grant –
zarzucił mu Owen.

– A co miałem uczynić?! – spytał
oburzony Alex. – Wspomnieć przed lady
Darent, że na wypadek, gdyby nie
zdawała sobie z tego sprawy, chcę
zwrócić jej uwagę, że nie jesteś
impotentem? – Pokręcił głową. – Nie
mam zwyczaju rozmawiać o miłosnych
podbojach moich przyjaciół, Rothbury.

Nastąpiła krótka przerwa
w rozmowie, ponieważ Houghton
przyniósł tacę z przekąskami.

– Mam tu lekarstwo na złe
samopoczucie po brandy, milordzie –
oświadczył kamerdyner. – Poprzednik
milorda, zmarły wicehrabia Rothbury,
był przekonany o jego uzdrawiających

własnościach.

– Nie miałem pojęcia, że mój poprzednik zaglądał do kieliszka – powiedział Owen. – Chyba nie był aż takim nudziarzem, za jakiego go miałem.

Wypił porcję leku. Ciecz miała ohydny smak i podziw Rothbury’ego dla poprzednika ponownie wzrósł.

– Jestem pewien, że poradzisz sobie z tym problemem, Rothbury – oznajmił Garrick, gdy drzwi zamknęły się za Houghtonem.

– A ja nie bardzo – wyjawiał Owen, choć po ostatniej nocy był przekonany, że niewielka nadzieja istnieje. – Tym problemem jest Brokeby.

Alex i Garrick wymienili spojrzenia.

– Brokeby... Joanna zastanawiała

się... – Alex urwał. – Koszmar – dodał po dłuższej chwili.

– Istotnie – przyznał oschle Owen.

– Zapomniałem, że lady Darent była żoną Brokeby’ego – powiedział Garrick.

– To się tak szybko skończyło.

– Nie dość szybko – stwierdził ponuro Owen.

– Co się stało? – spytał Alex.

– Wystawa – skwitował Owen. Nie zamierzał ujawniać wszystkiego, ale potrzebował pomocy. – Teresa o niczym nie wiedziała. Brokeby ją uspił lub wprowadził w narkotyczne otumanienie. Wtedy Melton namalował te swoje obrazy.

– Chryste, Rothbury! – Alex zrobił wielkie oczy.

– Zamierzam odszukać przyjaciół Brokeby’ego, który też brał udział w tej rozpustnej zabawie – wyjaśnił Owen. – Znajdę ich i pozabijam co do jednego.

– Nie radzę ci zrealizować tego planu. Rozumiem twoje uczucia, ale... – Alex pokręcił głową, choć spoglądał na przyjaciela z wyraźnym współczuciem.

– Jeśli mi powiesz, że nie warto, to chyba cię uderzę – wycedził Owen.

– Warto po tyśiąckroć ze względu na Tess, ale to nie zmieni przeszłości, bo co się stało, to się nie odstanie – orzekł Alex. – Posłużenie się przemocą wyszło ci kiedyś bokiem, prawda? Kosztowało cię to patent, a omal nie straciłeś wszystkiego.

Owen zerwał się na równe nogi.

– O ty...

– Nie wyzywaj mnie, bo niczemu to nie służy. Potrzebowałeś czternastu lat, żeby się z tym uporać. Nie pozwól, żeby znowu wzięło nad tobą górę – poradził serdecznym tonem Alex.

Zmierzył przyjaciela spokojnym spojrzeniem i nie oderwał go od jego twarzy, póki Owen z powrotem nie usiadł.

– Niech cię diabli, Grant, dlaczego zawsze masz rację?

– Ponieważ byłem w tej samej sytuacji – wytłumaczył. – Kiedy dowiedziałem się od ciebie, co David Ware zrobił Joannie, chciałem go zabić. Uświadomiłem sobie jednak, że tak naprawdę ważne są uczucia Joanny, nie

moje. Jesteś jedynym człowiekiem, który może pomóc Tess, nie zniszcz więc tej szansy, pozwalając się aresztować za morderstwo.

Owen przeciągle westchnął.

– Jesteś cholernie przekonujący.

– Zresztą większość przyjaciół Brokeby’ego nie żyje – wtrącił Garrick.
– Kilka lat temu Carver skreślił sobie kark w drodze do Brighton. Helmsleya zastrzelił jego łowczy, a Towton został stratowany podczas wyścigów w Newmarket.

– Wszyscy na to zasłużyli – orzekł stanowczo Owen.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Tess. Była ubrana w różową suknię dzienną, w której wyglądała

świeżo i młodo. Owen ucieszył się, widząc najwyraźniej wypoczętą żonę, a jeszcze bardziej z tego, że poszukała jego towarzystwa. Tymczasem Garrick z Alekssem wymienili porozumiewawcze spojrzenia i obaj szybko się pożegnali i znikli za drzwiami.

– Czy ich wypłoszyłam? – spytała Tess nieco zdezorientowana. – Nie zamierzałam... – Zamilkła, gdy Owen ujął ją za rękę.

– Chcieli się wykazać subtelnością i dlatego zostawili nas samych – powiedział z uśmiechem.

– Ach, subtelni. – Tess skinęła głową.
– Rozumiem.

– Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Owenowi wydawała się onieśmielona. Ucałował jej dłoń i wyczuł, że Tess zadrżała, ale chyba nie ze strachu. Przypomniawszy sobie, jak w nocy z ufnością się do niego przytuliła. To był fundament, na którym mógł budować przyszłość ich małżeństwa.

– Co dalej? – spytała z uśmiechem.

Owenowi spodobało się, że jest gotowa podejść do problemu wprost. Była odważna, o czym zresztą wcześniej się dowiedział.

– Jesteśmy i pozostaniemy małżeństwem – odparł.

Cień przemknął jej po twarzy.

– Powiedziałam wczoraj, że jeśli chcesz sprowadzić na świat dziedzica,

powinieneś się ze mną rozwieść albo unieważnić akt małżeństwa. Nic się nie zmieniło, nadal tak uważam.

– Tereso, to najgorszy plan od twojego ostatniego złego planu.

– Czy chodzi o pomysł złożenia ci oferty matrymonialnej ze świadomością, że jesteś impotentem? Przyznaję, to rzeczywiście był bardzo marny plan.

– Pod pewnymi względami nie – odparł Owen i przyciągnął Tess odrobinę bliżej. – Podoba mi się, że jesteśmy małżeństwem, i dlatego nie będziemy się rozstawać ani poprzez rozwód, ani unieważnienie ślubu. – Zamilkł, po czym dodał: – Pokażę ci, jakie przyjemności i korzyści zyskuje kobieta, której mąż nie jest impotentem.

Tess nerwowo drgnęła, ale w jej oczach pojawił się błysk zainteresowania, co niezmiernie ucieszyło Owena.

– Jesteś bardzo pewny siebie, skoro sądzisz, że potrafisz sprawić, że zmienię zdanie w tej kwestii.

– Owszem, jestem – przyznał Owen.

Tym razem Tess uśmiechnęła się szeroko i zarazem uroczo.

– Podoba mi się twoja pewność siebie – powiedziała. – Jedno z nas powinno być przekonane o słuszności własnego postępowania.

Owen zapragnął namiętnie pocałować żonę, ale odwołując się do rozsądku, stłumił w sobie tę chęć.

– Proszę, pozwól mi działać –

powiedział, żeby Tess nie sądziła, że ją do czegokolwiek przymusza. – Zapewniam cię, że złe doświadczenia nie muszą się powtórzyć.

– Wiem – odrzekła, chociaż wciąż wydawała się niezdecydowana.

Owen ostrożnie przyciągnął ją do siebie, tak że ich ciała się zetknęły. Nie próbowała się odsunąć. Położyła mu rękę na piersi przysłoniętej koszulą.

– Tereso – zaczął poważnym tonem Owen – w czasie poprzedzającym ślub zaczęliśmy się poznawać i w efekcie polubiłaś mnie, prawda? Przyznaj to, proszę.

Zmierzyła go dość nieufnym spojrzeniem i nie odpowiedziała. Owen zrozumiał, że musi się przed Tess

otworzyć.

– Ja też cię polubiłem, i to bardzo. Jak sądzisz, z jakiego powodu przychodziłem codziennie w odwiedziny? Przecież nie dlatego, że chciałem wymusić na tobie wyznanie, że karykatury wyszły spod twojej ręki, a ty jesteś Jupiterem. Nawet nie dlatego, że potrzebowałem twoich pieniędzy. – Zamilkł. „Lubić” wydało mu się bardzo bladym słowem w tej sytuacji. – Uwielbiałem spędzać z tobą czas – podkreślił.

– Pieniędźmi nie pogardziłeś – odezwała się wreszcie, ale bez nagany w głosie, za to z uśmiechem.

– Owszem – przyznał, odwzajemniając uśmiech – ale...

Przytknęła mu palce do warg.

– Ja też bardzo cię polubiłam – wyznała Tess, a Owen poczuł się tak, jakby nagle zza chmur wyszło słońce.

– I zaczęłaś mi ufać, prawda?

Nieznacznie skinęła głową, opuszczając rękę, a Owena ogarnęła ulga.

– Wczoraj wieczorem – ciągnął – obdarzyłaś mnie zaufaniem, chociaż byłaś wyczerpana i nie pozbyłaś się obaw. Obiecuję, że nigdy się na mnie nie zawiedziesz.

Znów skinęła głową.

– Wczoraj wieczorem, gdy... – przygryzła wargę – ... gdy cię pocałowałam... Spałeś?

– Nie – odparł szczerze Owen. Nie

chciał udawać, że nie pojmuje, czego pragnie się dowiedzieć Tess. – Ani przez chwilę. Chciałaś się przekonać, jakie to wrażenie – odgadł. – Nie ma w tym nic złego. Postanowiłem, że pozwolę ci to sprawdzić.

– Rozumiesz mnie – szepnęła.

– Tak – przyznał Owen. – Jesteś zadowolona, lecz zarazem się boisz. To naturalne. – Krzepiaco uścisnął jej dłoń. – Obiecuję nie uczynić niczego, czego nie będziesz sobie życzyć. Wystarczy jedno słowo i przestanę.

Przyjrzała mu się uważnie i Owen uznał, że rozważała, co mógłby jej zrobić. Znowu było w tym więcej zaniepokojenia niż strachu. Nieoczekiwanie dla niego zdecydowała:

- Niech będzie. Kiedy zaczynamy?
- Zaraz – odparł Owen.

Tess zastanawiała się, czy przypadkiem nie oszalała. Gdy Owen zapowiedział, że nie tylko pozostaną mężem i żoną, lecz w dodatku postara się, aby ona była zadowolona z małżeńskiego pożycia i czerpała z niego przyjemność, nie sądziła, że zaczną od odwiedzin na pokładzie „Wiedźmy morskiej”. Tymczasem właśnie stała na brukowanym nabrzeżu w Greenwich. Trzewiki miała brudne, w powietrzu unosił się zapach ryb i gnijących wodorostów, a w dodatku zupełnie sobie nie wyobrażała, jak dostanie się na pokład statku, który

kołysał się przed nią na kotwicy.

„Wiedźma morska”, wielka miłość Owena. Tess pomyślała, że ma w niej poważną rywalkę. Naturalnie, powinna była przewidzieć, że pomysł Owena na romantyczne zaloty będzie bardzo oryginalny.

Co mogło być bardziej przyzwoitego niż zabiegi o zdobycie przychylności żony? Na myśl o zalotach przebiegł ją jednak lekki dreszcz. Wiedziała, że w tym, czego pragnie od niej Owen, nie ma ani krzty przyzwoitości i ku jej zdumieniu, była coraz bardziej ciekawa, co ją czeka. Po dawnych koszmarnych doświadczeniach do niedawna była jak najdalsza od zamiaru nawiązania intymnych stosunków z mężczyzną. Teraz

odkryła, że być może ich zapragnię nie tylko dlatego, że jeśli nie spróbuje być prawdziwą żoną Owena, będzie musiała od niego odejść. Miała szczerą chęć skończyć z uciekaniem, a przede wszystkim nabrała zaufania do męża.

„Wiedźma morska” była bardzo ładnym, niedużym żaglowcem. Tess widziała to, mimo że zupełnie nie znała się na niczym, co miało związek z morzem.

– Jak dostaniemy się na statek? – spytała.

– Bardzo łatwo – odparł Owen, wziął ją na ręce i przeniósł po chwiejnym trapie, a po chwili postawił na deskach pokładu.

– Bardzo przepraszam – rzekł

z uśmiechem, wciąż lekko podtrzymując ją pod łokieć. – Tak było najłatwiej. Uniknęliśmy niepotrzebnych dyskusji.

Tess weszła za nim przez małe drzwiczki do wąskiego korytarza. Przebywanie w ciasnej przestrzeni sprawiło, że silniej odczuła fizyczność rosnącego męża.

– Teraz na dół – zarządził Owen.

Zszedł po kilku stopniach i znikł w ciemności. Tess spojrzała w głąb czeluści i zobaczyła, że mąż się uśmiecha.

– Jak, u licha, mam tam zejść?

– Proszę się obrócić i spróbować tyłem.

W połowie wąskich drabiniastych schodków z ulgą poczuła rękę Owena na

talii. Mąż uniósł ją i zręcznie postawił na podłodze.

– Kabina kapitana – oznajmił Owen, otwierając drzwi.

– Jaka mała! – zdziwiła się Tess. – Jak mogłeś... – Urwała, gdy uświadomiła sobie bieg swoich myśli. – Jak mogłeś się tu poruszać? – dokończyła.

Uśmiechnął się przewrotnie.

– Na morzu człowiek przyzwyczaja się do tego, żeby wykorzystywać każdy skrawek przestrzeni – wyjaśnił i ruszył korytarzem.

Tess wyczuła, że męża ogromnie cieszy bytność na żaglowcu, chociaż stał on na kotwicy. Ciekawe, pomyślała, jak Owen wyglądał i funkcjonował jako

kapitan, odbywając dalekie morskie podróże. Próbowała sobie wyobrazić jego wyprawy, ale nie bardzo to się jej udało, bo do tej pory niewiele podróżowała. Poruszała się w granicach Anglii. Nawet Szkocja wydawała się już zbyt odległa i barbarzyńska, by mogła ją odwiedzić. Natomiast Owen był nie tylko podróżnikiem, ale i odkrywcą, który zmienia mapy świata. Rozumiała, jak bardzo skrepowany musi czuć się teraz, z dala od morza, szerokiej przestrzeni ograniczonej odległym horyzontem, mając w swojej pieczy majątki ziemskie.

– A tu mesa – wyjaśnił Owen i otworzył kolejne drzwi.

Pomieszczenie pachniało kurzem

i smołą. Było bardzo skąpo umeblowane, pośrodku znajdował się w nim jedynie okrągły drewniany stół z przystawionymi kilkoma krzesłami. Na półce wpuszczonej w boazerię stało kilka zniszczonych książek, leżał też komplet szachów, chyba z kości słoniowej.

– Z wielorybich fiszbinów – wyjaśnił Owen, gdy podążył za jej spojrzeniem. – Twoja siostra bardzo dobrze gra w szachy i zapędza Aleksa w kozi róg.

– Wuj nauczył nas grać – powiedziała Tess i przesunęła palcami po szachownicy. – Ja specjalizowałam się w oczku.

– Musimy kiedyś zagrać – odparł Owen i spojrzał na nią tak, że zaparło

jej dech w piersi.

– Doszły mnie słuchy, że nie zwykłeś przegrywać.

– Słyszałem to samo o tobie. Krążą plotki, że oszukujesz, bo to niemożliwe, żeby komuś tak dopisywało szczęście.

Tess ostrożnie przestawiła hetmana na szachownicy.

– Nie oszukuję. Po prostu umiem sobie wyobrazić wszystkie karty i je liczę.

Na twarzy Owena pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Niektórzy nazywają to oszukiwaniem.

– Mam dobrą pamięć – sprzeciwiła się Tess.

– I w efekcie spory majątek – dodał Owen, a po chwili uniósł w jednej dłoni

butelkę, a w drugiej dwie szklaneczki. – Cieszę się, że to znalazłem. Pewnie tymczasem wspaniale dojrzało.

– Cokolwiek to jest – odparła Tess, mierząc butelkę nieufnym wzrokiem – wygląda mało apetycznie.

– Nazywa się *Bumbo*. - Owen przetarł szklaneczki rękawem surduta i je napełnił. – Rum, woda, limonka, cukier i gałka muskatołowa. Ulubiony napój piratów.

Uniósł szklaneczkę do toastu.

– Za hazardzistkę.

Tess wypiała łyczek i omal się nie udławiła. Napitek był piekielnie mocny, smakował równie paskudnie, jak wyglądał, był słodkawy, a mimo to nieprzyjemnie ostry. Na wszelki

wypadek szybko usiadła na krześle, bo po pierwszym łyku ugięły się pod nią kolana.

– Jednak byłeś piratem – powiedziała.

Owen pokręcił przecząco głową. Dostrzegła błysk w jego oczach.

– Nigdy – odparł szorstko. – Zawsze pływałem w majestacie prawa. Tam, gdzie prawo nie działa, panuje chaos.

– Rzeczywiście wyglądasz raczej na kapitana floty wojennej – orzekła Tess.

– Nie prezentujesz się jak Patrick Devlin, nie nosisz perłowych kolczyków ani haftowanych złotem kamizelek.

Machinalnie wypiała kolejny łyk. Tym razem napój trochę jej smakował, wydawał się bardziej korzenny i mniej palący.

– Ale to właśnie jest w tobie niebezpieczne – dodała, cedząc słowa.

– Co takiego? – zainteresował się Owen.

Siedział nieruchomo i wodził wzrokiem po jej ciele, od czego natychmiast zrobiło jej się gorąco.

– Opanowanie. Do tego jesteś bezlitosny, zdecydowany i... potrafisz cierpliwie czekać na to, co chcesz zdobyć lub osiągnąć.

– Zdziwiasz mnie, Tereso. Zdążyłaś dobrze mnie poznać.

Opróżniła szklaneczkę do dna. Czuła się coraz dziwniej. Oślepiające zimowe słońce wisiało nisko nad wodą, żaglowiec lekko się kołysał, a ona miała wrażenie, że dookoła niej wszystko

płynie.

– Dlaczego mnie poślubiłeś? – spytała nagle. Miała świadomość, że mocny napitek rozwiązał jej język, ale nie potrafiła się powstrzymać. – Czy tylko dla pieniędzy?

Owen nie odpowiedział od razu, ale ani na chwilę nie oderwał wzroku od jej twarzy.

– Ożeniłem się z tobą, bo cię pragnąłem i wciąż pragnę – odparł szczerze.

Ta odpowiedź wstrząsnęła Tess, ale cóż, chciała się dowiedzieć. Owen nie zamierzał niczego ukrywać, musiała więc stawić czoło jego pożądaniu. Napełniła ponownie szklaneczkę i beztrąsko wychyliła ją do dna.

– Nie powinieneś – oceniła, nie patrząc na męża.

– Pragnąć ciebie? – spytał cicho.

Gdy ponownie popatrzyła na Owena, przekonała się, że jego spojrzenie prawie parzy.

– Nie mogę obiecać... – Urwała, bo zaschło jej w ustach.

Przyjemne oczekiwania nagle się ulotniły, ekscytacja wygasła w konfrontacji z brutalną rzeczywistością. Mąż jej pragnął, ale ona, jak się okazuje, wcale nie była pewna, czy potrafi znieść bliskość i czy jednak nie ucieknie.

– Mogę poczekać – zapewnił Owen, chociaż jego wyraz twarzy zadawał kłam tym słowom.

– Nie powinieneś na mnie czekać – powiedziała. Chciała, żeby to zrozumiał. – Mogę nigdy nie stać się żoną, jakiej pragniesz. – Przełknęła gulę, która podeszła jej do gardła. – Czasem mam wrażenie, że Brokeby trwale mnie uszkodził.

Owen powoli wstał. Ujął ją za rękę i delikatnie podniósł z krzesła.

– Rzecz w tym, czy chcesz raz na zawsze odciąć się od ciężającej ci przeszłości – powiedział łagodnie.

Tess była zadowolona, że Owen ją podtrzymuje, ponieważ kręciło się jej w głowie, a nogi miała jak z waty.

– Myślę, że tak – szepnęła.

– Dziś rano obdarzyłaś mnie zaufaniem – zauważył. – Cieszę się, że

nic się nie zmieniło.

– Chcę tego, a jednocześnie się boję.

– Mnie nie musisz się bać. Kilka razy obiecałem, że nie uczynię niczego wbrew twojemu życzeniu. Uwierz, że nigdy cię nie skrzywdzę. Czy zgodzisz się, żebym teraz cię pocałował? Tylko raz. Mogę?

– Zawsze uprzejmy – zdołała wybąkać. – Nie bierzesz tak po prostu tego, czego pragniesz.

Owenowi pociemniały oczy, a Tess zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinna wdawać się z nim w niebezpieczne gry, gdy nie ma pewności, iż zdoła dotrzymać mu kroku.

– Nie – odparł sztywno. – Zawsze najpierw pytam.

Tess poczuła znany jej już dreszczyk emocji. Czy okaże się, że można łatwo zapomnieć o bolesnych przeżyciach, zwyczajnie odesłać je w niepamięć? – zadała sobie w duchu pytanie. Z jej doświadczenia wynikało, że niestety nie. Z tą myślą wróciły do niej złe przeczucia. Podjęła grę, bo przy Owenie czuła się bezpieczna. Nie pozbyła się jednak przekonania, że gdy przyjdzie co do czego, lęk ją sparaliżuje i odbierze jej wszelką przyjemność.

– Proszę o dalsze zaufanie. – Leciutko pogłaskał ją po policzku. – Proszę zamknąć oczy.

Usłuchała go. Serce biło jej w przyspieszonym rytmie, ale nie z ciekawości ani oczekiwania, a jedynie

z obawy. Wiedziała, że dotyk warg Owena będzie delikatny i że ona w najlepszym razie nie poczuje niczego, a w najgorszym odskoczy z krzykiem.

Tymczasem Owen przesunął kciukiem po jej dolnej wardze, a gdy zaskoczona głośno nabrała powietrza, nakrył jej usta swoimi wargami. Sztywno tkwiła w jego ramionach ze świadomością, że narasta w niej rozpacz, bo nie czuła niczego. Owen całował ją tak delikatnie, z takim oddaniem, aż zachciało jej się płakać z poczucia bezsilności wobec własnego braku reakcji. Tak atrakcyjny mężczyzna jak jej mąż z pewnością był przyzwyczajony do kobiet, które swoim zachowaniem wyrażały nie tylko przyzwolenie, ale zadowolenie lub

namiętność.

Owen cofnął usta i Tess uznała, że zamierza zrezygnować. Poczowała się pusta, jakby opuściły ją nadzieje i oczekiwania. Tymczasem wargi Owena powróciły i gdy znów zaczęły muskać jej usta, nagle poczuła, że coś się w niej budzi. Trudno było jej zrozumieć, co właściwie się dzieje, ale przeszył ją dreszcz i usłyszała westchnienie, które, o dziwo, sama wydała. Mimo woli rozchyliła wargi i, ku swemu zdziwieniu, skonstatowała, że lgnie do Owena. Znów ją pocałował, tym razem jednak trochę namiętniej, a Tess odniosła wrażenie, że się uniosła, a świat wokół niej zaczyna wirować.

Chwilę potem było po wszystkim.

Owen puścił ją tak gwałtownie, że musiała przytrzymać się krawędzi stołu, żeby nie stracić równowagi.

– Przepraszam. – Dyszał tak, jakby właśnie opuścił pole bitwy. – Spodziewałem się odrzucenia.

– Nie umiałeś poradzić sobie z zaproszeniem? – spytała ze zdziwieniem.

Nieoczekiwanie odkryła w sobie siłę, a widoczne na twarzy męża zmieszanie sprawiło jej satysfakcję. Tymczasem on skupił na niej badawczy, przepełniony pożądaniem wzrok i powoli ponownie się do niej zbliżył. Dopiero w tym momencie odezwał się w niej lęk. Cofnęła się o krok. Za plecami poczuła twarde deski kredensu, o które wsparła

się z taką siłą, aż zadźwięczały znajdujące się w nim szklane naczynia.

W tym momencie Owen chwycił Tess, aby nie straciła równowagi, ale natychmiast cofnął ramię i smutno się do niej uśmiechnął.

– Przepraszam – powiedział. – Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Przecież cię zapewniałem, że nie uczynię niczego wbrew twojej woli i nie rzucę się na ciebie jak nieopanowany młokos.

Tess nieśmiało położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie zamierzałam cię zwodzić – powiedziała niepewnie.

Owen nieco poweselał. Przykrył jej dłoń swoją dłonią.

– Wiem, miła.

Zrobiło jej się przyjemnie, że tak się do niej zwrócił.

– To dla mnie nowa sytuacja. Było mi bardzo przyjemnie, kiedy mnie pocałowałaś – dodała z nadzieją, że zabrzmiałoby szczerze, a nie prowokująco.

– Możemy spróbować jeszcze raz.

– Możemy?

Następny pocałunek był udany. Tak bardzo, że Tess się zdziwiła. Wyglądało na to, że szybko się uczy i natychmiast ma ochotę na więcej. Tym razem jej ciało odpowiedziało natychmiast i nie towarzyszył temu lęk. Owen pieścił ją rozczarowująco delikatnie, a gdy cofnął usta, Tess poczuła niedosyt.

– Chodźmy. Chcę pokazać ci jaskinię Blackheath, a potem zjemy obiad

i wrócimy do domu. – Rozejrzał się po zakurzonej mesie. – Tu i tak nie mógłbym skonsumować naszego małżeństwa. Prawie na pewno zapuściły się tu pluskwy i wołki.

– Myślałam, że wołki żyją w mące – powiedziała Tess.

– Widzę, że znasz się na szkodnikach – powiedział Owen. – Od początku wiedziałem, że jesteś uczoną kobietą.

– Zamierzasz zatrzymać „Wiedźmę morską”? – spytała, gdy mąż pomógł jej z powrotem stanąć na nabrzeżu. – Trzeba by ją pomalować i odnowić, bo to piękny statek i w pełni zasługuje na uczucie, jakim go darzysz.

Owen spojrzał na nią zdziwiony.

– Rzeczywiście tak sądzisz?

– Naturalnie.

Popatrzyła na farbę obłazącą z burty statku i wyobraziła sobie „Wiedźmę morską” walczącą z falami na Atlantyku, gdy wiatr wydyma jej żagle, a pokład zalewają promienie słońca. Przemawiała do niej ta wizja, choć trudno było dociec, z jakiego powodu. Nie interesowały jej dalekie podróże, a nagle uznała, że warto byłoby poznać inne kraje i części świata. Nieoczekiwanie dla siebie zapragnęła towarzyszyć mężowi i przekonać się, co świat ma im do zaoferowania.

– „Wiedźma morska” pochłonęłaby twój majątek do ostatniego pensa – ostrzegł ją Owen – a nawet mogłaby wpędzić w długi. To wielka

ekstrawagancja utrzymywać statek dla przyjemności i nie wykorzystywać go w interesach.

– Nieważne – powiedziała Tess. – Prawie się zakochałam w tym statku. Poza tym wiem, że czasem będziesz potrzebował ucieczki od aktualnego trybu życia i otaczających cię ludzi z londyńskiej socjety. Nie możesz być zbyt długo związany z jednym miejscem, bo czujesz się jak w potrzasku.

Owen pogłaskał ją po policzku, a potem wsunął jej dłoń we włosy.

– Jesteś wspaniałą kobietą, wicehrabino Rothbury – orzekł. – Jeśli jesteś przekonana do tego pomysłu, to w przyszłym tygodniu odwiedzę maklera morskiego i zajmę się statkiem.

Tess skinęła głową. Była pewna, że tego chce, ale wolałaby podróżować razem z mężem.

Droga z Greenwich do Blackheath była niesłychanie ciekawa. Jechali wąskimi brukowanymi uliczkami, przy których ulokowały się liczne tawerny i sklepiki. Po kilku minutach krajobraz zaczął się zmieniać, a miejsce wąskich uliczek zajęły obsadzone drzewami aleje, przy których stały okazałe rezydencje.

– Całkiem jak Bath w miniaturze – stwierdziła Tess, wyciągając szyję, by dobrze obejrzeć domy tworzące Gloucester Circus. – Tyle że tu czuć zapach prochu, soli i uprząży.

– Jak się okazuje, czasem opuszczasz

Londyn.

– Do Bath wszyscy jeżdżą. To modne.

– Chciałbym zamieszkać na wsi – powiedział Owen, gdy mijali rząd willi z pięknie utrzymanymi ogrodami. – Wolałbym to niż wicehrabiowski tytuł.

– Przecież masz do dyspozycji Rothbury Chase – zwróciła mu uwagę Tess.

Owen wybuchnął śmiechem.

– Nie potrzebuję dziesięciu tysięcy hektarów ziemi. Za dużo, nie jestem chciwy.

Spojrzał na nią tak, że zrobiło jej się ciepło na sercu.

– Lubię nasze przejażdżki – wyjawiała.

– Przedtem zdawało mi się, że powoli stajemy się przyjaciółmi. Naiwnie

myślałam o tym, jak dobrze mieć mężczyznę za przyjaciela. Natomiast teraz... – Urwała, bo nie bardzo potrafiła dociec, co właściwie jej się zdaje. – Mam takie poczucie – podjęła – jakbym w pewnym sensie cię straciła.

Owen drgnął i ujął dłoń Tess.

– Dlaczego nie możemy się przyjaźnić? – spytał.

– Ponieważ z reguły żony i mężowie nie pozostają przyjaciółmi – odrzekła.

– O ile sobie przypominam, pierwszego męża uważałaś za najlepszego przyjaciela.

– To było co innego. Znaliśmy się z Robertem od dzieciństwa. W większości przypadków pojawiają się liczne przeszkody.

– Przeszkody? – Owen uniósł brwi.

– Dobrze wiesz, że mam na myśli stosunki cielesne.

Owen z trudem pohamował wybuch śmiechu.

– Chcesz powiedzieć, że nie będziemy mogli pozostać przyjaciółmi, jeśli zaczniemy ze sobą sypiać?

Tess walczyła z zakłopotaniem. Po co nieprzymuszona poruszyła ten temat? Siedzieć obok Owena w ciasnym pudle powozu było miło, tym bardziej że mogła trzymać go za rękę. Miała jednak świadomość, że budzi się między nimi coś nowego, odmiennego, rozpalającego zmysły.

– Przekręcasz moje słowa – zarzuciła mu.

– Bardzo przepraszam. Proszę mnie poprawić.

– A teraz stroisz ze mnie żarty.

– Słowo honoru, że ani mi to w głowie.

Tess odważyła się zerknąć z ukosa na męża i stwierdziła, że nie umie on ukryć błysku rozbawienia widocznego w oczach. Co gorsza, czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego.

– Przysięgam – dodał Owen. – Jestem zafascynowany twoimi rozważaniami o naszych stosunkach i o tym, jak mogą się zmienić, jeśli będziemy... hm... się kochać.

Tess wolałaby nie słyszeć z ust Owena takich słów. Pod ich wpływem uruchomiła się jej wyobraźnia i oblała

ją fala gorąca. W efekcie mimo woli rozchyliła wargi. Lęk znikł, ustępując przed pełnym oczekiwania zaciekawieniem.

Owen przyglądał jej się w takim skupieniu, jakby wzrokiem mógł jej dotknąć. Jednocześnie gładził ją kciukiem po wierzchu dłoni, dostarczając w ten sposób bardzo przyjemnych doznań.

– Tereso – zaczął – zapewniam cię, nie stracisz mnie, o ile tego dotyczą twoje obawy. Wciąż będziemy przyjaciółmi. Tylko nasze małżeństwo będzie inne. – Zniżył głos. – Najlepiej byłoby, gdyby to ci się spodobało – dodał rozbawiony. – Myślę o moim uwielbieniu dla twojego ciała

i szczerym podziwem dla umysłu.

Tess pomyślała, że jej umysł jest poważnie zagrożony paralizem, jeśli Owen będzie ją tak komplementował. A zachwyty dla ciała... Na wspomnienie niedawnego pocałunku przeszył ją bardzo przyjemny dreszczyk. Stwierdziła zdziwiona, że jej ciało potrafi samo wykazać inicjatywę.

– Chciałbym móc podziwiać każde zaokrąglenie i każde wgłębienie twojego ciała – ciągnął Owen. – Dotykać ich dłońmi i wargami. – Z tymi słowami musnął szyję Tess, po czym dotknął palcami jej policzka i było to równie przyjemne jak następne zapewnienia. – Nie będzie więcej strachu ani obrzydzenia, wyłącznie przyjemność –

podkreślił. – Obiecuję to, Tereso.

W brzuchu czuła rozlewające się gorąco. Instynktownie poruszyła głowę, by palce głaszczące ją po policzku przesunęły się na szyję i odnalazły wgłębienie u jej podstawy.

– Polubiłaś mój dotyk – zauważył Owen. – To dobrze.

Miał rację. Wcześniej uważała, że z natury jest zimna, ale teraz krew jej się burzyła i ogarniało ją rozgorączkowanie. Nagle uprzytomniła sobie, że dotyk Owena od początku sprawiał jej przyjemność. Przypomniała sobie, jak zakładał jej pantofelek przed domem uciech i jak prowadził ją do galerii, opierając dłoń na wysokości jej talii.

Zamknęła oczy i usilnie starała się

sobie wyobrazić, że ostatecznie pozbywa się lęku i otwiera na nowe doznania. Wydawało się, że to zamierzenie się powiodło, bo gdy Owen ją pocałował, odczuła tak przemożną przyjemność, że omal nie jęknęła. Znała już jego smak i chciała się nim cieszyć. Gdy czubek języka Owena zaczął szukać drogi w głąb, natychmiast rozchyliła wargi. Zetknięcie ich języków wzmogło niezwykle doznania.

Nagle powóz szarpnął i przystanął. Omal nie wylądowała mężowi na kolanach. W gruncie rzeczy, nie miałyby nic przeciwko temu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił wicehrabia. – Kusi mnie, żeby kazać stangretowi wozić nas w kółko, ale

lepiej zachować rozsądek. Nie zamierzam konsumować naszego związku w powozie, tak samo jak nie chciałem tego na statku. Jeśli nie zapanujemy nad sytuacją, to może do tego dojść.

– Jesteś wybredny – oceniła Tess.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, próbując ustalić, co właściwie się z nią dzieje. Ciało zdawało się żyć własnym życiem. Pocałunki na statku skończyły się dla niej zbyt szybko i pozostawiły pewien niedosyt. Podobne odczucie gnębiło ją teraz; chciała się przekonać, co nastąpi dalej. Uznała, że mąż przerwał pieszczoty za wcześnie.

– Pójdiesz ze mną? – spytał Owen, który zdążył wysiąść z powozu i podał

jej rękę.

– Chyba tak – odrzekła z westchnieniem. – Chociaż zupełnie nie rozumiem, dlaczego twoim zdaniem powinnam mieć ochotę na obejrzenie jakiejś jaskini.

– Z tego samego powodu, z jakiego chciało ci się wejść na szczyt pomnika albo odwiedzić Greenwich – wyjaśnił. – Jak sama powiedziałaś, lubisz ze mną przebywać.

– Co za arogancja – zauważyła bez pretensji w głosie Tess.

Owen chwycił ją w talii, zestawił na ziemię i nie od razu opuścił rękę.

– Wiesz, że mnie lubisz, miła – powiedział, trącając wargami płatek jej ucha. – Właśnie pokazałaś mi, jak

bardzo.

– Owszem, przyznaję. – Tess objęła męża za szyję i przyciągnęła jego głowę. – Myślę – szepnęła tuż przy jego wargach – że właśnie odkryłam coś, co sprawia mi równie dużo przyjemności jak oglądanie interesujących miejsc.

Całując Owena w publicznym miejscu, czuła się beztroska jak młódka. Dawno już nie była taka ożywiona. Rozchyliła wargi i przez chwilę cieszyła się wspaniałymi doznaniem. Teraz już nic nie powściągało jej ciekawości.

– Tereso – Owen uwolnił się z uścisku żony – staniemy się taką samą atrakcją jak jaskinia, jeśli dalej będziemy się tu całować. Poza tym – dodał, widząc, że Tess drży z zimna – mam też argument

praktyczny. Na dole będzie cieplej.

– Słyszałam, że Greenwich jest nieprzyzwoitym miejscem – stwierdziła Tess, pozwalając mu wziąć się za rękę i poprowadzić ku wejściu do jaskini. – Teraz wiem, że to prawda.

Kasjer wziął od Owena pieniądze i wręczył mu lichterz ze świecą. Tess poszła za mężem schodami wykutymi w skale. Gdy stanęli pod białym, kredowym sklepieniem, okazało się, że rzeczywiście jest cieplej.

– Jakie tajemnicze miejsce – zauważyła, rozglądając się dookoła. – Kiedy odkryto tę jaskinię?

– Drugi raz kilka lat temu, ale nikt nie wie, kiedy powstała. Nie wyklucza się, że wykuli ją Rzymianie.

Doszli do najniższej położonej części jaskini i naturalne światło stało się jedynie punktem na sklepieniu. Rothbury wyżej uniósł świecę.

– Obecnie odbywają się tutaj bale. Widzisz kandelabr?

Tess podniosła głowę i wtedy wpadł na schody zabłąkany podmuch, pod wpływem którego kandelabr zaczął upiornie podzwaniać. Ich świeca z cichym sykiem zgasła. Gdzieś w górze rozległ się trzask drzwi. Natychmiast otoczył ich mrok, a wraz z nim pojawiła się przenikliwa wilgoć, zdająca się sączyć przez ściany. Tess się wzdrygnęła; wciąż pamiętała mrok, zatraskujące się drzwi i gasnące światła. Walczyła ze sobą, ale strach

wziął nad nią górę i krzyknęła.

Owen po omacku odnalazł jej dłoń.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak. Przepraszam, ale boję się ciemności – wyznała.

– Głupio postąpiłem, namawiając cię na tę wycieczkę.

– Nie. – Tess mocno ścisnęła jego dłoń. – Słusznie powiedziałaś, że nie mogę spędzić całego życia w strachu.

W odpowiedzi mąż przyciągnął ją do siebie. W jego objęciach poczuła się pewniej, a co najważniejsze zrobiło jej się ciepło.

– Zaraz ktoś tu do nas zejdzie ze świecą.

Tess spróbowała dojrzeć twarz Owena.

– Dlaczego to się stało?

– Może z powodu przeciągu, a może przez niedostatek tlenu. Zwykle z tych powodów gaśnie świeca.

W mroku otarł się o jej policzek i natychmiast owionął Tess charakterystyczny zapach męża: świeża woda kolońska zmieszana z wonią czystości i świeżego powietrza. Po chwili wahania stanęła przed nim i położyła mu dłonie na torsie. Czuła, że jest absolutnie bezpieczna, i jednocześnie miała takie wrażenie, jakby stojąc na krawędzi urwiska, właśnie zrobiła krok naprzód.

Poczuła muśnięcie warg na czole, pod jej dłońmi mocno biło serce Owena. Zdała sobie sprawę z tego, że jej ciało

ożywa – budzi się w nim pożądanie. Wyglądało na to, że w obecności męża ostatnio daje o sobie znać coraz częściej. Ciemność tworzyła intymną atmosferę, niosła z sobą pokusę. Tess poczuła się śmieiej. Przedtem to on ją całował i wszystkim kierował. Teraz chciała sprawdzić, czy i ona będzie to umiała. Wspięła się na palce i niewprawnie odszukała wargami usta Owena i w tym momencie uświadomiła sobie, że wcześniej z własnej woli i chęci nie całowała mężczyzny. Znieruchomiła zawstydzona, a ich wargi znalazły się o milimetry od siebie.

– Za dużo myślisz – szepnął Owen. – Po prostu zrób to.

Nie była to zła rada. W każdym razie

Tess nic sensownego nie zdążyła pomyśleć, bo mąż doskonale wiedział, jak sprawić, by pocałunek był zmysłowy. Nagle poczuła w ustach jego język i złączyli się w pocałunku tak intymnym i namiętym, że Tess zalała fala gorąca. Owen zsunął jej z ramion pelerynę, po czym przyciągnął ją jeszcze bliżej i zaczął obsypywać pocałunkami jej szyję.

Tess odchyliła głowę zapraszającym do pieszczot gestem. Owen znalazł wgłębienie u podstawy szyi, a potem zaczął wędrować wargami wzdłuż krawędzi dekoltu. Tess wsunęła dłonie pod mężowski surdut i poczuła gładkie płótno koszuli, a pod nim twarde mięśnie. Owen jęknął, a przez jej twarz

przemknął zwycięski uśmiech.

Wsunął dłoń pod stanik sukni i objął krągłą pierś. Tess zakręciło się w głowie pod wpływem zmysłowych pieszczot. Do tej pory niczego podobnego nie zaznała, nie miała pojęcia, że to w ogóle możliwe. Kolana się pod nią ugięły i przez chwilę obawiała się, czy nie zemdleje, jednak Owen nie dopuścił do tego, by osunęła się na ziemię.

– Za szybko – szepnął, ciężko oddychając. – Musimy zwolnić, Tereso.

Ku swojemu zdumieniu, nie chciała ani zwolnić, ani się wycofać. Pragnęła dotyku jego ust i dłoni, tej oszałamiającej bliskości i zapierającej dech w piersi intymności. Powoli jednak

doznanie niezwyklej przyjemności
malowało i odpływało, nieuchwytnie jak
woda przelewająca się między palcami.
Serce odzyskiwało normalny rytm.
Naturalnie, lęk nie powrócił, ale była
niepewna, niedoświadczona
i oszołomiona reakcjami własnego ciała.

– Proszę nic więcej nie mówić. Już
wiem – stwierdziła, starając się
opanować. – Nie zamierzasz
skonsumować naszego małżeństwa
osiemdziesiąt metrów pod ziemią.

– Rzeczywiście nie – odparł ze
śmiechem Rothbury.

Błysnęła świeca, rozległ się głos
kasjera.

– Proszę pana! Gdzie pan jest?

Odsunęli się od siebie. Tess

poprawiła stanik sukni i schyliła się po pelerynę, pod którą schowała mocno drżące dłonie. Jeszcze nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Zrobiło się nieco jaśniej i zobaczyła, że Owen ma napięte rysy i ciężko oddycha. Wcisnął koszulę w spodnie i obciągnął surdut, a Tess ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to ona zaprowadziła taki nieład w garderobie męża, chcąc znaleźć się jak najbliżej niego. Sama musiała wyglądać nie lepiej. Całe szczęście, że częściowo mogła to przypisać lękowi przed ciemnością.

Kasjer był bardzo skruszony i pewnie obawiał się, że nie dostanie napiwku.

– Nie mam pojęcia, jak to się stało,

milordzie. Powiał wiatr i drzwi się zatrzasnęły.

Owen uspokoił mężczyznę, że nic się nie stało, i oboje z Tess ruszyli z powrotem po schodach ku widocznemu w górze kwadratowi światła. Chociaż na dworze padał gęsty śnieg, Tess ucieszyła się, że może zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Wszystko w porządku? – spytał Owen, gdy pomagał jej wsiąść do powozu.

Jego dotyk znów wydawał się krzepiący i uspokajający.

– Co się stało? – spytała Tess. – Co między nami zaszło?

Owen spojrział na nią z mocno niezadowoloną miną.

– Żądza i brak opanowania z mojej strony – wyjaśnił.

Tess zamyśliła się nad jego słowami.

– Po raz pierwszy ogarnęło mnie pożądanie, to osobliwe – stwierdziła i po chwili przyznała szczerze: – Całkiem mi się to podobało.

Owen się rozchmurzył.

– Zawsze, gdy tylko będziesz miała ochotę znowu je poczuć...

Tess roześmiała się.

– Dziękuję, ale pod koniec byłam już na zbyt głębokiej wodzie jak na moje możliwości.

– Nie tylko ty – mruknął Owen.

Tess zerknęła przez szybę powozu na gęstniejącą śnieżycę. Ołowiane niebo było coraz słabiej widoczne. Wiedziała,

że musi zdecydować. Należało podjąć ryzyko albo wycofać się na bezpieczną pozycję. Ta rozterka nie dawała jej spokoju. Kiedyś nie chciała dowiedzieć się niczego o fizycznej bliskości z mężczyzną. Zmieniła zdanie pod wpływem Owena, któremu zaufała. Wiedziała, że ciąży na nim duża odpowiedzialność.

– Przepraszam – powiedziała, gdy powóz toczył się naprzód po zaśnieżonym trakcie. – To wszystko musi być dla ciebie bardzo trudne.

Uśmiechnął się i przyciągnął ją tak, że ich ciała lekko się zetknęły.

– Wierzę, że jesteś tego warta – odparł i spontanicznie ją pocałował. – Masz jednak rację. Ta sytuacja to jak

płynąć „Wiedźmą morską” wzdłuż wybrzeży wyspy Wight. Jeden fałszywy ruch i statek tonie.

Tess roześmiała się.

– Porównujesz mnie do zniszczonego statku? Myślałam raczej o ciężkiej próbie, jakiej poddane jest twoje opanowanie.

– Jesteś troskliwa. – Uniósł do ust jej dłoń i pocałował palce. – Szczerze mówiąc, miałem się za znacznie bardziej opanowanego człowieka.

Znów ją pocałował, a w miarę jak pocałunek się przeciągał, Tess była coraz bardziej przekonana, że podda się narastającej napiętości. Przypomniała sobie radę Owena i uznała, że jest dobra. Nie powinna za dużo myśleć

o tym, tylko to zrobić. Należało rozprawić się raz na zawsze ze złymi wspomnieniami. Koniec z mrokiem, czekało na nią światło. Postanowiła uwieść Owena jeszcze tej nocy.

Owen rozsiadł się w kącie powozu. Zmierzali na obiad w gospodzie Old George w Greenwich. Tess, odwrócona do niego tyłem, obserwowała, co się dzieje za oknem. Należało wątpić, czy można cokolwiek dostrzec, ponieważ padał gęsty śnieg i zrobiło się ciemno. Zastanawiał się, czy jej taktyka uników wzięła się z nieśmiałości i poruszenia tym, co ostatnio między nimi zaszło. Nie wydawało się to jednak prawdopodobne, zważywszy na jej dość

entuzjastyczny współudział.

Powściągnął mimowolny uśmiech. Nie miał temperamentu nauczyciela. Kobiety, z którymi się spotykał, były zazwyczaj równie doświadczone jak on. Musiał jednak przyznać, że nowa dla niego rola jest podniecająca. A przecież znaleźli się na początku drogi. Wyglądało na to, że wkrótce Tess doprowadzi go do stanu bliskiego szaleństwa.

Obiecał sobie i jej, że nie będzie się spieszył, a jednak już dwa razy reakcje Tess omal nie zniweczyły jego samokontroli. Zdecydowanie jej nie docenił. Mimo że miała bardzo złe doświadczenia z przeszłości, najwyraźniej po długim wahaniu

postanowiła zaryzykować i jeszcze raz spróbować.

Tess odwróciła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się do niego inaczej niż do niedawna. W kusocielskim uśmiechu była obietnica. A to znaczyło, że Tess nie unikała jego spojrzenia z nieśmiałości czy skrępowania. Przeciwnie. Musiała snuć bardzo śmiałe myśli. Nasuwał się wniosek, że to, co między nimi zaszło, wcale nie wydawało jej się odpychające, lecz intrygujące.

Owen wyczuwał, że panujące między nimi napięcie rośnie gwałtownie. Powiadomiło go o tym ciało. Miał wielką ochotę chwycić Tess w ramiona i wziąć ją w powozie. Decydując się

utrzymać małżeństwo, nie przewidywał, że przełamanie lęku Tess przed najłżejszym nawet kontaktem fizycznym z mężczyzną i osvajanie jej z myślą o naturalnym przecież pożyciu, będzie dla niego takie trudne. Wiązała go dana żonie obietnica i zarazem musiał pilnować, by posuwali się naprzód powoli.

– Czy wkrótce dojedziemy? – spytała Tess, spoglądając na niego szeroko otwartymi oczami. – Jestem bardzo głodna.

Do diabła. Ja też, tyle że nie na smakołyki stołu, stwierdził w duchu Owen i z niemałym wysiłkiem przestał myśleć o różnych sposobach, w jaki mógłby ów głód zaspokoić.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pokazanie się w Mayfair było dla Toma Bradshawa niebezpieczne. Mógłby zostać rozpoznany i w efekcie zaaresztowany, osądzony i powieszony; byli ludzie, którym mocno zależało na skórze. Trzymanie się na uboczu uznał jednak za groźniejsze, bo wiedział, że i tak wkrótce będzie po nim – w jego mniemaniu koniec zbliżał się szybko.

Śledził Justina Brooke'a przez cały dzień, sprawdzał, dokąd się udaje i z kim spotyka. W ten sposób przyszedł pod zaniedbany dom przy Dover Street, wciśnięty prawie niezauważalnie między hotel Green's a klub Dragon.

Przedostał się na tył domu, bez większego wysiłku wspiął się przez mur i zeskoczył na pokryty śniegiem taras, na który wychodziły brudne okna biblioteki.

Wewnątrz trzech mężczyzn pochylało się nad stołem. W kominku płonął ogień. Tom już wcześniej dowiedział się, że Justin tu przyjdzie. W drugim z obecnych rozpoznał niejakiego Catesby'ego, wyjątkowo wrednego osobnika, jednego z najbardziej zdradzieckich agentów Sidmoutha. Naturalnie, minister nie brał udziału w takich spotkaniach, wolał nie ryzykować i mieć pewność, że w razie potrzeby będzie mógł się odciąć od tego rodzaju intryg. Tom wiedział jednak, że Sidmouth siedzi w tym po uszy.

Trzeciego z mężczyzn Tom nie znał, przyjrzał mu się więc ze sporym zainteresowaniem. Był wychudzony, nie młody, ale również nie stary. Miał końską twarz, bardzo wysoki kołnierzyk i wzorzystą kamizelkę, jaką zazwyczaj nosili dandysi. Z urodzenia zapewne był dżentelmenem, w takim towarzystwie jednak pozostać nim nie mógł.

Tom widział, jak Brooke wyjmuje z kieszeni rysunki i kładzie je na stole. Szpieg Sidmoutha zawisł nad nimi niczym sęp. Dandys wziął do ręki jedną z kartek i po chwili parsknął śmiechem. Tom mocniej przytknął twarz do szyby. Nawet z tej odległości widział, że sporządzone zdecydowaną, wyrazistą kreską rysunki są sygnowane przez

Jupitera. Zdziwił się, że wicehrabia Rothbury zignorował jego ostrzeżenie i nie polecił Tess skończyć z rysowaniem karykatur. Wyteńczył wzrok i zamarł. To nie były rysunki Tess, wyszły spod ręki Emmy. Najwidoczniej Justin Brooke namówił siostrę do przejęcia roli Jupitera, a ona, która chętnie angażowała się w różne przedsięwzięcia uważane przez nią za szlachetne, wyraziła zgodę. Emmie groziło zaarrestowanie wówczas, gdy tylko uczestniczyła w spotkaniach radykałów. Wcielając się w Jupitera, żywy symbol radykałów, stanęła bezpośrednio na linii ognia.

Szpieg Sidmoutha odpytywał Justina. Według wiedzy Toma, karykatury miały

posłużyć jako pretekst do wywołania zamieszek podczas kolejnego dużego wiecu radykałów, który miał się odbyć w następnym tygodniu. Najwyraźniej to było za mało dla Sidmoutha, który chciał pojmać Jupitera. Brooke słuchał Catesby'ego i kiwał głową. Ten żaloszny dandys we wzorzystej brokatowej kamizelce nagle się ożywił, jakby ktoś pociągnął za sznurki kukły, i pochylił się naprzód. Zainteresowała go wzmianka o Tess Rothbury, Jupitera w rozumieniu Catesby'ego, i o jej aresztowaniu. Brooke przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał się sprzeciwić, ale w końcu z pobladłą twarzą bezsilnie opadł na oparcie krzesła i się nie odezwał.

Przewidywania Toma spełniały się na

jego oczach: Justin zdradził Tess. Szpieg Sidmoutha dowiedział się nie tylko o Tess, ale również o Emmie jako autorce karykatur. To wzbudziło niekłamane przerażenie Toma, który znał bezlitosność Sidmoutha. Oto Emma znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, a co gorsza, stało się to z winy jej brata.

Ogarnęła go rozpacz. Nie wiedział, jak ostrzec Emmę. Gdyby spróbował powiedzieć coś złego o jej bracie, nie uwierzyłyaby ani jednemu jego słowu. Zresztą ostatnio Emma nie chciała się z nim widywać. Tom bez trudu odgadł, że to sprawka Justina. To on pozbawił go miejsca w życiu Emmy, a w dodatku zatruł umysł siostry różnymi historiami

na jego temat. Mimo wszystko Tom musiał do niej dotrzeć, póki nie jest za późno, i za wszelką cenę wytłumaczyć, że znalazła się w niebezpieczeństwie, bo jej brat jest zdrajcą. Na razie nie miał pojęcia, jak to przeprowadzić.

Tess, jeszcze niedawno porządnie głodna, straciła apetyt i bardzo tego żałowała, podano bowiem najrozmaitsze smakołyki. Nie była w stanie przełknąć nawet kęsa, bo wciąż przeżywała podjęcie decyzji o uwiedzeniu męża – była jednocześnie uradowana i przerażona.

Przyroda zdawała się spiskować razem z nią. Zanim dojechali do Greenwich, napadało tyle śniegu, że

o powrocie do Londynu nie było mowy. W gospodzie Old George musieli spędzić noc.

Salonik był dobrze ogrzany, w kominku buzował ogień. Dymiąca zapiekanka z nadzieniem wołowym roztaczała niezwykle apetyczny zapach, a na podorędziu była też gorąca zupa na wypadek, gdyby ktoś z gości nie lubił zapiekanki. Gospodarz odwiedził ich dwukrotnie i za każdym razem marszczył czoło, gdy widział, że Tess wypłała zaledwie odrobinę kawy, a jedzenia nie tknęła.

– Unieszczęśliwisz naszego gospodarza, jeśli nic nie zjesz. Uzna, że te dania były zbyt prostackie dla wicehrabiny Rothbury – powiedział

Owen.

Zdjął surdut i siedział naprzeciwko Tess. Najwyraźniej poczuł się swobodnie, jego głos brzmiał beztrąsko. Podwinąwszy rękawy koszuli, muskularnymi przedramionami, przyprószonymi złocistymi włosami, oparł się o blat stołu. Wpatrywał się w żonę przenikliwym spojrzeniem. Tess zauważyła, że odkąd przyjechali do gospody, Owen właściwie nie odrywał od niej oczu.

– To twoja wina. – Miało to zabrzmieć gniewnie, ale słowa ledwie przeszły jej przez gardło. – Nic innego nie robisz, tylko się na mnie gapisz.

– Dlatego straciłaś apetyt? – zapytał z uśmiechkiem samozadowolenia.

– Tak, do diabła! – Ze złością odsunęła od siebie talerz, przy okazji rozlewając zupę. – Jestem bardzo głodna, a przy tym nie mogę nic wziąć do ust, ponieważ się we mnie wpatrujesz. To nie tylko odbiera mi apetyt, ale także krępuje.

– Przepraszam, nie zamierzałem cię peszyć. Poza tym nie masz powodów do niepokoju, ponieważ zamówiłem dwa oddzielne pokoje.

– Nie chcę nocować w osobnym pokoju, tylko z tobą – oznajmiła Tess. Trudno, stało się, pomyślała. Powiedziałam to na głos, a Owen niech z tym zrobi, co zechce.

Znieruchomiał, a po chwili odstawił kufel piwa, który nie dotarł do jego ust.

– Jeśli obawiasz się o swoje bezpieczeństwo, to wiedz, że wybrałem bardzo przyzwoitą gospodę.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz tego, co usiłuję ci powiedzieć. Nie potrzebuję pokoju dla siebie, ponieważ tej nocy chcę być z tobą tak jak żona z mężem.

Mocno zacisnęła dłonie. Przekonała się, że są nieco wilgotne. Całe jej ciało stało się szczególnie wrażliwe, każde poruszenie halki odbierało jak pieśczętę. Nie wiedziała, czy przypadkiem nie przesadziła, postanawiając aż tak zaufać Owenowi. Pragnęła jego pieśczęt i pocałunków i była ciekawa, jak zareaguje na prawdziwą bliskość. Miała nadzieję, że wreszcie pokona lęki.

Owen nie krył zaskoczenia zmianą nastawienia i bezpośredniością żony, co uwidoczniło się w wyrazie jego twarzy. Naturalnie, sam dążył do uczynienia z Tess żony w każdym znaczeniu tego słowa i bardzo jej pragnął. W dalszym ciągu jednak się obawiał, że wygra bitwę, ale przegra wojnę.

– Tereso, uważam, że za bardzo się spieszymy – powiedział.

– Dziesięć lat zwlekałam. Czy to za krótko?

– Zwracam ci uwagę, że dzisiaj rano chciałaś rozwodu.

– Niezbyt szczerze i dlatego, że lęk przed zbliżeniem z mężczyzną stał się moją drugą naturą. Markiz Darent pod tym względem wykazał się

zrozumieniem i nie nalegał na pożycie. Zresztą miał swoje lata i jeśli akurat nie pozostawał pod działaniem laudanum, to był pijany. Poza wszystkim po tym, przez co wcześniej przeszłam, jak wiesz, nie tylko nie odczuwałam potrzeby współżycia z mężczyzną, ale go się bałam i umykałam, gdy pojawiała się taka możliwość. Dopiero dzięki tobie chcę zmierzyć się ze strachem. – Rozłożyła ręce, by wyglądać bardziej przekonująco. – Jeśli postanowimy czekać, możemy stracić szansę na rozwiązanie problemu. Wolę bez końca nie zastanawiać się nad tym, co się stanie, gdy w końcu my... – Urwała i po chwili dodała: – Im dłużej będziemy zwlekać, tym będzie mi trudniej.

– Czyli chcesz mieć to z głowy – podsumował Owen. – Szczerze mówiąc, nie o takiej twojej postawie marzyłem.

– Z tym jest jak z jazdą na koniu... – Tess znów urwała i się zarumieniła. – No cóż, ta analogia chyba nie jest trafna. Chciałam tylko powiedzieć, że powinnam była spróbować dużo wcześniej, być może nie stałabym się więźniem własnych lęków. Do czasu poznania ciebie nie spotkałam jednak mężczyzny, któremu zaufałabym na tyle, by zaproponować mu intymne pieśczoły. – Spojrzała mu w oczy. – Proszę, żebyś mi nie odmówił.

Owen walczył z sobą.

– Tereso, wierz mi, staram się postąpić jak należy.

– Czyli właśnie tak – stwierdziła i podeszła do męża. – Lepiej nie można – szepnęła tuż przy jego wargach.

W pierwszej chwili Owen nie zareagował, zaraz jednak wziął Tess w ramiona, zawładnął jej wargami i oboje oddali się namiętnemu pocałunkowi. Owen przerwał go jednak.

– Tereso... – zaczął.

Tess nie zamierzała dać mężowi okazji do jeszcze jednej odmowy. Usiadła mu na kolanach i znów go pocałowała. Przy okazji wsunęła mu dłoń za koszulę i przytknęła do piersi na wysokości serca.

– Przecież wiem, że mnie pragniesz. Owenie, proszę...

Cicho jęknął.

– Proszę – powtórzyła.

Owen wydał z siebie nieartykułowany dźwięk, który Tess uznała za zachętę do kolejnego pocałunku. Wtuliła się w męża i wreszcie poczuła, że jego opór słabnie. Z pasją odwzajemniał pocałunki, co Tess przyjęła z satysfakcją i radością.

– Nareszcie... – szepnęła, gdy oderwali się od siebie, żeby zaczerpnąć tchu.

Owen oparł głowę o czoło Tess.

– Nie zapomnij o tym, o czym wcześniej cię zapewniałem. Jestem przygotowany na to, że w każdym momencie możesz się rozmyślić. Wierz mi, nie będę miał do ciebie pretensji – powiedział, odsuwając głowę

i zaglądając Tess w oczy.

– Nie wątpię i wiem, że mogę ci zaufać. Czuję jednak, że nie będę chciała się wycofać – odparła.

– Za dużo myślisz – powtórzył z uśmiechem już raz udzieloną radę.

W odpowiedzi Tess odchyliła głowę, zapraszając męża do pocałunku. Skorzystał z zachęty, całując ją czule i zarazem zmysłowo.

– Nie tutaj – powiedział po dłuższym czasie, gdy się od siebie oderwali. – Na górze.

Na szczęście z powodu panującej śnieżycy do gospody dotarło niewielu gości, ludzie bowiem rezygnowali z podróży w trudnych warunkach. Nikt nie zauważył, że przemknęli po

schodach do jednego z pokoi, które przydzielił im gospodarz. Owen zamknął za nimi drzwi. Zasłony okienne były zaciągnięte, odgradzając ich od śnieżycy, a w niewielkim pomieszczeniu, skąpanym w łagodnym blasku ognia, padającym z kominka, i jednej świecy panowało miłe ciepło.

Tess spojrzała na Owena: miał rozpiętą koszulę, włosy opadały mu na czoło. Z wyrazu twarzy zorientowała się, że mąż odczuwa nie tylko pożądanie.

– Czego się obawiasz? – spytała.

Owen się roześmiał.

– Jedyne niezwykle mężczyzna mógłby w takiej sytuacji przyznać się do obawy.

– Przecież jesteś niezwykłym mężczyzną. Zatem...?

Nie odpowiedział od razu, najpierw wziął w palce pukiel złocistorudych włosów Tess, który zasłaniał jej dołek poniżej szyi.

– To jest nie tylko przywilej, ale i odpowiedzialność.

Wkrótce przekonała się, że nie jest to również odpowiedzialność, której Owen chciałby się szybko pozbyć. Gdy położyli się na szerokim podwójnym łóżku, całował ją tak długo, póki nie poczuła, że cała jest jednym wielkim pragnieniem. Ciało stało się jeszcze bardziej wrażliwe, ubranie wydawało się nieznośnie przeszkadzać, a ją całą ogarnęła dojmująca tęsknota za pełnią

bliskości.

– Muszę...

Spróbowała się uwolnić i mąż natychmiast ją puścił.

– ...pozbyć się ubrania – dokończyła Tess.

Owen wyraźnie się odprężył.

– Mogę pomóc – zaproponował z szelmowskim uśmiechem. – Na pewno jednak uznasz, że jako osobista służąca mam słabe kwalifikacje.

– Nieważne.

Tess zaczęła rozpinać guziki stanika sukni. Ręce trzęsły jej się trochę z niecierpliwości. Owen przyglądał się ze skupioną miną ruchom jej palców.

– Zdaje się, że zadeklarowałaś pomoc – zauważyła, zerkając na męża.

Jego metody okazały się bardzo bezpośrednie, co zresztą do niego pasowało. Zsunął stanik sukni i zaczął rozwiązywać troczki koszulki. Dłonie, którymi dotykał jej obnażonych ramion, były rozgrzane. Chwilę potem poczuła lekkie tarcie zsuwanej koszulki o piersi. Leżała nieruchomo i z lubością poddawała się pożądliwym oględzinom męża.

– Jesteś bardzo piękna.

Owen zaczął przesuwać dłonie po ciele żony, okazując swój zachwyt tak, jak obiecał. Starał się dotknąć każdego miejsca, a jednocześnie obsypywał ją pocałunkami. Zaczął od szyi i wędrował coraz niżej. Dotarł do piersi, zatrzymując usta tuż przy brodawce.

W okamgnieniu Tess wróciła myślami do jaskini Blackheath i przypominała sobie, jak Owen obnażył jej piersi, a w niej wybuchł żar, którego nie umiała zgasić. Pragnęła znowu doznać tego niezwykłego, wszechogarniającego uczucia.

– Tak wspaniale smakujesz, że mam ochotę cię schrupać – powiedział Owen, lekko podnosząc głowę.

Drobne ugryzienia, które łagodziły liźnięcia języka, przyprawiły Tess o dreszcz rozkoszy. Zmysłowo wygięła ciało i przeciągle westchnęła.

– Powinienem był się ogolić – stwierdził Owen, przyglądając się zaróżowionej skórze na piersiach żony.

– Nie, na pewno nie – odparła

natychmiast Tess.

Roześmiał się i położył obok niej.

– Moja miła.

Pocałował ją namiętnie, a pierś objął dłonią i zaczął drażnić brodawkę palcami. Tess nie była w stanie dłużej spokojnie leżeć. Panujący w jej wnętrzu żar stawał się nie do zniesienia. Nogi zaplątały jej się w halkę i spódnicę. Fałdy materiału były nieznośnie ciężkie, przeszkadzały i przygniatały ją do łóżka.

– Proszę... – szepnęła mimo woli i zobaczyła uśmiech zachwyty na twarzy Owena.

– Podoba ci się – powiedział z wyraźną ulgą.

Polizał pierś Tess, a ona krótko się zaśmiała. „Podoba się” było nieudolnym

określeniem tego, co odczuwała. Wyciągnęła rękę i po chwili mocowania się z guzikiem rozpięła spodnie Owena.

– Tereso... – zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Chciał przypomnieć żonie, że teraz powinna się wycofać, jeśli nie jest pewna swoich pragnień i zamiarów, a także tego, czy w ostatniej chwili nie ogarnie jej paniczny lęk.

Tess była w pełni świadoma swojego stanu. Lęk znikł, wyparty przez bezwstydne pożądanie. Pragnęła zaspokojenia dojmującej tęsknoty i potrzeby intymności, pobudzone zmysły domagały się ciągu dalszego i finału. Uniosła się i pomogła mężowi zsunąć ubranie. Od razu spostrzegła, że wbrew

plotkom Owen bez wątpienia nie był i nie jest tknięty niemocą. Przejechała dłonią po jego piersi i odważnie zapuściła się niżej, by po chwili wahania sięgnąć po okazałą męskość. Jęk Owena zwrócił jej uwagę, że niewiele mu brakuje do utraty panowania nad sobą.

– Nie ruszaj się – szepnęła mu do ucha. – Pamiętasz, że obiecałeś być cierpliwy? Chciałabym wszystko obejrzeć i poznać.

Przesunęła dłonią po męskości Owena i poczuła, jak przeszywa go dreszcz rozkoszy. Bardzo jej się to spodobało, bo oznaczało, że ma władzę nad mężem. Ponowiła pieśzczotę.

– Nie tym razem, proszę – szepnął jak

człowiek bliski desperacji i delikatnie ujął ją za nadgarstek. – Pewnie tego nie rozumiesz – odezwał się znowu – ale nie wytrzymam nawet dwóch sekund, jeśli znowu mnie dotkniesz.

Tess postanowiła sprawdzić, czy to prawda, i dla próby objęła jego jądra.

– Kłamca – syknęła po chwili, chłodząc wydechem rozpaloną skórę na jego szyi.

– Och... – wyrwał mu się jęk.

Przekręcił się i przygniótł Tess swoim ciałem, po czym zawładnął jej ustami w namiętym pocałunku.

Przez moment Tess bała się nagłej eksplozji siły fizycznej. Jej myśli zabłądziły na chwilę w mroczne zakamarki, kryjące jej dawne lęki.

Jednak z Owenem było inaczej. Pocałunek był jak żądanie, które ona pragnęła spełnić. Zresztą cofnął usta, ujął jej twarz w dłonie i ponownie zaczął całować, teraz jednak czule i delikatnie, tak uwodzicielsko, że całe jej ciało natychmiast uległo. Całował ją po szyi, znalazł czułe miejsce za uchem i powędrował w dół, ku piersiom. Gdy między nimi wytyczał szlak, nerwowo się poruszyła. Nie mogła już znieść krępujących ją spódnic. Było jej za gorąco, a do tego czuła się spętana.

Owen przesunął dłonią po jej nagim brzuchu i położył dłoń na krawędzi sukni, którą zatrzymały biodra. Tess poruszyła się zapraszająco. Musiała pozbyć się tych okropnych więzów, i to

jak najszybciej.

– Zdejmij mi to, proszę.

Zdziwiła się, jak błagalnie to zabrzmiało. Może nawet powinnam się wstydzić swojego rozpaczliwego pragnienia, przemknęło jej przez głowę, ale w gruncie rzeczy wcale jej to nie obchodziło.

– Cóż, dobrze – zgodził się Owen – zwłaszcza że tak ładnie prosisz.

Powiew omiół jej nogi i wreszcie poczuła się wolna.

– Obawiam się, że pogmiotłem ci suknię – oznajmił Owen, lecz z pewnością bez cienia skruchy w głosie.

– Mało mnie to interesuje.

Suknia była ładna, ale zawadzała.

Tess poczuła ciepłą dłoń męża na swojej kostce, a zaraz potem na łydce. Wciąż jeszcze miała pończochy. Owen palcami sięgnął do podwiązki i znieruchomiał. Mimo woli poruszyła się zniecierpliwiona. Czas płynął, a jej tęsknota stawała się nie do zniesienia. Wreszcie jednak dłoń Owena wykonała zadanie i przesunęła się wyżej. Przy pantalonach znowu się zatrzymała. Tess już chciała go ponaglić, ale tymczasem Owen ją pocałował, wsuwając język tak głęboko, aż zakręciło jej się w głowie. Gdy oprzytomniała, zorientowała się, że nie ma już na sobie pantalonów. Nawet nie zauważyła, kiedy znikły.

– Och, jesteś naprawdę zręczny – powiedziała z uznaniem.

Uśmiechnął się, ale oczy mu mocno pociemniały. W tym momencie Tess zrozumiała, jak wielkim opanowaniem Owen musiał się wykazać. Nie przynaglał, nie pospieszał, czekał na nią przy każdej pieszczocie. Właśnie dotarł palcami do jej najintymniejszego miejsca. Wyprężyła się i wydała okrzyk, zaskoczona burzą wrażeń, które przetoczyły się przez jej ciało. Owen dotykał jej delikatnie, ale rytmicznie, tak że nie była pewna, czy rozkosz jej nie rozerwie. Pragnęła jednak nie tylko tych oszałamiających doznań, lecz również Owena. To była jej ostatnia świadoma myśl, zanim porwały ją fale obezwładniającej przyjemności.

Gdy odzyskała zdolność myślenia

i odczuwania, leżała w ramionach Owena, ciało przy ciele, a on całował jej włosy. Przytulił ją mocniej i zaczął całować po twarzy.

– To też ci się spodobało? – spytał.

Tess czuła jego męskość, wgniatającą jej się w udo. Leżała nieruchomo, przyzwyczajając się do myśli, że pierwszy raz od wielu lat obnażyła się przy mężczyźnie. Pozwoliła sobie nawet wspomnieć ten poprzedni raz, choć do tej pory unikała tego jak ognia. Łzy zapiekły ją pod powiekami, ale nie z żalu nad tym, co się wtedy działo, lecz dlatego, że teraz było zupełnie inaczej. Doznała tyle czułości i zachwytu, przeżyła rozkosz!

Mąż odgarnął jej włosy z twarzy

i pogłaskał ją po policzku.

– Wszystko dobrze? – spytał, a Tess skinęła głową.

Zbliżał się decydujący moment. Chyba jednak dość pochwopnie uznała, że samo jej pragnienie wystarczy, by reszta odbyła się bez utrudnień.

Owen musnął wargami kącik jej ust.

– Idealnie nie będzie – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Jesteś dla siebie niesprawiedliwy. Już było idealnie, bez względu na to, co jeszcze się zdarzy.

– Zobaczymy.

Znów rozgrzał Tess pocałunkami, póki jej ciałem nie zaczęły wstrząsać dreszcze, a myśli nie straciły jasności. Leżeli namiętnie spleceni, Tess

rozkoszowała się tym doznaniem i chciała, by całkiem ją wchłonęło, a jednocześnie niecierpliwiła się, pragnęła więcej. Rozchyliła nogi, spodziewając się, że poczuje Owena w sobie. On jednak przesunął się niżej, a gdy jego głowa znalazła się nad zbiegiem jej ud, włosami zaczął łaskotać wrażliwą skórę na ich wewnętrznej stronie.

– Jaka piękna i delikatna – szepnął.

Położył jej dłonie na brzuchu, zachęcając dotykiem, by otworzyła się przed nim szerzej, po czym językiem odnalazł najbardziej wrażliwy punkt na jej ciele. Tess szarpnęła biodrami, zdumiona intensywnością doznania. Owen skosztował jej smaku jeszcze raz

i wtedy straciła zdolność racjonalnego myślenia. Mogła już tylko odbierać doznania. Czuła narastającą rozkosz. Nie miała pojęcia, ile pieszczot Owena jest jeszcze w stanie znieść, nim rozpadnie się na tysiące kawałków. A jednak jej ciało lgnęło do niego, samo prosiło o następne pieszczoty, jakby miało własną wolę.

Owen przykrył ją swoim ciałem i dotknął jej wrażliwego punktu czubkiem nabrzmiałej męskości. Raz, drugi, trzeci. Chwycił ją za ramiona i próbowała unieruchomić, ale on tylko się roześmiał. Nie mogła tego znieść, chciała poczuć go głębiej, ale on znów się cofnął i pocałował ją z taką czułością, że omal nie zaczęła płakać.

– Cierpliwości – rzekł z szelmowską miną.

Tess wbiła mu paznokcie w umięśnione ramiona. Usłyszała jego jęk, gdy wsuwał się w nią powoli i głęboko. Było zupełnie inaczej, niż zapamiętała. Niczego podobnego jeszcze nigdy nie przeżyła. Tak cudownie intymne i szczere było to doznanie, że z zachwytu serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Owen znieruchomiał, by mogła przyzwyczać się do jego obecności, po czym wykonał długie, niespieszne pchnięcie, które zdawało się docierać aż do dna duszy Tess. Przyglądała się jego twarzy, widziała w niej siłę i skupienie i nie mogła zrozumieć, w jaki sposób

udaje jej się dać takiemu mężczyźnie tyle rozkoszy.

Doznania były wspaniałe, ale nie umiała się bez reszty w nich zatracić. Za sobą miała długą drogę, ale nie dość długą. Głęboka, cudowna rozkosz zaczęła ją opuszczać. Owen zauważył to natychmiast.

– Musisz mi zaufać, Tereso – szepnął chrapliwie. – Nie walcz ze mną. Jesteśmy po tej samej stronie.

Tess zastanawiała się, czy potrafi się poddać. Ogarnęło ją poczucie, jakby odrzucała cały bagaż przeszłości i cała mu się oddawała. Chciała to zrobić, tęskniła za tym, ale spełnienie przez cały czas wydawało się majaczyć tuż poza jej zasięgiem.

Była o włos od rezygnacji i wtedy Owen pochylił się i trącił językiem brodawkę jej piersi. Tess przeszła ognista strzała i przez chwilę znów nie potrafiła złożyć w całość żadnej myśli. Zaraz potem Owen powtórzył pieszczotę, a po chwili zwarł się z nią w namiętym pocałunku. Dłonią wsuniętą między ich ciała dotknął ośrodka, z którego rozkosz rozlewała się po jej ciele. Nagle Tess poczuła, że wcale nie chce z nim walczyć, nie chce odmawiać czegokolwiek ani jemu, ani sobie.

Poddała się coraz silniejszym doznaniom i chwilę później szarpnął ją pierwszy spazm rozkoszy. Kurczowo ścisnęła Owena, usłyszała, jak

wykrzykuje jej imię i poczuła wypełniające ją nasienie. Razem przeżyli oślepiający blask spełnienia.

Dużo później, trudno powiedzieć jak bardzo, bo czas zatracił miarę, Tess się ocknęła. Poruszyła się, a Owen mocniej ją objął i zamknął w uścisku ramion. Zorientowała się, że nie śpi, tylko ją obserwuje. Palcami pieszczotliwie przebierał w jej włosach.

– Teraz, mam nadzieję, nabrałaś apetytu – powiedział cicho.

Uśmiechnęła się.

– Tak się składa, że dzięki tobie umieram z głodu – odparła.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Owen skubnął płatek jej ucha, a Tess

poczuła, jak przebiega po niej dreszcz budzący pożądanie.

– Poślemy po coś do jedzenia – zaproponował Owen i położył jej dłoń na brzuchu w bardzo intymnym geście – ale trochę później. Najpierw wykazę zrozumienie dla twojej potrzeby nadrobienia straconego czasu.

Tym razem pieścił ją z tak dogłębną intensywnością, że nie tylko jedzenie, lecz i wszystko inne zostało całkiem zapomniane.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Tym razem małżeństwo ci służy.

Joanna naląa herbaty do kruchej filiżanki i podała naczynie Tess, podsuwając jej paterę z biszkopcikami. Siedziały w ogrzewanym przez kominek salonie, który w ten posepny listopadowy dzień urzekał ciepłymi kolorami wystroju, ożywionymi przez rozstawione tu i tam bukiety i okazy wykwintej porcelany. Tess pomyślała z zazdrością, że siostra ma bardzo dobry gust. Może rzeczywiście, uznała w duchu, powinna się zająć przeobrażeniem mauzoleum przy Clarges Street w nadający się do zamieszkania

dom.

– Promieniejesz – ciągnęła z szelmowskim uśmieszkiem Joanna. – Czy mam założyć, że odkryłaś pewne zalety stanu małżeńskiego, których wcześniej nie byłaś świadoma?

– Minęło zaledwie dziesięć dni, ale istotnie dobrze czuję się w tym związku – przyznała Tess, w gryzając się w biszkopcik. – Rzeczywiście ma w sobie coś, co warto polecić.

– Cieszę się. – Joanna zmierzyła siostrę bystrym spojrzeniem. – Na tym, jak sądzę, polega różnica między małżeństwem z rozsądku a małżeństwem z miłości.

Tess omal nie zakrztusiła się biszkoptem.

– Nie jestem zakochana w Owenie! – zaprotestowała.

Taki koncept wydał jej się niedorzeczny, a jednak gdy tylko wypowiedziała to zdanie, poczuła się nielojalna, zupełnie jakby dopuściła się zdrady. „Miłość” – to słowo było niczym dzin uwolniony z butelki. Nie można go było zamknąć z powrotem. Zrobiło jej się gorąco, gdy drżącą ręką odstawiała filiżankę. Nie mogła być zakochana, to wykluczone. Nawet nie wiedziała, jak to jest być zakochanym.

– Mylisz się – oznajmiła Joanna.

– Wcale nie.

Spór zaczynał przypominać szkolną sprzeczkę, która niepostrzeżenie zmieniała się we wzajemną wymianę

zarzutów.

– Niezmiennie uciekasz przed problemami – zarzuciła siostrze Joanna.

– A ty uważasz, że masz monopol na rację – odparła Tess.

Wymieniły gniewne spojrzenia.

– Przecież powinnaś być w nim zakochana – stwierdziła Joanna, wracając do podstawowego tematu. – Dlaczego uważasz, że tak nie jest? Bo to niemodne?

Czeluść otwierająca się pod Tess była z każdym zaprzeczeniem głębsza. Miała świadomość, że siostra ma rację. Prawda wprost kłuła w oczy. Nie mogła pojąć, dlaczego tak długo nie potrafiła jej dostrzec. Nie uchwyciła momentu, gdy to się stało. Ucieszyło ją pokonanie

i pozbycie się uprzedzeń oraz lęku i odkrycie cielesnych rozkoszy Sądziła, że oddaje mężowi ciało, i to jej się podobało. Nie przyszło jej jednak do głowy, że oddała mu również serce. W tym wszystkim chodziło nie tylko o pożądanie, ale również o zaufanie, opiekę i poczucie bliskości.

– Dopiero co doszłam do ładu z pożądaniem – wyznała, upijając łyk zimnej już herbaty. Mimo lekkiego tonu dosłuchała się w swoim głosie nuty paniki. – Przyznaję, że wyjątkowo mi odpowiada, wprost jestem zakochana w namiętności.

– Nic podobnego. Zakochałaś się w Owenie – poprawiła ją bezceremonialnie Joanna. – Przyznaj się

wreszcie.

– Niedorzeczność – odparła Tess, czując, że ogarnia ją panika. – Lubię go, nawet bardzo. Mam do niego podobny stosunek jak do pana Chasuble’a, nauczyciela tańca, gdy wreszcie opanowałam kroki kadryla. Można by to nazwać słabością.

– Te dwa przypadki całkiem się różnią, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę. Ilekroć Owen jest w pobliżu, błyszczysz jak fajerwerki w Vauxhall Gardens.

Tess wbiła wzrok w filizankę.

– Jesteś pewna? Skąd właściwie mogłabyś to wiedzieć? – spytała. Ona nie zaznała miłości. Odgrodziła się od niej w życiu i zakazała sobie o niej

myśleć.

– Możesz mi wierzyć, że wiem – odparła Joanna.

Tess wstrząsnęła świadomością, że mogła zaangażować się uczuciowo, ale nawet jeśli tak się stało, uczyniła to nieświadomie, ze zwykłej naiwności. Zaufała Owenowi i oddała mu ciało. Mogłaby oddać mu serce, ale tylko pod tym warunkiem, że on uczyniłby to samo – odwzajemniłby jej miłość. Nie miała pojęcia o stanie uczuć Owena. Okazywał jej niesłychaną czułość i troskę, ale to przecież nie znaczyło, że darzy ją miłością.

– Cieszę się ze względu na Owena – odezwała się Joanna, przerywając rozmyślenia siostry. – Zasługuje na

kogoś, dla kogo byłby jedyną miłością i... – Urwała gwałtownie.

Zapadło przedłużające się milczenie. Tess nie mogła wydobyć z siebie głosu, a Joanna uciekła spojrzeniem i zajęła się dolewaniem herbaty do pełnej filiżanki. Zza okien do Tess docierał turkot kół powozu jadącego ulicą. Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi. Wiedziała, że jest jeszcze czas, by się cofnąć. Powiedzieć coś o pogodzie albo podsunąć temat związany z modą, i w ten sposób zignorować słowa siostry. Udawać, że nie padły. Z pewnością już by do nich nie wróciły. Jednak nie potrafiła się do tego zmusić.

– Owen zasługuje na kogoś, dla kogo byłby jedyną miłością, a nie miłym

dodatkiem, czy tak? – spytała.

Joanna poczerwieniała na twarzy, a Tess niechętnie przyznała w duchu, że jej siostra wygląda ślicznie nawet wtedy, gdy jest zawstydzona. Co za tępota, żeby nie zauważyć czegoś tak ważnego! Przecież wiedziała, że Joanna z Owenem znają się od lat, jeszcze z czasów pierwszego małżeństwa Joanny. Popłynęła z nim w podróż „Wiedźmą morską” na Spitsbergen. Joanna i Owen... Tess poraziła zazdrość. Była na to nieprzygotowana, poczuła więc niemal fizyczny ból.

– Mówisz o sobie, prawda? – wycedziła. – Owen był zakochany w tobie.

Przypomniała sobie, jak na początku

znajomości podczas przejażdżki w parku spytała Owena, czy wcześniej nie chciał się ożenić, a on się zawahał przed udzieleniem odpowiedzi. Teraz już wiedziała, że powinien był powiedzieć: Tak, byłem zakochany i chciałem się ożenić z twoją siostrą.

– Niezupełnie – odparła Joanna.

– Czyli jak to było?

– Owen pomagał mi wtedy, gdy David zaczął się nade mną znęcać. Wiesz przecież, że nie byłam szczęśliwa w pierwszym małżeństwie.

Tess skinęła głową.

– David mnie pobił – podjęła Joanna – i Owen zapłacił za moją ochronę. Zlecił ją jednemu z bokserów walczących w tawernie Toma Cribba.

Zanim poślubiłam Aleksa, chodziłam oglądać walki boksterskie...

Joanna mówiła coraz szybciej, ale jej słowa wpadały Tess jednym uchem i wypadały drugim. Owen pomógł Joannie, gdy była w kłopotach. Z tym nie miała problemu, uważała bowiem, że każdy przyzwoity mężczyzna postąpiłby tak samo. Ale... Tess uświadomiła sobie, że znalazła się w tarapatach i wtedy Owen przyszedł jej z pomocą. Może miał jakiś wewnętrzny przymus ratowania dam mających kłopoty? – zadała sobie w duchu pytanie i ponownie zaczęła słuchać siostry, która najwyraźniej nie przerwała przemowy, przy czym odwróciła wzrok i niszczyła bukiet róż, nerwowo

obrywając kolejne płatki.

– ...wtedy oczywiście byłam żoną Aleksa – mówiła Joanna. – Owen wiedział, że nie jestem szczęśliwa, i rzeczywiście zaproponował mi ucieczkę, ale odmówiłam. Jestem pewna, że więcej o tym nie myślał.

– Poczekaj – wtrąciła Tess, czując, że zaraz zrobi jej się słabo. – Czy dobrze zrozumiałam, że Owen proponował ci ucieczkę po twoim ślubie z Alekssem?

Czekała na zaprzeczenie, ponieważ wiedziała, że Owen i Alex byli bliskimi przyjaciółmi. Żaden mężczyzna nie postawiłby kobiety ponad przyjaźnią, gdyby naprawdę jej nie kochał i nie wierzył, że warto z jej powodu zniweczyć dorobek wielu lat

wzajemnego zaufania. Musiał kochać jej ciało i serce. Tess zrozumiała, że tego właśnie oczekuje od Owena.

Silny rumieniec Joanny jeszcze się pogłębił. Przybrała minę konspiratorki, ale Tess była pewna, że widzi w jej oczach również błysk triumfu. Od dzieciństwa Joanna chciała zagarnąć wszystko dla siebie: ładne stroje, nowe lalki, uwagę rodziców i brata, a potem mężczyzn. Tylko książki były dla Merryn, bo Joannę nudziły.

– Rozumiem – rzuciła i wstała. – Czy w ogóle zamierzałaś mi to wyznać? Dzisiaj ta sprawa wyszła na jaw przypadkiem, jak mi się wydaje.

– Nie powiedziałam ci, bo od tamtej pory upłynęło dużo czasu – odparła

Joanna.

Ona też wstała, ujęła Tess za rękę i objęła ją serdecznym spojrzeniem.

Tess chciała wierzyć w szczerłość Joanny, ale już zdążyły się zrodzić wątpliwości. Przypuszczenie, że Owen poślubił ją tylko dlatego, że nie mógł się ożenić z jej siostrą, było bolesne. Nie potrafiła jednak odciąć się od tej myśli, zgnębiona świadomością, że nawet jeśli nie stanowiła dla Owena namiastki Joanny, to musiał kochać jej siostrę do szaleństwa, zważywszy że była żoną jego przyjaciela.

– To nic nie znaczyło – podkreśliła Joanna.

Tess wyrwała rękę z jej uścisku.

– Nie mów mi, że propozycja ucieczki

z kobietą, w dodatku mężatką, nic dla mężczyzny nie znaczy – powiedziała ze złością. – Nie pogrążaj was udawaniem!

– No cóż. Ależ nie...

Zmieszana Joanna zmarszczyła czoło. Tess widziała, że siostra szuka słów, które mogłyby załagodzić sytuację, a przynajmniej jej nie pogorszyć. Kłopot polegał na tym, że zabrakło jej tych słów.

– Jak mówiłam, to było dawno. Przypuszczam, że Owen o wszystkim zapomniał – przekonywała Joanna.

– Ty nie zapomniałaś! – podniosła głos Tess.

Nerwowym ruchem wygładziła spódnice i nakazała sobie w duchu zachować spokój. Nie chciała odczuwać

zazdrości, a jednak nie potrafiła zapanować nad złą emocją, która niczym podstępna choroba zżerała po trochu od środka.

– Lady Martindale chciała, żebyś urządziła nam dom – przypomniała. – Mam poczucie, jakbyś była wszechobecna w moim małżeństwie.

– Nie bądź śmieszna! – obruszyła się Joanna.

– Jak byś się czuła, sądząc, że Alex kocha inną, a ty jesteś zaledwie druga w kolejce?

Joanna przybrała smutną minę.

– Pewnie rozumiem to lepiej, niż ci się zdaje. Przez pewien czas po ślubie z Alekssem nawiedzał mnie duch jego pierwszej żony. Moja ówczesna

zazdrość była nieuzasadniona i niepotrzebna. To samo powiem o tobie i Owenie. Zresztą porozmawiaj z nim, na pewno będzie z tobą szczery.

Właśnie tego obawiała się Tess. Owen powiedziałby jej prawdę, bo zawsze tak postępował. Tymczasem nie była przekonana, czy chciałaby poznać prawdę. Skierowała się do drzwi.

– Nie chciałam cię urazić. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, Tess – dodała wyraźnie przez łzy Joanna.

Tess przystanęła i odwróciła się do siostry.

– Wiem – powiedziała.

Chciała być zła na siostrę, obwinać ją o niegodne zachowanie, ale nie była w stanie. Nie zapomniała, że po śmierci

Darenta znalazła spokojny kąt i wsparcie w domu Joanny, która nieraz próbowała jej pomagać nawet wtedy, gdy spotykała się z odmową. Nie potrafiła zniechęcić siostry, która interesowała się jej losem i chciała dla niej jak najlepiej.

– Chyba z nim nie spałaś? – powiedziała. – Tego bym nie zniosła.

– Oczywiście, że nie! – zaprzeczyła wstrząśnięta podejrzeniem Joanna. – Nawet go nie pocałowałam. Przysięgam!

Tess skinęła głową. Popatrzyły na siebie, po czym serdecznie się uściskały.

– Przepraszam – odezwała się stłumionym głosem Joanna. – Tak bardzo cię przepraszam!

Znów się uściskały.

– Idź do niego i z nim porozmawiaj – poradziła Joanna i lekko odepchnęła siostrę. – Albo nie pytaj, jeśli tak wolisz.

– Wolałabym, żeby sam mi o tym powiedział – stwierdziła Tess.

Wracając ulicą, na której zalegał topniejący śnieg, czuła się podle. Listopadowy wiatr był wyjątkowo dokuczliwy, mimo że świeciło słońce. Tess wyraźnie czuła przenikliwy chłód na rozpalonych policzkach. Oczy ją piekły, nos miała czerwony z zimna.

Ten ponury nastrój jeszcze się pogorszył, gdy przestąpiła próg domu. Wewnątrz było ciemno, w dodatku wszędzie stały marmurowe popiersia i kamienne posągi. Wyobraziła sobie,

jak Joanna odcisnęłyby swoje piętno na tym domu, żeby wszystko było radosne, przytulne i w pewnym sensie jej własne. Skierowała się prosto do biblioteki, spodziewając się zastać tam męża.

– Czy to prawda, że chciałeś uciec z Joanną? – spytała od progu.

Nie zamierzała napadać na Owena w ten sposób, ale znów uległa atakowi zazdrości i nie umiała utrzymać języka za zębami. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele bólu może sprawiać miłość.

Z Owenem był Garrick Farne. Tess odnotowała obecność gościa, ale ją zignorowała. Stała tuż przed biurkiem.

– I co? – spytała.

Garrick wstał.

– Chyba już mnie nie potrzebujesz, Rothbury? – spytał.

– Nie – potwierdził Owen i obrzucił uważnym spojrzeniem wojowniczo nastawioną żonę. – Jestem pewien, że sam potrafię namieszać ponad wszelką miarę, Farne.

Garrick uśmiechnął się szeroko. Skłonił się i wyszedł z biblioteki.

Tess plasnęła rękawiczkami o blat biurka.

– Czy to prawda, że...

– Słyszałem cię za pierwszym razem – przerwał jej Owen.

Zaskoczona Tess wlepiła w niego wzrok. Miał do niej tyle cierpliwości i był tak uprzejmy, że nie spodziewała się innej reakcji. Tymczasem w jego

oczach pojawił się błysk złości. Wstrząśnięta stwierdziła, że pyta o coś, co ma dla niego znaczenie, i to bardzo duże!

– Tak, to prawda – potwierdził Owen.

– Zaproponowałem Joannie ucieczkę, ponieważ ją pokochałem.

Nie zdążyła go spytać, bo od razu sam jej powiedział. Tępota mężczyzny w ogóle i Owena w szczególności doprowadziła Tess do szewskiej pasji.

– Czyli poślubiłeś mnie dlatego, że nie mogłeś mieć Joanny, tak? – spytała natarczywie. Atmosfera w bibliotece jeszcze bardziej zgęstniała. – To wstrętne. Oboje zachowaliście się niegodnie – wyrzuciła z siebie.

Chciała usłyszeć to samo, co

powiedziała jej siostra: że to było dawno, nic dla niego nie znaczyło, że to ona się liczy. Trudno jednak oczekiwać po mężczyźnie, że zareaguje jak należy.

– Za każdym razem gdy byliśmy razem, sądziłam, że myślisz o mnie – kontynuowała. – Nie mogę znieść przypuszczenia, że myślisz o niej, kiedy wymieniamy pieszczoty.

– Nie myślę – odrzekł Owen.

– A może cierpisz na rodzaj obsesji na punkcie ratowania dam, które popadły w tarapaty? – ciągnęła Tess, jakby Owen nie powiedział ani słowa. – Czy nie należałoby pójść do lekarza i poprosić o jakiś środek, zanim zdarzy się to znowu? – dodała zjadliwie.

– Nie potrzebuję żadnych środków. –

Owen wstał i obszedł biurko.

Tess wyczuła, że choć panuje nad sobą, jest bliski furii.

– Tereso, nie rozbijaj czegoś, co jeszcze jest kruche.

– To nie ja wszystko psuję! – zaperzyła się. – Czy kiedykolwiek zamierzałeś mi o tym powiedzieć? A może sądziłeś, że się nie dowiem? – Odwróciła się do niego plecami. – Zaufałam ci. Wyjawiłam ci wszystkie swoje sekrety. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że niczym się nie odwzajemniłeś. Teraz już wiem dlaczego.

Zapadło pełne napięcia milczenie, podczas którego nawet tykanie zegara na kominku zdawało się wolniejsze niż

zwykle. Nagle Owen chwycił żonę w ramiona i ją pocałował. Nic tego nie zapowiadało, więc Tess nie miała czasu się przygotować. To było tak całkowicie nie na miejscu, że nie zareagowała. Tym razem Owen nie starał się być delikatny. Pocałunek był zmysłowy i namiętny – wspaniały.

– Czy nadal uważasz, że myślę o kimkolwiek oprócz ciebie? – spytał, gdy wreszcie się cofnął. – Czy masz poczucie, że pragnę innej?

Wobec takiego wzburzenia niewątpliwie musiała mu odpowiedzieć, i to szczerze.

– Nie – pisnęła.

Pomyślała, że powinna się bać jego gwałtowności, tymczasem nie

odczuwała strachu. Przez ostatnie dziesięć dni Owen okazywał jej wielką czułość. Każdego wieczoru przychodził do jej łóżka, kochali się, i to było cudowne. Za każdym razem stawiał jej pragnienia i potrzeby na pierwszym miejscu. A jednak przez cały czas coś ukrywał. Wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy, ale teraz już wiedziała i doszła do wniosku, że nie chce czułości. Odkryła w Owenie mroczną stronę i natychmiast na nią zareagowała. Była w nim namiętność, z którą się przed nią nie zdradził. Instynktownie wyczuwała w nim gwałtowne uczucia, ale dotąd ich nie doznała. Czowała, że i w niej rośnie pasja. Spojrzała mu w oczy i rozchyliła wargi. Owen wydał

gardłowy dźwięk i zagarnął ją w objęcia. Tess zapomniała nie tylko o sprawie, z którą do niego przyszła, ale o całym świecie.

Owen był wściekły na Tess, że bagatelizuje jego uczucia i rozmawia z nim w taki sposób, ale zamierzał przedyskutować z nią tę sprawę spokojnie i powściągliwie. Całując ją, popełnił kardynalny błąd.

Do tej pory pilnował się, gdy jej dotykał, kochał się z nią z pietyzmem, starał się jej nie przerazić i nie domagać się od niej za dużo i zbyt szybko. Traktował ją jak porcelanową figurkę, mimo że chciał doprowadzić ich oboje niemal do szaleństwa. Niewątpliwie

zrealizowanie tego planu wymagało od niego ogromnego opanowania. Żadnej kobiety nie pragnął tak jak Tess, ale rzecz nie sprowadzała się wyłącznie do pożądania.

Pocałował ją znowu, doczekał się entuzjastycznej, niczym nieskrępowanej odpowiedzi i w tym momencie przestał się kontrolować. Pociągnął Tess za sobą na szeroki szezlong i przygniótł ją sobą, a gdy nie zaprotestowała i jeszcze do tego rozchyliła wargi, zachłannie zawładnął jej ustami. Po chwili pogłębił pocałunek, a gdy oderwali się od siebie, żeby móc odetchnąć, usłyszał szept Tess, która prosiła o więcej. Uniósł się nad nią i spojrzał jej prosto w oczy, w których znalazł potwierdzenie prośby.

W tej sytuacji stwierdził:

– Pozbądźmy się ubrań.

Bezceremonialnie rozprawił się z guzikami i kokardami stanika sukni Tess. Pomagała mu w tym równie zniecierpliwiona jak on, po czym ułatwiła mu zsunięcie koszuli. Jęknął, gdy położyła dłonie na jego nagim torsie. Stanik sukni nie bronił już dostępu, ale uparta spódnica i halka nie chciały się poddać jego zabiegom. Przestał się tym przejmować i pochylił się nad piersią Tess. Wessał ją do ust tak zapalczywie, że aż krzyknęła. Pożądanie, które popychało go ku dopełnieniu miłosnego aktu, było silniejsze od emocji, które znał z dotychczasowego doświadczenia,

stłamsiło rozsądek i umysł. Owen podciągnął spódnicę i halkę, przesunął dłonią po udzie i odnalazł rozgrzane, wilgotne łono. Tess krzyknęła, a on zaczął ją głaskać, zachwycony ruchami bioder, którymi zachęcała go do pieszczot. Gdy trwał z nią w namiętym pocałunku, pobudzając źródło kobiecej rozkoszy, Tess uosabiała pożądanie. Po chwili wstrząsnął nią przeciągły dreszcz rozkoszy i w tym momencie Owen poczuł, że nie może dłużej czekać.

Jednym ruchem zadarł halkę i spódnicę aż do talii, szeroko rozchylił nogi Tess, uniósł jej biodra i wdarł się głęboko w jej wnętrze. Natychmiast osiągnęła szczyt, wydając przenikliwy okrzyk, a jej ciało zamknęło się wokół

niego, swym pulsowaniem doprowadzając go niemal do szaleństwa. Wbijając się w nią głębiej i głębiej, brał żonę w posiadanie, gnany dojmującą potrzebą, i zdawało się, że jego pożądanie nie ma końca.

Poczuł, że ciało Tess znów ogarniają skurcze i wtedy nim również targnął spazm rozkoszy tak potężny, że wprowadził go w zamroczenie. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy; wcześniej przy żadnej z kobiet, z którymi uprawiał miłość, nie stracił nad sobą kontroli.

Oboje opadli z sił i ciężko oddychali. Owen wsparł głowę o czoło żony, zdumiony własnym zapamiętaniem i gwałtownością miłosnego aktu. Tess otworzyła oczy. Ich błękit był

niezamownicie intensywny i przejrzysty. Uniosła głowę i poczuł na ustach dotyk jej miękkich warg. Przez ułamek sekundy pomyślał o Joannie, ale tylko po to, by odpędzić jej widmo, jakże blade w porównaniu z głębią jego uczuć dla Tess. Dopiero teraz uświadomił sobie, że to uczucie było puste, wyprane z autentyzmu.

– Mieliśmy porozmawiać – powiedział powoli.

– Przepraszam. – Tess wydawała się niesłychanie z siebie zadowolona. – Źle zrozumiałam.

Była uroczo potargana i rozleniwiona. Owen odczuł gwałtowne pragnienie, by znów ją pocałować i wziąć. Z najwyższym trudem oparł się

własnemu pożądaniu, usiadł na kanapie i pociągnął za sobą Tess.

– To ja powinienem przeprosić.

Poruszyła się, poczuł jej dłoń na policzku, palce gładziły go po świeżym zarostcie.

– Chyba nie potrafię w pełni pojąć mechanizmów obcowania mężczyzny z kobietą – stwierdziła Tess. – To było coś wspaniałego, niewyobrażalnie ekscytującego, a po wszystkim mnie przepraszasz. Po co i dlaczego?

– Byłem brutalny. Nie okazałem ci względów, na jakie zasługujesz.

– Względy. – Tess wzruszyła ramionami. – Mogę się pogodzić z ich niedostatkami, jeśli to oznacza, że będziemy doświadczać takich uniesień

jak przed chwilą.

– Nie rozumiesz – odparł szorstko, wciąż dręczony wyrzutami sumienia. – Nie mogę tracić panowania nad sobą. Więcej, nie wolno mi do tego dopuścić, to zbyt niebezpieczne.

Słyszając ten ton, Tess przestała się tulić do męża i głaskać jego ramię. Usiadła wyprostowana i wsunęła stopy pod pogniecioną spódnicę.

– Jeśli czegoś nie rozumiem, to mi to wytłumacz – powiedziała.

W tym momencie Owen pojął, że będzie mu całkiem łatwo opowiedzieć żonie o sprawie, która budziła w nim ogromny wstyd. Nie rozmawiał o niej nawet z przyjaciółmi, którzy wiedzieli, co wówczas zaszło.

– Pytałaś mnie, czy nie mam obsesji na punkcie wyciągania dam z tarapatów. Nigdy tak o tym nie myślałem, ale teraz przyznaję, że chyba masz rację.

Tess milczała w oczekiwaniu na zwierzenia męża.

– Dawno temu była pewna dziewczyna – zaczął. Zerknął na Tess, która nieznacznie się poruszyła, i szybko wyjaśnił: – Nie kochałem jej. Nawet nie wiedziałem, jak ma na imię. Byłem wtedy pełnym ambicji młodym podchorążym. Staliśmy na kotwicy w Southampton, a trudno sobie wyobrazić bardziej niebezpieczny port. Tego wieczoru dużo piliśmy i byłem porządnie wstawiony. Gdy wychodziliśmy z tawerny, zauważyłem,

że pierwszy oficer, niejaki Bates, straszny bydlak, zaczepił dziewczynę. Kłócili się, a w końcu on zaczął ją bić.

Owen zamilkł. Obraz ciemnego zaułka, bladego ciała kobiety, jej poszarpanych ubrań i przeraźliwych krzyków zapadł mu głęboko w pamięć. Wiedział, że nigdy się od tego nie uwolni.

– Ona była prostytutką – opowiadał dalej – ale jeszcze prawie dzieckiem. To było okropne, niewyobrażalne. – Wzdrygnął się poruszony wspomnieniem. – Od małego uczono mnie szacunku dla kobiet. Byłem młody i przeżyłem wstrząs, gdy na własne oczy się przekonałem, że rzeczywistość wygląda inaczej. Oczywiście, nie byłem

do tego stopnia naiwny, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że dochodzi do takich świństw. To był mój bezpośredni przełożony i być może jednak wykazałem naiwność, sądząc, że właśnie on powinien postępować honorowo.

Tess siedziała nieruchomo.

– Co się stało? – szepnęła.

– Chciałem się wtrącić, ale koledzy mnie przytrzymali – odparł Owen. – Byłem młodym idealistą, dumnym i szlachetnym. Zebrałem się w sobie i wyrwałem się z rąk kompanów. – Zaśmiał się szorstko. – Skoczyłem ku Batesowi i go spoliczkowałem. Chciałem się z nim bić, a on był wściekły, że podkomendny śmiał

zakwestionować jego autorytet. Był z natury bardzo gwałtowny, siłą stawiał na swoim. Nie oddał mi ani nie podjął walki, tylko chwycił tę dziewczynę i... uderzył ją tak mocno, że zatoczyła się i rozbiła sobie czaszkę o mur. Uczynił to celowo, chciał mi pokazać, że ma nad nią absolutną władzę, i jednocześnie dowieść, że nic nie mogę mu zrobić. Znienawidziłem go z całego serca. – Owenowi zadrżał głos z nadmiaru wciąż żywych emocji związanych z ówczesną tragedią.

Tess wciąż przyglądała mu się w milczeniu.

– Po tym akcie bezprzykładnego bestialstwa – podjął opowieść Owen – rzuciłem się na Batesa, jakby opętał

mnie diabeł. W końcu kompani mnie odciągnęli, ale... omal go nie zabiłem.

Tess wyraźnie pobladła.

– To dlatego odszedłeś z marynarki – powiedziała.

Spojrzał jej w oczy.

– Nie miałem wyboru – przyznał. – Wybuchł skandal. Straciłem patent i zostałem wyrzucony. Zmarnowałem to, na co moja rodzina złożyła się kosztem wielu wyrzeczeń. Przez własną lekkomyślność zmarnowałem w jednej chwili to, co mi podarowali. Zabrakło mi opanowania, żeby powstrzymać się przed użyciem siły.

– Och, Owenie. – Tess czule objęła męża. – To nie była twoja wina, broniłeś słabej i bezbronnej dziewczyny,

ale też zasad przyzwoitego postępowania. Oceniono cię niesprawiedliwie.

– Może i tak, ale wina leżała po mojej stronie, bo nie umiałem zapanować nad gniewem – zauważył Owen. – Później właściwie bez końca wyrzucałem sobie ten brak kontroli nad własnym zachowaniem. Mogłem powstrzymać Batesa, przekonać go...

– Przecież on był winny haniebnego traktowania dziewczyny, ty zachowałeś się szlachetnie, występując w jej obronie. Bates zlekceważył ostrzeżenie, a poza tym, jak wspomniałeś, był specyficznym człowiekiem – tłumaczyła mężowi Tess.

– Moja wina sprowadziła się do

nieumiejętności właściwej oceny sytuacji i braku panowania nad sobą – powiedział Owen. – Co najgorsze, w rezultacie zawiodłem tę dziewczynę, nie zdołałem jej uratować. Była młoda i bezbronna, a ja nie umiałem jej pomóc. – Nieco odsunął od siebie Tess. – W dodatku straciłem to, co z wielkim trudem i wyrzeczeniem podarowała mi rodzina. Zaciągnąłem dług u bliskich i ich zawiodłem.

Tess pogłaskała męża po policzku.

– Byłeś młody i idealistycznie nastawiony do życia – zauważyła. – Wszyscy popełniamy błędy.

Rothbury uświadomił sobie, że za mocno ściska Tess, więc puścił jej ramiona, ale wtedy ona ujęła jego

dłonie.

– Po wyrzuceniu z marynarki poszedłem własną drogą – powiedział.

– Ustanowiłem własny kod postępowania. Pracowałem jak szalony, bo musiałem sobie dowieść, że jestem coś wart. – Spojrzał z ukosa na żonę. – Pytałaś mnie kiedyś, czy byłem piratem. Nie, bo nauczyłem się szanować prawo i nie chciałem wchodzić z nim w konflikt.

– To dlatego zaczęłaś pracować dla Sidmoutha, prawda? – spytała. – Chciałaś wspierać prawo i robić coś, co uważasz za słuszne. Cały czas starałaś się odkupić swoją winę. – Tess pocałowała męża w policzek. – Jesteś dobrym człowiekiem, Owenie, ale

nawet dobry człowiek popełnia błędy. – Odsunęła się nieco i przesłała mu uśmiech. – Rozumiem już, jak było z Joanną. Musiałeś znienawidzić jej męża, kiedy spostrzegłeś, jak ją traktuje.

– David Ware był draniem – stwierdził Owen. – Wszyscy uważali go za bohatera, ja widziałem, że nadużywa władzy i lekceważy innych. Gardziłem nim. Chciałem go zabić, kusiło mnie, żeby użyć siły. Chciałem odebrać mu Joannę i pokazać jej, że między dwójgim ludzi może być zupełnie inaczej. – Pokręcił głową. – Później Joanna poślubiła Aleksa i znów wydawała się nieszczęśliwa. Byłem zły.

– Przykro mi, że cię zraniła.

Owen uśmiechnął się blado.

– Joanna była mądrzejsza ode mnie. Wiedziała, że ucieczka ze mną nie rozwiąże problemów. Kochała Aleksa, i to z wzajemnością. W rezultacie potrafili dojść do porozumienia i są ze sobą szczęśliwi. Cieszę się z tego.

Pogłaskał Tess po nagim ramieniu, by nacieszyć się gładkością i ciepłem jej ciała. Nie przypuszczał, że kobieta może być aż tak szczodra, i nie spodziewał się znaleźć tego u Tess.

– Nie musisz się obawiać, że nadal kocham Joannę. To uczucie zgasło dość dawno, tyle że nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Cieszę się – przyznała Tess. – Ogarnęła mnie zazdrość. Nie byłam na to przygotowana. – Uśmiechnęła się do

niego. – Okazałeś mi mnóstwo cierpliwości, wielką troskę i szczodrość. Zaczęłam widzieć w tobie świętego, gdy więc usłyszałam, że chciałeś uciec z żoną najlepszego przyjaciela, poczułam nie tylko zazdrość, lecz i rozczarowanie.

– Świętego! – powtórzył Owen i wybuchnął śmiechem. – Zapewniam cię, że daleko mi do świętości.

Tess popatrzyła znacząco na ich pogniecione ubrania.

– Na to wygląda. Szczerze mówiąc, wolę, że jesteś zwykłym śmiertelnikiem.

Pochyliła się i ująwszy w dłonie twarz męża, pocałowała go w usta. Poluzowany stanik sukni nie zasłaniał właściwie niczego i Owen mógł

dokładnie obejrzyć krągłe i kształtne piersi, kuszące różowymi brodawkami. Jego ciało natychmiast zareagowało.

– Rozumiem, że masz potrzebę panowania nad sobą – szepnęła przy jego wargach Tess – ale przy mnie nie musisz tak bardzo się pilnować.

Skubnęła jego wargę.

– Podoba mi się to, czego się o sobie dowiedziałam – szepnęła – i podoba mi się to, co mi robisz.

Owen przewrócił ją tak, że ułożyła mu się na kolanach, prowokująco uśmiechnięta.

– Chyba jednak nie powinniśmy tego robić – powiedziała z żalem. – Drzwi nie są zamknięte i ktoś mógłby wejść. Wyobraź sobie, że Houghton próbuje

zaanonsować gościa. Na przykład twoją cioteczną babkę, lady Agathę Martindale. To ostatecznie zniszczyłoby moją reputację.

– Masz rację.

Owen delikatnie zsunął Tess z kolan i podszedł do drzwi. Dostrzegł rozczarowaną minę Tess, która zaczęła zapinać stanik sukni.

– Powstrzymaj się – powiedział, obracając klucz w zamku. – Inaczej znowu będę musiał mocować się z guzikami.

– Owenie! – Tess uroczo się zarumieniła. – Możemy? Jeszcze raz? Tutaj? Teraz?

– Pewnie, że możemy – zapewnił ją Owen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Znacznie później Owen wyszedł na umówione spotkanie z maklerem morskim, a Tess udała się na górę do sypialni, gdzie Margery pakowała do skrzyni czystą pościel, przekładając ją gałązkami lawendy i rozmarynu. W pokoju unosił się świeży zapach ziół.

– Wszystko dobrze, milady? – spytała służąca, patrząc z pewnym rozbawieniem na pogniecioną suknię Tess i niewprawnie odtworzoną fryzurę.

– Nawet bardzo dobrze, Margery. Dziękuję.

Służąca uśmiechnęła się i wróciła do składania pościeli.

– Może powinna pani zmienić suknię, jeśli myśli o wyjściu z domu – odezwała się po chwili.

– Pewnie tak – przyznała sennie Tess.

Wiele ostatnio zdarzyło się w jej życiu, miała jednak przekonanie, że wbrew wszystkiemu wreszcie udało jej się stanąć na własnych nogach. Rozprawiła się z niszczącą przeszłością.

Usiadła na krawędzi łóżka i wzięła do ręki miniaturę przedstawiającą Roberta Barstowa. Uśmiechnął się do niej młody idealista o chłopięcej urodzie. Śmierć położyła kres jego marzeniom, ale później Tess włożyła dużo wysiłku w przyczynienie się do realizowania tych idei. Nadszedł czas, by jej rolę przejęli inni. Radykałowie cieszyli się

coraz większym poparciem. Naturalnie, nie zamierzała porzucić działalności charytatywnej.

Margery zerknęła na miniaturę i odważyła się wyrazić opinię:

– Przystojny młodzieniec.

– Mój pierwszy mąż – wyjaśniła Tess.

– Był... – Urwała. Nie był jej wielką miłością, chociaż darzyła go bardzo ciepłymi uczuciami. – Był dla mnie bardzo ważny – dokończyła.

– Teraz jest pani zakochana w milordzie – stwierdziła pokojówka.

– Tak – przyznała Tess. – To coś zupełnie innego.

– Na to wygląda.

Margery znacząco spojrzała na zniszczoną suknię, po czym podeszła do

szafy i zaczęła wybierać halki.

– Czy po południu wybiera się pani na spotkanie radykałów? – spytała.

– Myślałam, że nikt o tym nie wie – odparła ze zdziwieniem Tess.

Obudziło się w niej poczucie winy. Tego dnia miał się odbyć największy w roku wiec radykałów. Nie wspomniała o tym Owenowi, bo nie chciała wywołać między nimi zdrażeń, aby nie burzyć ich dopiero co odnalezionego i kruchego jeszcze szczęścia.

– Cały Londyn wie, że ma dziś przemawiać Henry Hunt, zwany Oratorem – stwierdziła Margery. – W Spa Fields, prawda? Powinna pani trzymać się od tego z dala. Szykują się

kłopoty.

– Wiem.

Tess przypomniała sobie ostrzeżenie Owena, że nie wolno więcej ufać Justinowi Brooke'owi, który dla własnej korzyści był gotów zdradzić radykałów. Jednak Justin nie musiał wiedzieć o jej obecności. Chciała po raz ostatni spotkać się w gronie zwolenników reform i pożegnać ze swoim udziałem w ruchu radykałów. Musiała to zrobić dla Roberta i także dla siebie – definitywnie zamknąć drzwi do przeszłości.

– Przysięgam, że będę ostrożna – powiedziała, spoglądając na służącą, która nie wydawała się przekonana. – To mój ostatni raz, muszę się pożegnać.

Wsunęła miniaturę Roberta do kieszeni, szybko się ubrała i wyszła.

Owen wrócił późno. Spotkanie z maklerem u Lloydsa zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał. Wcześniej zamierzał wspomnieć Tess o wiecu w Spa Fields, ale ostatecznie postanowił tego nie robić, nie chciał bowiem, by wyszło na to, że jej nie ufa. Dała mu słowo, że nie będzie angażować się w politykę, a on przyjął jej zapewnienie. Gdy powóz toczył się ulicami Londynu, zaniepokoił go widok przemykających chyłkiem przechodniów i wtedy zadał sobie w duchu pytanie, czy w sprawie wiecu radykałów może jednak w pełni zaufać Tess.

– Gdzie jest lady Rothbury? – spytał, ledwie przekroczył próg domu przy Clarges Street.

Odłożył rękawiczki na stolik i zdjął płaszcz. Chciał usłyszeć, że pani jest w salonie albo że wybrała się na zakupy z Joanną Grant, i przestać się denerwować.

– Milady wyszła kilka godzin temu, milordzie – oznajmił Houghton.

– Czy powiedziała, dokąd się wybiera?

Kamerdyner przecząco pokręcił głową.

– Czy wezwała dorożkę? – zapytał Owen, targany sprzecznymi uczuciami. Nie wiedział, co przeważy: gniew czy strach.

– Pani poszła na wiec – odezwała się z głębi holu Margery. Zbliżyła się i dygnęła przed Owenem. – Milordzie, pani pojechała do Spa Fields posłuchać Henry’ego Hunta. Powiedziała... – Margery się zawahała, po czym dokończyła – ...że musi z tym skończyć. Wzięła z sobą miniaturę, milordzie.

– Miniaturę? – zdziwił się Owen.

– Medalion z portretem zmarłego męża, pana Barstowa – wyjaśniła Margery. – Powiedziała, że musi się pożegnać.

Owenowi ulżyło na wieść, że Tess postanowiła się rozstać z ruchem, który tak długo popierała. Zarazem jednak zżerał go lęk. Jeśli Brooke ją zauważy i wskaże, a ludzie Sidmoutha

zidentyfikują, nie uda się jej uratować przed aresztowaniem. Będzie dowód, potrzebny do powiązania jej z radykałami. Bez wątpienia Sidmouth wykorzysta okazję, by sprowokować zamieszki, aresztować czołowych przedstawicieli radykałów i skończyć z tym ruchem raz na zawsze. Tess postąpiła wyjątkowo lekkomyślnie, decydując się na udział w wiecu, nawet jeśli czuła się zobowiązana czy chciała pożegnać się z grupą reformatorów.

Sięgnął po płaszcz.

– Podstawić powóz, milordzie? – spytał Houghton.

– Nie – odparł Owen. – Pojadę konno, będzie szybciej.

Zbliżał się kolejny zimowy wieczór.

Wiatr zaczął bezlitośnie. Zmierzając w stronę centrum, Owen zauważył pierwsze oznaki zapowiadające poważne kłopoty. Po ulicach wałęsały się grupy pijanych ludzi z pałkami, gdzieś stały porozbijane lub popalone powozy, widać było wybite szyby i splądrowane sklepy. Niezaprzeczalnie doszło do zamieszek.

W powietrzu fruwały strzępki papieru, broszury i rysunki. Owen pochylił się po jedną kartkę i serce mu zamarło. Była to karykatura lorda Sidmoutha stojącego w rozkroku na Anglii i rozdeptującego ludzi obcasem wysokiego buta. W rogu znajdował się charakterystyczny czarny podpis Jupitera. Owen zeskoczył z konia i chwycił następną kartkę i jeszcze

jedną. Rysunków Jupitera były dziesiątki, wszystkie podlegające do przemocy. Zamiast ironicznego humoru pojawił się w nich niemaskowany gniew, czego we wcześniejszych karykaturach Owen nie dostrzegł. Musiały jednak wyjść spod ręki Tess; nie ulegało to wątpliwości.

Co za rozczarowanie! Tess dała mu słowo, że skończyła z karykaturami, a on jej uwierzył. Tymczasem nadal je rysowała, także po ich ślubie. Zdawało mu się, że zbudowali razem coś szczerego i prawdziwego, ale najwyraźniej dawne zobowiązania musiały być dla Tess ważniejsze niż los ich związku. Od początku oszukiwała go, a i później nie przestała. Był na nią

zły, a jeszcze bardziej na siebie, że dał się nabrać.

W pewnym momencie zauważył żonę. W pelerynie z kapturem nasuniętym na głowę przemykała się boczną uliczką. Silny podmuch wiatru zerwał jej kaptur i wtedy załśniły jej charakterystyczne włosy. Podjechał do Tess od tyłu, chwycił ją i posadził przed sobą w siodle. Krzyknęła i natychmiast się obróciła. Ostrze noża błysnęło mu przy szyi. Zdążył chwycić Tess za nadgarstek i nóż z brzękiem upadł na bruk.

– Owenie, to ty. Dzięki Bogu – szepnęła.

Nie odpowiedział. Targała nim złość, ale jednocześnie cieszył się, że pojawił się w porę, a żonie nic się nie stało.

– Straszne miejsce – powiedziała drżącym głosem.

– A czego się spodziewałaś? – spytał gniewnie Owen.

Kwadrans później zajechali przed dom przy Clarges Street. Owen poklepał konia po szyi i oddał pod opiekę masztalerzowi. Tess wyglądała na bardzo zatroskaną. Peleryna była z boku rozpruta, a rękawiczki brudne i podarte. Był to jawny dowód niebezpieczeństwa, na jakie się wystawiła. Owen wpadł w jeszcze większą złość.

– Owenie... – zaczęła, gdy praktycznie wciągnął ją do biblioteki i zatrzasnął za nimi drzwi – ...bardzo przepraszam. – Wpatrzyła się w niego fiołkowoniebieskimi oczami. – Pozwól,

że się wytłumaczę.

Spróbowała tego ostatnim razem i podziałało, pomyślał Owen. Wtedy jej uwierzył, ale więcej nie popełni tego błędu.

– Obiecałaś, że zerwiesz z polityką i radykałami i nie będziesz już chodzić na wiece.

Spuściła wzrok.

– Chciałam się pożegnać – wyjaśniła cicho.

Otworzyła dłoń i położyła na stole medalion.

– Ruch radykałów był ważny dla Roberta – powiedziała. – To było moje pożegnanie.

Chciał dać wiarę słowom Tess, ale nie potrafił, wciąż bowiem miał przed

oczami rysunki nawołujące do buntu. Wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął z niej karykatury i rozłożył na stole.

– A co powiesz o tym?!

– To nie są moje rysunki – odparła.

– Nie żartuj. – Owen nie spodziewał się, że Tess skłamię. – Są podpisane przez Jupitera, prawda? Co to ma być, Tess? – spytał szorstko. – Kolejna zdrada?

– Nie! – oburzyła się. – To nie są moje rysunki – powtórzyła i spojrzała na męża. – Nie wierzysz mi – stwierdziła.

– Oczywiście, że nie wierzę! – zirytował się Owen. – Dałaś mi słowo, że przestaniesz brać udział w wiecach, a jednak wbrew tej obietnicy znalazłem cię, jak wracałaś z wiecu. Dałaś mi

słowo, że przestaniesz rysować karykatury... – przedarł jeden z rysunków na pół – a jednak leżą tutaj z twoim podpisem.

– Nie ufasz mi – stwierdziła Tess, nie odrywając wzroku od twarzy męża. – A możesz zaufać. Owenie, proszę...

Drzwi biblioteki otworzyły się z trzaskiem.

– Co tam? – burknął Owen, nie spuszczać wzroku z Tess.

– Milordzie... – w głosie Houghtona więcej było strachu niż oburzenia – ...są tu żołnierze.

Mężczyźni w czerwonych mundurach odepchnęli kamerdynera i wdarli się do biblioteki.

– Jesteśmy tutaj na rozkaz lorda

Sidmoutha. Mamy zaaresztować lady Rothbury pod zarzutem zdrady stanu i nawoływania do buntu – oświadczył młody kapitan dragonów, nerwowo wędrując spojrzeniem między wicehrabią a jego żoną.

Tess zbladła jak ściana. Zatoczyła się i utrzymała równowagę tylko dzięki temu, że chwyciła za krawędź stołu. Rysunki posypały się na ziemię jak konfetti. Owen oderwał wzrok od żony i popatrzył na kapitana. Nie pozostało mu nic innego, jak zablefować i mieć nadzieję, że się uda.

– Nie bądź śmieszny, człowieku – powiedział lodowatym tonem. – Lady Rothbury przestępczynią!? Chyba oszalałeś.

– Rozkazy lorda Sidmoutha, milordzie.
– Oficer był uparty. – Krążą rysunki o tematyce politycznej, które są jej dziełem. – Wskazał rozsypane na podłodze kartki. – Ponadto dziś po południu lady Rothbury brała udział w wiecu w Spa Fields. Mamy ją odwiedzić do twierdzy Tower, aby lord Sidmouth mógł ją przesłuchać.

Owen popatrzył na Tess i dostrzegł w jej oczach lęk. Przypomniał sobie, jak mu wyjawiała, że od czasów małżeństwa z Brokebym boi się ciemności. Pomyślał o zamkniętych drzwiach, mroku i przemocy. Wiedział, jak wygląda życie w brytyjskim więzieniu. Miał okazję tam być i nie mógł pozwolić, by trafiła tam jego żona.

– Ja jestem autorem rysunków –
oznajmił. – To mnie szuka lord
Sidmouth.

Usłyszał, jak Tess syknęła, i gestem
dał znak, żeby nie próbowała się
odezwać.

– Jestem Amerykaninem, znanym
z sympatii dla ruchu reformatorów –
ciągnął, patrząc kapitanowi dragonów
w oczy. – Trafiłem do niewoli jako
jeniec, gdy walczyłem przeciwko
Brytyjczykom.

Tess ruszyła naprzód.

– Owenie... – powiedziała.

– Ani słowa, Tereso. – Zdecydowanie
pokręcił głową.

Znów zwrócił się do kapitana.

– Prowadziłem działalność

antyrządową od wewnątrz. Jako człowiek Sidmoutha, miałem dostęp do wielu użytecznych informacji.

Żołnierze się poruszyli. Co najmniej połowa z nich wyglądała tak, jakby chciała na miejscu zastrzelić winnego zdrady stanu. Kapitan wahał się.

Owen podniósł rysunki.

– Na co czekacie? – spytał oficera. – Przyznałem się. Jestem człowiekiem, którego szukacie. Lady Rothbury jest i zawsze była niewinna.

– Milordzie... – kapitan wydawał się zmieszany. – Lord Sidmouth...

– Zapewniam pana, kapitanie, że lord Sidmouth będzie bardzo kontent, jeśli przyprowadzicie mnie zamiast żony.

Kapitan się wyprostował.

– Dobrze – zdecydował. – Zobaczymy, co powie na to jego lordowska mość. – Zwrócił się do swoich ludzi. – Wyprowadzić go!

Tess podbiegła do męża i go objęła.

– Nie! – wykrzyknęła. – Nie pozwolę ci tego zrobić.

– Tak jest lepiej – powiedział cicho Owen.

Przez chwilę trzymał żonę przy sobie, a potem stanowczym ruchem ją odsunął. Wiedział, że dłużej tej sytuacji nie zniesie. Pochwycili go żołnierze i odciągnęli dalej, a Tess na próżno wyciągała ku niemu ramiona.

– Kocham cię – wyjawiała. – Bardzo cię kocham. Dzięki tobie odzyskałam siłę do życia.

Te słowa dźwięczały Owenowi w uszach jeszcze długo po tym, jak żołnierze go wyprowadzili.

Była druga w nocy, a Tess wciąż nie mogła zasnąć. Nie potrafiła zmusić się do snu od czasu, gdy siedem dni temu do domu przy Clarges Street weszli dragoni i zabrali Owena, by zawieźć go do Tower. Nie spała i nie była w stanie niczego wziąć do ust. Joanna i Merryn wciąż się przy niej krzątały. Nieoczekiwanie pomocna okazała się lady Martindale, która codziennie odwiedzała Tess. Żadna z nich nie mogła jednak skłonić jej do jedzenia ani nawet do rozmowy. Przybita, zrozpaczona, obwiniająca siebie, Tess

zamknęła się w sobie.

Nazajutrz po aresztowaniu męża udała się do lorda Sidmoutha i zarzuciła mu, że wiedząc, kto jest winien, uwięził niewłaściwego człowieka. Aby dowieść, że jest autorką karykatur, wzięła pióro z biurka i szybko zrobiła szkic. Sidmouth przyglądał jej się pobłaźliwie, jakby nie była Jupiterem, tylko nierozumną kobietą. Przyznał z udawanym współczuciem, że odkrycie antypaństwowej działalności męża musiało być dla niej straszliwym wstrząsem, ale czego można się spodziewać po byłym jeńcu wojennym. Natura ciągnie wilka do lasu, stwierdził, zaciągając się niemiło pachnącym cygarem.

Tess ogarnęła złość. Zwróciła Sidmouthowi uwagę, że Owen walczył po stronie brytyjskiej pod Trafalgarem i złożył przysięgę wojskową, ale Sidmouth w odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami. Nie udzielił jej pozwolenia na widzenie z mężem, mimo że się upokorzyła i błagała.

– Dlaczego on to robi? – skarżyła się z płaczem Joannie i Aleksowi. – Przecież doskonale wie, że ja rysowałam karykatury i popierałam radykałów. Dlaczego chce zamiast mnie powiesić Owena?

Alex, u którego tak ponurej miny Tess jeszcze nie widziała, odparł:

– Bo nie mógłby skazać córki hrabiego Fenner, chociaż wie, że jesteś Jupiterem.

Potrzebował kozła ofiarnego, aby rozpędzić radykałów, i znalazł wręcz idealnego, bo zawsze może przypomnieć, że ten człowiek urodził się za granicą.

Tess zrozumiała, że Alex właściwie ocenił sytuację. Owen poświęcił się dla niej, a dla lorda Sidmoutha był wymarzoną ofiarą. Do ministra udała się także lady Martindale, aby wstawić się za cioteczynym wnukiem, ale Sidmouth był głuchy również na jej prośby. Do Tess dotarła plotka, że Rupert Montmorency chełpił się, gdy miał mocno w czubie, że pomagał intrygować przeciwko Owenowi w nadziei, że lady Martindale zmieni testament na jego korzyść. Co więcej, po śmierci Owena

zamierzał wystąpić do sądu o tytuł wicehrabiego Rothbury. Ta wiadomość tak rozwścieczyła Tess, że wtargnęła do White'a, lekceważąc mężczyzn, którzy bronili jej wstępu, i wylała na głowę Ruperta kieliszek porto, niszcząc mu przy okazji fular i ozdobną kamizelkę. Po tym wyczynie znowu więc wzięto ją na języki, ale wcale jej to nie obchodziło. Skupiła się na ocaleniu męża od niezasłużonej kary i haniebnej śmierci.

Teraz siedziała przy oknie, wpatrując się w bezlistny ogród przyprószony księżycową poświatą. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bardzo samotna. Bez Owena poczuła się jak w pułapce w domu, w którym stare tkaniny

cuchnęły pleśnią, a liczne posągi z kamiennymi oczami śledziły każdy jej ruch. Musiała stąd uciec.

Podeszła do toaletki i z szuflady wyjęła szkicownik z portretem Owena. Przesunęła palcami po liniach jego twarzy i zarysie fali włosów opadającej na czoło. Nie umiała sobie wyobrazić, że więcej go nie zobaczy. Myśl, że Sidmouth zamierza powiesić niewinnego człowieka, była nie do przyjęcia. Wywoływała jednocześnie wściekłość i rozpacz.

Nie może stracić ukochanego, skoro dopiero co go odnalazła. To wykluczone! Nie dopuści do tragedii! Odwróciła kartkę w szkicowniku i machinalnie zaczęła rysować. Po kilku

ruchach ołówka na papierze pojawił się zarys „Wiedźmy morskiej”. Żagle załopotały, jakby złapały wiatr, dziób rozcinał fale. „Wiedźma morska”... Tess szybko zamknęła szkicownik. Już wiedziała, co powinna zrobić.

– Ty przeklęty głupcze – powiedział na powitanie Garrick Farne, gdy wkroczył do celi Owena w twierdzy Tower. – Do czego się, u diabła, przyznałeś, że wylądowałeś w takim miejscu?

Garrick nie doczekał się odpowiedzi, bo przyjaciel milczał, więc dodał:

– Nie sądzę, żeby udało się cię stąd wydostać. Poczyliłem pewne starania, Grant też o to zabiegał. Sidmouth nie

chce o niczym słyszeć.

– To oczywiste – odezwał się wreszcie Owen. – Zakwestionowałem jego ocenę sytuacji i zarzuciłem mu, że jest skorumpowany. – Skrzywił się. – Sidmouth nie przepada za ludźmi, którzy mu się przeciwstawiają, a co dopiero mówić o krytyce jego działalności.

Jak do tej pory Sidmouth niezbyt się przejmował osadzonym wicehrabią Rothbury. Wysłał go do wilgotnej celi w zapomnianym kącie Białej Wieży i pozwolił mu tam gnić. Jedyнным wyposażeniem celi z wąskim zakratowanym oknem był siennik zamiast łóżka i połamane krzesło. Cuchnęło tu beznadziejnością i Owen był niezmiernie zadowolony, że Tess nie

musi poznać uroków tego miejsca.

– Jesteś cudzoziemcem, znanym sympatykiem republikanów, byłym jeńcem wojennym i domniemanym piratem – wymienił Garrick i potarł czoło. – Do diabła, Rothbury, ani się obejrzysz, jak cię powieszą. Dlaczego musiałeś się przyznać, skoro niczego nie zrobiłeś?

– A jak myślisz? – spytał Owen.

– Tess – odgadł Garrick. – A więc to prawda. Rzeczywiście była Jupiterem. – Nerwowo przeczesał palcami włosy. – Tak nam powiedziała, ale sądziłem, że jest w desperacji i za wszelką cenę chce cię uratować. Zaczekaj... tamtego wieczoru w burdelu...

– ...uciekała po wiecu radykałów –

dokończył Owen. – Twoja żona nie jest jedyną uczoną kobietą o rewolucyjnych skłonnościach w tej rodzinie, Farne.

– Niech to szlag! – Garrick wyjął z kieszeni ostatnie rysunki Jupitera. – Ale to nie jest dzieło Tess.

Owen nawet nie spojrział.

– Owszem, jej – powiedział znużonym tonem.

Wciąż był głęboko rozczarowany niesłownością żony. Najbardziej jednak był zły dlatego, że przewidywał, iż władze nie pozwolą im porozmawiać na osobności i nawet nie będzie mógł jej wyznać, jak bardzo ją kocha.

– To nie są rysunki Tess – upierał się Garrick. – Te wykonała Emma Bradshaw.

– Co takiego?! – Owen zerwał się na równe nogi. – Lady Emma? To niemożliwe!

Garrick podał mu kartki.

– Popatrz, nie są tak udane jak wcześniejsze.

– Zostały skreślone w pośpiechu – upierał się Owen.

Garrick pokręcił głową.

– Nie. Emma odwiedziła mnie i przyznała się do podrabiania karykatur Jupitera – powiedział. – Chciała poinformować o tym Sidmoutha, ale wytłumaczyłem jej, że to na nic, bo on i tak cię nie wypuści. Wokół schwywania i odpowiednio surowego ukarania Jupitera zamierza zrobić dużo szumu. To ma być przykład, który podziela

odstraszająco. Chce, aby zwolennicy i poplecznicy radykałów się od nich odwrócili. Nie mógłby powiesić ani córki hrabiego Brooke, ani córki hrabiego Fenner. To by fatalnie wyglądało. Dlatego zrobił kozła ofiarnego z ciebie.

– Warto było – rzekł Owen, a gdy Garrick na niego zerknął, dodał: – Do diabła, Farne, co byś zrobił? Pozwoliłbyś zabrać Merryn do więzienia? Zgodziłbyś się, żeby umarła?

– Na pewno nie – odparł Garrick – ale musiał być inny sposób.

– Nie było. Przecież zwróciłeś na to uwagę. Sidmouth potrzebował kogoś, kogo można przykładowie ukarać. – Owen ciężko usiadł na brudnym sienniku. –

Zatem tym razem Tess nie zawiniła – podjął, wskazując rozrzucone rysunki, i przypomniał sobie bladą, napiętą twarz żony, przysięgającej, że nie jest autorką ostatnich karykatur. – Do diabła! Żałuję, że jej nie uwierzyłem.

– Oboje jesteście siebie warci – ocenił Garrick. – Czy wiesz, że Tess poszła do Sidmoutha i próbowała go przekonać, że jest winna? Jeśli jeszcze ktoś zacznie twierdzić, że był Jupiterem, cała sprawa może obrócić się w farsę. – Znowu nerwowo przeczesał włosy. – Wiesz, co się stanie, Rothbury? Pozwolili mi cię zobaczyć wyłącznie dlatego, że zamierzają cię powiesić. Myślałem o tym, żeby pomóc ci uciec „Wiedźmą morską”, ale gdybym zaczął

kompletować załogę, Sidmouth na pewno by się tym zainteresował i skończyłbym tutaj razem z tobą.

– Szkoda, że sam nie mogę zebrać załogi – powiedział Owen. – Nieważne. Twierdzisz, że Sidmouth musi kogoś demonstracyjnie ukarać. Część społeczeństwa obawia się, że ruch reformatorów wymknie się spod kontroli i radykałowie wzniesą rewolucję, jak to miało miejsce we Francji.

– Sidmouth celowo podsycił niepokoje, żeby się rozprawić ze swoimi politycznymi przeciwnikami – stwierdził posepnie Garrick.

Owen wzruszył ramionami.

– To nieistotne. Przykro mi, że zwątpiłem w Tess. Powiedz jej to,

proszę. – Wstał i podał przyjacielowi rękę. – Zaopiekuj się nią w moim imieniu, Farne. Chcę, żeby była szczęśliwa. Mam nadzieję, że znajdzie męża numer pięć – dodał z wisielczym humorem.

– Nie znajdzie – stwierdził Garrick. – Nie wiesz, Rothbury, że ona cię kocha? Szkoda, że gdy wreszcie znalazła mężczyznę, który jest jej godny, ten wykazał się donkiszoterią i za nią umarł. – Zawahał się i podał rękę Owenowi. – Będziemy dalej się starać – zapewnił. – Zrobimy, co w naszej mocy.

Zabrzmiało to jak epitafium.

Drzwi za Garrickiem się zamknęły i Owen został sam.

Przez cały dzień Tom czekał na Emmę. Wiedział, że była u jego brata przyrodniego, Garricka Farne'a, i że odradził on wizytę u Sidmoutha. Na tyle znał żonę, że był pewien, iż mimo przestróg Garricka wybierze się do ministra. Emma uwielbiała Tess Rothbury i gdyby w jakikolwiek sposób mogło to od niej zależeć, za nic nie pozwoliłaby, by przyjaciółka straciła męża. Żona była uczciwa, honorowa, prawdomówna i dobra, krótko mówiąc, stanowiła jego dokładne przeciwieństwo.

Zdawał sobie sprawę z tego, że wkrótce będzie miał dużo czasu, by rozmyślać o swoich łajdactwach, o wszystkich ludziach, których

obrabował, oszukał i szantażował. O Merryn, którą zostawił, by umarła, i o Garricku, którego chciał zastrzelić, a także o wszystkich kobietach, które zdradził. Zamknął oczy i pomyślał również o Tess, która potykała się w ciemnych korytarzach, by dotrzeć do drzwi wyjściowych, tych, które w ostatniej chwili zatrzasnął jej przed nosem.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków. Zegar na kościele św. Małgorzaty wybił szóstą. Zmierzchało i zaczynał padać śnieg. Zobaczył Emmę otuloną peleryną z kapturem. Serce mu drgnęło, ale uprzytomnił sobie, że ona już nigdy nie będzie do niego należeć, co więcej, wkrótce zostanie wdową. Tom

podjął decyzję i wiedział, co powinien uczynić.

Wbiegł na schody domu lorda Sidmoutha i zadzwonił. Emma przystanąła, widząc, że ktoś ją uprzedził. Przez chwilę się wahała, nie rozpoznała bowiem Toma, i ruszyła dalej. Minęła dom Sidmoutha i skręciła za róg. Wtedy Tom wszedł do środka.

Było już późno, gdy drzwi celi otworzyły się ze zgrzytem, budząc Owena z półsnu.

– Milord jest wolny – oznajmił strażnik, okazując mu znacznie więcej szacunku niż przez ostatnie dni. – Rozkaz lorda Sidmoutha. Mamy prawdziwego winowajcę. Ten to dopiero nicpoń.

Mówiąc to, wepchnął do celi Toma Bradshawa, który potknął się i omal nie upadł, ale utrzymał się na nogach. Zadźwięczały łańcuchy. Owen zwrócił uwagę, że więzień ma skute i ręce, i nogi.

– Bradshaw? – spytał ze zdziwieniem.

– Chce zamienić słowo z milordem – wyjaśnił strażnik. – Milord nie musi z nim rozmawiać.

– Co za szacunek – zakpił Bradshaw.

– Wicehrabia Rothbury nie jest już przestępcą?

Strażnik go kopnął.

– A ty się zamknij.

– Porozmawiam z nim – powiedział Owen.

Strażnik przesłał mu zdumione

spojrzenie i znikł, zostawiwszy im zapalony ogarek.

– Nie urazi, mam nadzieję, pańskiej dumy, Rothbury, jeśli powiem, że Sidmouth woli powiesić mnie niż pana – zaczął Bradshaw.

A więc to tak. Owen popatrzył na Bradshawa i oprócz ulgi odczuł też dość trudny do zrozumienia żal.

– Dziwię się, że Sidmouth nie chce powiesić nas obu – powiedział oschle.

– Pan ma wpływowych przyjaciół – zauważył Bradshaw. – Nie spodobał im się pomysł z wieszaniem pana i narobili dużo hałasu. A lady Martindale... – Pokręcił głową. – Proszę pamiętać, żeby nie narażać się tej kobiecie. Sidmouth był w opałach. Dlatego gdy się

napatoczyłem... – Uśmiechnął się. –
Manna z nieba. Żadnych pytań.

– Sam oddałeś się w jego ręce? –
spytał z niedowierzaniem Owen.

Poświęcenie zupełnie mu nie
pasowało do Toma Bradshawa.

– Trudno uwierzyć, co? – spytał
z krzywym uśmiechem Tom.

– Nawet nie sposób – przyznał Owen.

– Są sprawy ważne i ważniejsze –
stwierdził poważnym tonem Bradshaw.
– Przecież pan wylądował w celi z tego
samego powodu, czyż nie? Wolałby pan
umrzeć niż zobaczyć, że żonie dzieje się
krzywda.

– Sidmouth nie zaaresztowałyby lady
Emmy – powiedział Owen.

– Emma by go zmusiła. Chciała się

przyznać, a gdyby Sidmouth to zlekceważył, rozniosłaby wieść po ulicach i gazetach, powtarzała wszem i wobec, że jest Jupiterem. Wówczas Sidmouth musiałby działać. – Tom ukrył twarz w dłoniach, ale po chwili odjął je od głowy. – Emma jest zbyt uczciwa, żeby pozwoliła zginąć niewinnemu człowiekowi – ciągnął. – Od początku Emma i Tess rysowały karykatury na zmianę. Kiedy pan ścigał Jupitera, lady Rothbury chroniła Emmę, a teraz Emma chce się jej odwdziżyć.

Owen pomyślał, że nie zgadłby, że za Jupiterem kryły się dwie osoby.

– Zgłosiłeś się, żeby zapewnić bezpieczeństwo lady Emmie – stwierdził.

– Zawarliśmy z Sidmouthem umowę – wyjaśnił Tom. – Wie, że nie jestem Jupiterem i że ostatnie rysunki wykonała Emma, ale jej nie tknie. Dla niego większym triumfem jest pokazać, że mnie złapał, i zrobić spektakl z wieszania. – Skrzywił się. – Nieślubny syn księcia Farne, przestępca i morderca, wreszcie ujęty.

– A jeśli lady Emma nie pozwoli, żebyś za nią zginął? – spytał Owen. – Przedtem cię nie wydała.

– Dowie się dopiero wtedy, gdy będzie za późno na interwencję – odparł Tom – To jest część umowy. Sidmouth siedzi cicho aż do ostatniej chwili, gdy Emma nie będzie w stanie już nic zrobić. – Podniósł wzrok. – Robię to nie tylko

dla niej, ale również dla lady Rothbury.

– Dlatego, że Teresa pomogła Emmie, gdy nie tylko ty ją zostawiłeś, ale także opuściła rodzina?

– To też – przyznał Tom i niespokojnie drgnął. – I jeszcze dlatego, że wyrzodziłem lady Rothbury krzywdę.

– Jak to?

– Słyszałem, że pan szuka kompanów Brokeby’ego...

Owen znieruchomiał.

– Skąd to wiesz?

Bradshaw wzruszył ramionami.

– Słyszy się to i owo. – Oparł się plecami o ścianę. – Podobno chce pan zemsty. Nie mogę pana o to winić, tyle że oni nie żyją, Rothbury. Zostałem tylko

ja.

Bradshaw przyglądał się wicehrabiemu ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami, czekając na reakcję. Owen wiedział, że Bradshaw należy do ludzi, którzy mając władzę, upajają się nią i uwielbiają krzywdzić innych. Mimo to nie ruszył w jego stronę.

– Dlaczego mi to opowiadasz? – spytał.

Tym razem na twarzy Toma pojawił się uśmiech pełen gorzkości.

– Niech pan potraktuje to jak wyznanie, Rothbury. Cięży mi to niesamowicie, a jeszcze niedawno nawet nie przypuszczałem, że mam sumienie.

– Co zrobiłeś? – spytał ostro Owen.

– Nie tknąłem jej – odparł, bo zrozumiał, skąd się wziął ton tego pytania. Zasłonił się ręką, ale cios nie nadszedł. – Przysięgam. – Parsknął ironicznym śmiechem. – Gdybym kłamał, powiedziałbym to samo, ale nie kłamię, słowo.

– Co zrobiłeś? – powtórzył Owen, ledwie poznając własny głos.

– Zamknąłem przed nią drzwi – rzekł Bradshaw i spojrzał Owenowi w oczy. – Widzę, że panu o tym opowiedziała. W każdym razie to ja ją tam zamknąłem z Meltonem, Brokebyem i kamratami Brokeby’ego. Myślałem, że będzie zabawa, przecież nawet nie wiedziałem, kim ona jest. Nie tylko Brokeby

sprowadzał kobiety, a potem były najrozmaitsze gry i gierki, na przykład zabawa w „ty uciekasz, a my cię łapiemy”. Sądziłem nawet, że może ktoś jej zapłacił.

– Myślałeś, że Teresa jest jeszcze jedną dziwką. Ty żałosny... – wysyczał Owen. Ogarnęła go nienawiść i poczuł chęć unicestwienia prześladowcy ukochanej.

– Jeszcze nie jest za późno, Rothbury – powiedział Bradshaw. – Teraz ma pana. Pan otworzył te drzwi i może pokazać jej światło.

Owen zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę dłoni. Najchętniej rozerwałby Bradshawa na strzępy nie tylko za to, co zrobił Tess,

lecz również dlatego, że uosabiał ostatni ślad po Brokebym. W tym momencie wróciło do niego miłosne wyznanie Tess. Ona go pokochała.

Nie musiał zabijać Bradshawa. Sidmouth wyręczy go z wielką chęcią, i to w majestacie prawa. Dla niego ważna była tylko Tess i ich wspólna przyszłość. Przeszłość już się nie liczyła. Podszedł do drzwi. Czuł się zmęczony i obolały jak po długotrwałej walce.

Bradshaw ani drgnął, nawet na niego nie spojrział. Owen przystanął.

– Obiecuję ci, że zaopiekujemy się lady Emmą – oznajmił.

Bradshaw wolno podniósł głowę i przewrotnie się uśmiechnął.

– Wiem – powiedział. – Staralem się na nią zasłużyć, ale zawsze się spóźniałem.

– Myślę, że w końcu zasłużyłeś. – Owen zastukał do drzwi.

Strażnik go wypuścił i wskazując głową ciemną celę, rzucił pogardliwie:

– Drań, szumowina jakich mało. – Kopniakiem zamknął drzwi i z wyraźną satysfakcją głośno obrócił klucz w zamku. – Milord na pewno chce już wyjść, skoro przykre nieporozumienie zostało wyjaśnione – dodał.

– Przykre nieporozumienie – powtórzył Rothbury. Wyobraził sobie Sidmoutha, wypowiadającego te dwa słowa ze świętoszkowatym poczuciem własnej doskonałości. – Rzeczywiście,

przykre.

Wyszedł na ulicę. Było zimno. Nadciągała śnieżna chmura. Nigdy tak bardzo nie cieszył się z wolności i powrotu do domu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Noc zapadła nad basenem portowym w Greenwich, ale na pokładzie „Wiedźmy morskiej” lampy paliły się tak samo jak przez poprzednie dwie noce. W powietrzu unosił się silny zapach świeżej farby i smoły. Ludzie wspinali się na wanty, ciemne postaci widać było od dziobu po rufę. Owen stał w magazynie na rogu Wharf Street i przyglądał się temu z podziwem.

Przyjechał tu prosto z Clarges Street.

– Lady Rothbury mieszka ostatnio na statku, milordzie – poinformował go Houghton.

Powiedział to przez zęby z wyraźnym

niezadowoleniem, z jakim równie dobrze mógłby zakomunikować, że wicehrabina zamieszkała w burdelu.

– Jest z nią służąca – dodał, jakby świadczyło to o resztkach przyzwoitości małżonki wicehrabiego.

Owen uśmiechnął się i klepnął kamerdynera po ramieniu. Potem kazał osiodłać konia i znikł, zanim Houghton zdążył mu wypomnieć, że po tygodniu spędzonym w celi zwyczajnie śmierdzi. Owen wiedział, gdzie znajdzie żonę, i był pewien, że kocha ją jeszcze bardziej niż przedtem.

Gdy stał i przyglądał się krzątaniu na statku, ujrzał na pokładzie Tess. Światło latarni padało na jej złocistorude włosy, ale zaraz narzuciła chustę na głowę, aby

zabezpieczyć się przed padającym śniegiem. Przez chwilę wpatrywała się w ciemną toń rzeki, po czym zwróciła wzrok do miejsca, w którym stał Owen.

Rothbury momentalnie puścił się biegiem ku nabrzeżu. Jednym skokiem znalazł się na pokładzie „Wiedźmy morskiej”. Tess ani drgnęła. Wpatrywała się w męża i wyglądało na to, że nie całkiem wierzy w to, co widzi. Najpierw przycisnęła dłoń do ust, dopiero potem zrobiła krok w jego stronę.

– Przypuszczałam, że to ty – powiedziała drżącym z emocji głosem. – Czułam to...

Owen dopadł do żony i zaborczym gestem zamknął ją w objęciach. Wydała

odgłos, który mógł być i śmiechem, i szlochem, i wtuliła się w jego ramiona. Serce biło jej jak szalone, a on niezgrabnie ją całował, wkładając w te pocałunki całą swoją miłość. Wsunął dłonie we włosy Tess i scałował łyzy z jej policzków.

W pewnym momencie Tess się cofnęła, mówiąc:

– Aleś ty brudny.

Mimo to nie zamierzała puścić ukochanego. Pogłaskała męża po policzku z takim zachwytem, jakby nie wierzyła, że ma go przy sobie.

– Kocham cię – wyznał Owen. – Nigdy ci tego nie powiedziałem. Bardzo przepraszam, że ci nie uwierzyłem, gdy twierdziłaś, że nie narysowałaś tych

ostatnich karykatur... – Urwał, bo Tess przytknęła palec do jego warg.

– Pst. – Przyciągnęła bliżej jego głowę, by zachęcić go do pocałunku.

Zgromadzona na pokładzie załoga nagrodziła ich głośną owacją.

– Aleś się napracowała – rzekł z podziwem Owen, gdy pocałunek dobiegł końca, a on rozejrzał się wokół.

– Miałam plany – odparła – i wciąż je mam. Możesz popłynąć ze mną, jeśli chcesz.

Owen znów ją pocałował, po czym powiedział:

– Chodźmy na dół. Nie życzę sobie takiej widowni.

Tess skinęła głową i przy wiwatach załogi zeszła z nim po drabince pod

pokład.

– Jakim cudem tak szybko skompletowałaś załogę? – spytał Owen.

Minęło sporo czasu. Owen zdążył opowiedzieć Tess o tym, jak zwolniono go z Tower, a w zajmowanej przez niego celi osadzono Bradshawa, a także zdał jej relację z rozmowy z Tomem. Wtuleni w siebie leżeli w kapitańskiej kabinie. Na stole stała w połowie opróżniona butelka *Bumbo*. Tess była trochę oszołomiona nagłym pojawieniem się męża, ale czuła się szczęśliwa i bezpieczna w jego silnych ramionach. Wiedziała, że nic ich nie rozdzieli.

– Poprosiłam twojego maklera morskiego, żeby zarekomendował mi

bosmana – wyjaśniła. – Z bosmanem poszłam do tawerny Eagle i spytałam, czy ktoś chce się zaciągnąć na twój statek. – Cmoknęła go w policzek. – W rezultacie musieliśmy się odsunąć pod ścianę, żeby ludzie nas nie stratowali – dodała cierpko.

– Czyżby?

Owen wydawał się tak zaskoczony, że Tess poczuła się w obowiązku pocałować go jeszcze raz w nagrodę za skromność. Odwzajemnił pocałunek z dużym zainteresowaniem.

– Ależ tak – potwierdziła. – Oni wszyscy darzą cię podziwem.

– Ale zaciągnęli się wyłącznie z uwagi na ciebie.

– Tylko do czasu, aż wydostaniemy

cię z więzienia. – Tess spojrzała spod przymrużonych powiek na męża. – Taki był plan – dodała. – Popłynąć w górę rzeki pod Tower i tam cię odbić.

Owen zatrzęsł się od tłumionego śmiechu, więc solidnie dźgnęła go łokciem w żebra.

– Ty niewdzięczniku! Przecież mogło się nam powieść.

Owen wsunął jej rękę we włosy i znów ją pocałował.

– Pod twoim dowództwem udałoby się na pewno. Nawet Sidmouth nie dałby ci rady.

Puścił ją, by przyjrzeć jej się wzrokiem pełnym miłości.

– Zakochałaś się w „Wiedźmie morskiej” – stwierdził.

– Prawie tak samo jak w tobie. To było jedyne miejsce, gdzie czułam, że jesteśmy sobie bliscy – dodała, rozglądając się po lśniącej od czystości kajucie, którą z takim oddaniem doprowadziły z Margery do porządku. – Dom znienawidziłam. Wydawał mi się nieznośnie pusty i zimny. Dlatego przeniosłam się tutaj. Wiedziałam, że na „Wiedźmie morskiej” będę miała znacznie więcej ciebie i zyskam przekonanie, iż wrócisz do mnie cały i zdrowy. I tak się stało. – Wtuliła się mocniej w ramiona męża. – Ledwie mogę uwierzyć w to, że dostaliśmy jeszcze jedną szansę. Dokąd popłyniemy? Moglibyśmy odwiedzić wszystkie majątki Rothburych,

przemieszczając się drogą morską zamiast lądem.

– Doskonały pomysł – pochwalił Owen.

– Joanna chce, żebyśmy odwiedzili ich na Boże Narodzenie w Fenners, więc za kilka tygodni powinniśmy zawinąć do Bristolu.

– Znakomicie – zgodził się Owen. – Tak bardzo cię kocham, a już myślałem, że straciłem cię na zawsze.

Tess westchnęła.

– Szkoda tylko, że nie będę miała okazji znaleźć męża numer pięć – żartowała.

Pisnęła, bo Owen przykrył ją swoim ciałem, po czym czułym gestem odgarnął jej włosy z czoła.

– Pamiętasz, jak zapytałaś, czy można się kochać w ciasnocie? – spytał.

Tess spłonęła rumieńcem.

– Wcale o to nie pytałam!

– Zrobiłaś to w myślach. Chcesz się przekonać?

Pocałował żonę, a jej wydawało się, że szczęście dosłownie ją olśniewa. Serce jej rosło od miłości, której nie spodziewała się znaleźć. Poddała się i przekroczyła granicę światła.

[1] Radykałowie – pozaparlamentarny ruch reformatorski, popierany zwłaszcza przez średnie i niższe warstwy Londynu, domagający się gruntownej reformy wyborczej i pełnej wolności zgromadzeń oraz prasy, znajdujący popleczników w gronie wigów, zwolenników umiarkowanej liberalizacji (*przyp. red.*).

[2] Trafalgar – przylądek na Półwyspie Iberyjskim; w pobliżu doszło do bitwy morskiej, w której zwycięstwo odniosła flota brytyjska pod dowództwem admirała H. Nelsona, pokonując zjednoczone siły francuskie i hiszpańskie i tym samym uniemożliwiając Napoleonowi dokonanie inwazji na Wielką Brytanię (*przyp. red.*).

[3] Kalesza – reprezentacyjny powóz czteroosobowy o łódkowatym nadwoziu, z wysokim kozłem i tylną ławeczką dla lokaja, zaprzężony w dwa lub cztery konie (*przyp.*

red.).

Tytuł oryginału: Desired

Pierwsze wydanie: Harlequin Books S.A. 2011

Redaktor serii: Dominik Osuch

Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2011 by Nicola Cornick

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób

rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżone.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal
24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-0779-9

Powieść Historyczna 40

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com